

Nr 3(294). Rok XXVI. MARZEC 2020

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:
EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
JULIA MONTEWSKA
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
DARIUSZ PIETRUCHA
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
JOANNA WARONSKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

ADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1800 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 *Piotr Skowronek* CO „GRAŁO I GRA” W DUSZY ŚLĄZAKÓW? ROZMOWA Z PROFESOR
KRYSZTYNĄ HESKĄ-KWAŚNIEWICZ
8 *Michał Spurgiasz* ZWYCZAJE POWITANIA WIOSNY MIĘDZY DAWNYMI LUDAMI EUROPY
10 *Marian Grzegorz Gerlich* OD OSTATKÓW DO ZWYCIĘSKIEGO ALLELUJA
13 *Ks. Henryk Pyka* ATENY NAD POPRADEM
18 *Marek Lyszczyzna* ŚLĄSKI CHŁOPIEC O SIEDMIU SERCACH - POŻEGNANIE PROF. JACKA
LYSZCZYNY
20 *Marek Piechota* ŻYŁ PRZYNAJMNIEJ DWA RAZY. JACEK LYSZCZYNA 13 LIPCA 1954 – 20
LUTEGO 2020
26 *Maria Korusiewicz* LABIRYNTY, CZYLI DROGI „PRZEJŚCIA”
29 *Joanna Szweda* WZGÓRZE POROŚNIĘTE CISZĄ. WSPOMNIENIE O URSZULI BROLL
31 *Grzegorz Grzeszkowiak* 80. ROCZNICA ZBRODNI KATYŃSKIEJ. DLA POLSKI, I ZA POLSKĘ
34 *Marek Skwara* TRYPTYK JASNOGÓRSKI. BASTION ŚW. BARBARY
40 *Zbigniew Lubowski* BAROKOWY POŁUDNIK CZECHOWICKI
46 *Antoni Wilgusiewicz* UMRZEĆ ZA OJCZYZNĘ CZY DLA NIEJ ŻYĆ?
48 *Śląskie Tajemnice Julia Montewska* DRUGIE ŻYCIE PAŁACU W MILICZU
49 HISTORIE PACHNĄCE BETONEM *Dariusz Pietrucha* ZAPORA, KTÓREJ NIKT NIE CHCIAŁ
52 *Tomasz Bienek* ŁAMBINOWICKA ZIEMIA ODDAJE WOJENNE RELIKTY
56 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* TAJEMNICA GALLOWEGO PRZESŁANIA
57 *Waldemar Grudzień* OD RUBINSTEINA DO TARZANA
60 *Paweł Majerski* ŚLĄSKI ROZDZIAŁ STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH
62 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* O STYLU PROZY OLGI TOKARCZUK

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 69 GALERIA: WYSTAWA MADE [IN] READY – RZECZY, SYMBOLE, DZIAŁANIA
73 *Kamil Kuskowski* JAK ZMIENIAĆ ZNACZENIA PRZYPISANE PRZEDMIOTOM

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Henryk Cierniak* ŻÓŁTE ŚCIANY
16 *Henryk Cierniak* WIERSZE
22 *Jefim Zozula* KSIĘGA WYJŚCIA (przełożył *Marian Kisiel*)
44 *Maciej Melecki* WIERSZE

TEATR

- 74 *Wojciech Lipowski* NIEPOKOJE ARTYSTY
76 *Zbigniew Lubowski* WIEDŃ MOICH MARZEŃ

FELIETONY

- 36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŹNA. *Jan Miodek* Z WYSOKI, Z CIAŚNY, Z WIRKU
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* MADONNY Z KATOWICKICH OGRODÓW
SZTUKI
38 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* ORFEO CZYLI TWÓJ NOWY PORTAL
MUZYCZNY
39 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* TWÓRCZA CIEKAWOŚĆ EWELINY B.

KSIĄŻKI

- 64 *Marian Kisiel* SPOD ZNAKU KSIĘŻYCA
65 *Grażyna Barbara Szewczyk* OPOWIEŚCI Z KRAINY NADODRZAŃSKIEJ
66 *Paweł Majerski* RZECZYWISTOŚCI „NOWEJ SZTUKI”
67 *Katarzyna Tałuc* MORCINEK JAKO POSEŁ
68 *Paweł Majerski* ADRESY WAŚKIEWICZA
80 KSIĄŻKI NADEŚLANE

NOTATNIK KULTURALNY

- 77 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce:
Bogdan Topor, Station I, rysunek (fot. Piotr Muschalik)
tył okładki:
Marta Zielińska, fotografia.

Od Redaktora!

W dawnej modlitwie nasi rodacy prosili: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Panie”. Mór jak dawniej nazywano epidemie był więc do końca XIX wieku w Polsce i Europie częstym zjawiskiem. W *Ilustrowanej Encyklopedii Staropolskiej* Z. Glogera zapisano lata epidemii od X wieku poczynsz, a było ich aż tyle, że raczej powinno się nazywać te wszystkie kolejne dziesięć wieków epokami epidemicznymi, z krótkimi tylko, kilkuletnimi przerwami, w których epidemie nie panowały w naszym kraju i na kontynencie. Niejaki Andrzej z Kobylina już w 1542 roku napisał rozprawę zatytułowaną *Rządzenie bardzo dobre przeciw powietrzu morowemu*, sprawy ochrony przed „morowym powietrzem” nigdy więc nie były kwestiami drugorzędnymi. Ale stopień bezsily ludzi wobec nich – wcale się na przestrzeni wieków nie zmniejszał. Dopiero wynalazek antybiotyków, a wcześniej szczepionek – uczynił tę kwestię, już nie tak groźną jak w poprzednich epokach.

Zapewne prędeż, czy niestety później poradzimy sobie jako społeczeństwo z obecnym groźnym zagrożeniem wywołanym koronawirusem, powrócimy do zamkniętych dziś urzędów, kościołów, szkół, teatrów, butików i innych miejsc, dotychczas odwiedzanych tak tłumnie.

Jednak zmiany społeczne, wymuszone okolicznościami i modyfikacja zachowań, obyczajów (tych pozytywnych i niestety negatywnych, też) – wywołane groźnym nam niebezpieczeństwem – nie zostaną na-

gle i nieodwołalnie „zresetowane”.

Niepewność co do roli „drugiego człowieka” dziś manifestująca się regulaminowymi 2 metrami dystansu, w jakiejś formie zostanie zachowana w codziennych naszych kontaktach; przesunięcie form komunikacji z bezpośredniej, tej „twarzą w twarz” na tę realizowaną za pomocą telefonii komórkowej, internetu i innych „nowych mediów”, wywrze wpływ na realizację misji i funkcji: urzędów, banków, lekarzy, szkół i innych dziś zamkniętych w bańce izolacyjnej podmiotów. Telemedycyna, e-bankowość, e-edukacja dostępna obecnie przede wszystkim dla młodzieży, stanie się pewnie rutynową codziennością całej populacji, niezależnie od wieku i statusu społecznego. Te zjawiska i wiele innych będących konsekwencją istniejącego zagrożenia, będą mieć nie tylko znaczenie gospodarcze, ale w sposób istotny wpłyną na sytuację społeczną wielu z nas.

Epidemia koronawirusa, sama w sobie dramatyczna, będąca przyczyną wielu nieszczęść i dramatów, przypominała nam o kruchości zastanego świata: kontynentu pozornie wiecznie otwartych granic, nieograniczonej regułami etycznymi konsumpcji, ulotności znaczenia prestiżów ekonomicznych, sfalsyfikowała pełne hipokryzji ideały wielu politycznych adwersarzy.

Wobec siły natury, biologii i jakby zapomnianej nagle ekologii (czyżby smog przestał nas już truć?) człowiek, społeczeństwo staje uzbrojone jedynie w swą (nie)wiedzę, dyscyplinę

społeczną, przepisy prawa, skromny potencjał organizacji instytucji medycznych (o ponad 300-tysięcznej populacji chorych na grypę też jakby zapomnieliśmy?) i własną intuicję oraz – co, okazuje się bardzo ważne – w zapomniany przez media i polityków ideał solidaryzmu społecznego.

Niewątpliwie znaleźliśmy się w epoce przejściowej, postrzeganej w krótkiej, bliskiej perspektywie czasowej, jako okres corocznego przejścia z czasu zimowego, chłodnego, ciemnego do jasnego, wiosennego, ciepłego, otwieranego radosnymi Świętami Wielkanocnymi.

W perspektywie długookresowej, kulturowej – pewnie będziemy chcieli jako społeczeństwo przekroczyć granice epoki: łatwej konsumpcji, eksploracji, bezwzględnej konkurencji i multiplikacji przyjemności oraz dominacji rzeczy nad moralnością, ciągłego manifestowania naszej cywilizacyjnej siły w przekształcaniu otaczającego nas środowiska naturalnego, do – miejmy nadzieję – świata odnowionych wartości etycznych, epoki poczucia odpowiedzialności za jakość życia drugiego człowieka i przyszłych pokoleń, rozwoju cywilizacji w racjonalnych, humanistycznych granicach. Albo też – jak już to często bywało – nic w naszej cywilizacji i kulturze nie zmienimy, i wówczas z niepokojem poczekamy do kolejnej pandemii i ...*da capo (al fine)*...

Tadeusz Sierny

Żółte ściany

Czy można być szczęśliwym,
kiedy ściany są żółte?
Potwierdzam. Tak. Zdecydowanie.
Słuchajcie – spałem w Kielcach w SILL-u,
pokój pomalowany był na żółto,
ale nie jak kaczki ani jak kaczeńce,
ani nawet jak ten żółty ptaszek, *ten*, kanarek
bardziej w kolorze cytrynowych słoneczek
i na pewno nie jak kurkuma ani dęta
blaszana waltornia, z którą kiedyś
tak chciałem odlecieć.

Yes, yes jestem szczęśliwy, bo w Kielcach
ściany były żółte, a potem pojechałem
do Gdańska, do innego hotelu
i tam też pokój pomalowany był na żółto.
Wreszcie Kujawy, dłuższy pobyt w Ciechocinku.
A tam co? pokój cały w żółci.
Ale nie tej, którą produkuje trzustka ani
wtłoczony w plastik Olej Kujawski.
Absolutnie.

Kładą się na ścianach poprzecznie
pola kwitnącego rzepaku, nieustanna
wiosna, miks cytrynowych ciasteczek
i yellow banana uśmiechów.

Napatrzeć się nie mogę. Skaczę –

Eekstraaaa!

Co „grało i gra” w duszy Ślązaków?

Z profesor **KRYSTYNĄ HESKĄ-KWAŚNIEWICZ** rozmawia

PIOTR SKOWRONEK



Stulecie powstań śląskich to doskonała okazja do rozmowy na temat historii, także literackiej tego okresu. Przypomina się dzisiaj wiele wydarzeń i ludzi, powstaje Panteon Górnos Śląski, inicjuje się rozmaite wystawy, odczyty, publikacje. Mamy nowoczesne Muzeum Śląskie, nową siedzibę NOSPR-u, odnowioną Filharmonię Śląską, uniwersytety. Jednak, czy to wystarczy, by zrozumieć, co „grało i gra” w duszy Ślązaków?

Sądzę, że może być to chwila na zastanowienie się nad zaniedbaniami nauki polskiej wobec szeroko pojętej kultury, także literackiej, pierwszych dziesiątków lat XX wieku na Górnym Śląsku. Taki swoisty stan badań. Na pewno nie rozpoznano w pełni życia literackiego tamtego okresu, nie powstała pełna antologia pieśni powstańczej, a przede wszystkim poezji powstańczej, tak bogatej i różnorodnej! To, co stworzył Bolesław Lubosz, wybór *Ponad milczeniem i walką*, cenne jako rekonosans, nie jest w pełni reprezentatywne. Antologia Lubosza powstawała w latach siedemdziesiątych i jest mocno obciążona cenzurą. Ta poezja pełna była akcentów antybolszewickich, była też bardzo religijna, nie można było wówczas takich tekstów przypominać. I ten stan trwa do tej pory. Aby prowadzić badania należałoby powołać pracownię, w której realizowano by kwerendę prasową, także druków ulotnych, by wydobyć wszystkie zapomniane utwory. Czasem naprawdę wartościowe literacko. Ta poezja pokazuje z jakich tęsknot, marzeń ale też krzywd wyrastały zrywy powstańcze, jak żyli i jacy byli ówcześni mieszkańcy Śląska. Modelowym wzorem mogłaby tu być antologia poezji pierwszej wojny światowej Andrzeja Romanowskiego *Rozkwitwały pąki białych róż*. Starannie opracowana, pokazująca różne odmiany tekstów, z metryczkami bibliograficznym, stanowiłaby prawdziwy pomnik Powstań Śląskich. Podobnym zaniedbaniem jest brak monografii „Kocindra”, a przecież aż się prosi o reprint tego pisma, żeby ludzie zobaczyli, jak wyglądał celny dowcip polityczny!

Powróćmy do wybuchu powstań. Uważa Pani, że inicjatywa należała do Ślązaków, którzy dążyli do przyłączenia do Polski?

W moim odczuciu była to sprawa wspólna.

...bo Polska im w tym pomaga?

Polska im w tym pomagała, bo o tę pomoc proszono, właśnie w prasie z tego okresu jest wiele dowodów. Śląsk wprawdzie od XIV wieku był oderwany od ziem polskich, ale przenikały tu cały czas wpływy Poznańskiego i Małopolski, kiedyś nawet toczył się spór, która dzielnica miała większy wpływ na odrodzenie narodu Śląska. To temat na kilka konferencji, choć książek już trochę na ten temat jest. Gdy się prześledzi program tzw. „pielgrzymek narodowych”, to widać, że już w XIX wieku idą one na Wawel; może dlatego ks. Norbert Bonczyk w *Górze Chełmskiej* pisze o Górze św. Anny: „Tu Śląsk ma swoją Wandę, tu swój Wawel święty”; z czegoś wyrasta takie porównanie...

Jakie zatem było literackie pokłosie powstań śląskich?

Ks. Emil Szramek, którego postacią jestem zafascynowana od dawna, był w latach 1918–1924 redaktorem naczelnym *Głosów znad Odry*, którego wydawcą było Towarzystwo Oświaty im. św. Jacka. Było to znakomite czasopismo, nasycone cytatami z polskich romantyków, może najwięcej było Zygmunta Krasińskiego. Ks. Szramek dobrze znał śląskiego odbiorcę i do niego adresował literaturę wysoką i w dużym stopniu mistycyzującą. Dlaczego Karol Miarka (młodszy) w Mikołowie tłoczył w sporych nakładach dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, romantyków krajowych? Książki były pięknie wydane, zawsze z dobrym wstępem.

Miał więc odbiorcę, a książki cieszyły się poczytnością.

I kolejne argumenty. Profesor Stanisław Pigoń, znakomity krakowski uczonec, opisuje w książce autobiograficznej *Z Komornymi w świat*, że gdy jako członek Eleusis przyjeżdżał tutaj na Śląsk, do Zabrze, Zaborza, Rudy Śląskiej, Bielszowic prowadził wykłady dla górników. Oto fragment ze wspomnień uczonego: „Zebrania były liczne. Wyszedszy z »szychty«, zaledwie obmywszy się, schodzili się młodszy i starsi, częstokroć już mocno leciwi górnicy posłuchać polskiego słowa i poezji.

Czytaliśmy im wieszczów, to znów ustępy z dziejów Polski, objaśniając w miarę możliwości. U większości tych ludzi uderzał mnie zawsze jakiś głęboki, wrodzony pociąg do mistycyzmu; nigdzie w środowisku ludowym nie spotkałem tego rysu w stopniu tak wysokim. Rozprawy o naturze Boskiej, o preegzystencji, o życiu pośmiertnym, także o zjawiskach spirytystycznych, gotowi byli ludzie ci prosić prowadzić do późnej nocy bez znużenia”. Zdumiewające, prawda! Gdy się to ułoży w jakąś całość: *Głosy znad Odry*, wydawnictwa Miarki i relacje Stanisława Pigoń, a dodajmy jeszcze niezwykłą popularność *Roty* Marii Konopnickiej, to zyskujemy zdumiewający obraz Śląska, jego potrzeb duchowych.

To by oznaczało też, Pani Profesor, że działania Juliusza Ligonia, nestora rodu Ligonów, nie poszły na marne, bo on rozbudzał między innymi potrzeby intelektualne i duchowe tych ludzi.

Tak, oczywiście, Juliusz Ligoń się w tę całość znakomicie wpisuje. Ale może trzeba dodać jeszcze jedno. Tutaj kapłani, zwłaszcza kapłani katoliccy, którzy wychodzili z „ludu”, zdobywszy wykształcenie w Widnawie czy znakomitym Wrocławiu, gdzie działały różne „towarzystwa słowiańskie” w uniwersytecie i gdzie uczyli dobrzy wykładowcy, także literatury słowiańskiej, wracali tu, do ludu. Nie szukali wsparcia u niemieckich potentatów przemysłowych, tylko powracali do korzeni. Mówili do ludzi w „języku ich serca”, jak to określił ks. Szramek i tak się budowała jeszcze inna wspólnota, zwłaszcza, że w domu rodzinnym była książka do nabożeństwa napisana po polsku.

I ta całość potem wydaje owoce. Czy zatem możemy postawić hipotezę, że

wobec ostrej germanizacji, która dotyczyła kultury, szkolnictwa i większości dziedzin życia, poszukiwania intelektualne stanowiły swojego rodzaju sprzeciw, a nawet odpór Ślązaków? Przecież deprecjonowano nawet gwara, mówiąc, że jest to język bez wartości, „wasserpolnisch”.

Jest takie powiedzenie: *napór budzi odpór* i jest to psychologicznie uzasadnione. Trzeba we wszystkim mieć umiar, i w takiej sytuacji też, jak pokazuje historia.

Tutaj najwyraźniej jednej ze stron tego umiaru zabrakło.

Tak, ale jednocześnie pamiętajmy, że jest już początek XX wieku i w całej Europie dochodzą do głosu tendencje niepodległościowe, już jest przedproże niepodległości i zaraz wybuchnie I wojna światowa.

Dobrym przykładem skorzystania z kapitału językowego był Stanisław Ligoń, nazywany „śląskim Rejem”, bo- wiem kiedy pracował nad umocnieniem świadomości narodowej na łamach „Kocindra”, czynił to w zasadzie w trzech językach: w polskim literackim, po niemiecku i gwarą, znajdując mocny oddźwięk w sercach i świadomości Ślązaków. Samo pismo wydaje się być swoistym ewenementem tamtych czasów.

Jestem urzeczona „Kocindrem” i bardzo się dziwię, że nie powstał reprint pisma, które jest bardziej wymowne niż wszystkie próby tłumaczenia arcydzieł literatury na tzw. „język śląski” (*śmiech*). Ligoń potrafił powiedzieć wszystko, swobodnie poruszał się w różnych rejestrach języka, na przykład nigdy nie był wulgarny, ale był doskonale rubaszny i często w zderzeniu nawet z wyrafinowaną sytuacją, powiedzmy polityczną, wprowadzał taki humor językowy czy sytuacyjny, że my się dzisiaj jeszcze z tego śmiejemy.

Właśnie chciałem zauważyć, że te teksty są ciągle aktualne, są po prostu nadal śmieszne.

To dobry dowcip polityczny, który się nie zestarzał, a wiadomo, że dowcip ma krótki żywot. Dzisiaj żyjemy w epoce kultury obrazu, a co zrobił Ligoń?

Uzupełnił słowo mnóstwem świetnych rysunków.

Można określić to jako prekomiks; dzisiaj Ligoń miałby z czego żyć! Jego rysunki można analizować ze studentami, wykorzystywać na wykładach popularnych i naukowych, pokazując jak można walczyć słowem, jaką ono ma moc w dobrym połączeniu z obrazem. Dla mnie Ligoń był genialny, bo on się właśnie poruszał – znów używam tego słowa – w różnych rejestrach kultury: popularnej i wysokiej, pisał wiersze liryczne, satyryczne, okolicznościowe, „god-

ki”, felietony. Świetnie bawił humorem, śpiewał, wzruszał i poruszał.

Pewnie dużą rolę odegrało tu jego wykształcenie. Wędrując za wiedzą i sztuką od Poznania przez Kraków do Berlina i z powrotem, „liznął” wszystkiego po drodze. Potrafił się znaleźć w każdym środowisku – od robotniczego, ludowego po wyrafinowane intelektualnie i politycznie.

Właśnie. Ligoń był geniuszem, ale o tym dość się nie mówi. To był największy kapitał tamtych czasów i właściwie nie ma porównywalnej postaci w późniejszym okresie. Ale nie potrafimy być dumni z „Karlika z „Kocindra”!

Dlaczego zatem spotkał go taki los?

Może dlatego, że nie mieścił się w określonych ramach, kanonach, konwensacjach. Przecież on ze wszystkiego wychodził, wszystko przerastał. Wystarczy się na niego popatrzeć, to *vis comica*, ale biada temu, kto próbowałby z niego zakpić.

Dzisiaj pewnie można by nazwać go celebrytą, co niekoniecznie do Ligonia pasuje, ale coś z tego poklasku i sławy w sobie miał?

Tak, tylko że to było u niego naturalne i zasłużone, bez sztucznych zabiegów. Spotkałam jego wpis w księdze gości w Skoczowie, w domu Morcinka. Dowcipny, śliczny z rysunkiem – przyjacielski. Pisał: „Po długich latach tułaczki wśród obcych, zaś z łaskawości Pon Bóczka – zawitolech w miłej chatce Gustliczka i raduję się bardziej, aniżeli jego „Aza” kiej jom spuszczoż w łańcucha... Szczęść Wom Boże Gustliczku i życzę żebyście jej nigdy już nie musieli opuszczać. Zawsze Wam wierny »Karlik« (Stanisław Ligoń)”. A potem spotkałam go w Kronice Hufca ZHP Mysłowice z *Inwokacją* trochę przypominającą Mickiewiczowską *Odę do młodości*: „Zgoda nas łączy, miłość zespoli, / Unoś swe skrzydła na lot sokoli”. Odśpiewał ją na melodię *Karolinki*, wywołując niebywały entuzjazm drухen i drухów. Kto odnajdzie te wszystkie ślady Ligonia, kto je opisze? Był wszędzie, jakby miał dar bilokacji! I wszędzie jego przyjazd był świętem. On się – o tym mówił pan przed chwilą – potrafił odnaleźć w każdej sytuacji i w każdym środowisku. Fenomen.

Malarz polichromii, pejzażysta, portrecista, rysownik, twórca karykatur, aktor, reżyser, scenarzysta, choreograf, radiowiec, dziennikarz, społecznik – to tylko niektóre z nieprzeliczonych zainteresowań Ligonia, a przy tym to doskonały, o niezwykłej energii organizator. Sam żartował, że gdyby gdzieś brakowało prezesa, to zgłasza swoją kandydaturę! Żartował, ale był niemal wszędzie. Przy czym prawdziwym żywiołem Karlika było radio.

Myszę, że on taką drogą trochę wyprzedzał swój czas, idąc w kierunku radia, telewizji jeszcze nie było, nie wspominając innych środków przekazu! To było to medium, które w sposób zwielokrotniony mogło docierać do każdego człowieka. Stąd te opisy, jak się wszyscy gromadzą koło radiodbiornika w sobotę, bo będzie Ligoń; potrafił ludzi przyciągać, stwarzać wspólnotę.

Aktorsko czarował słowem.

Tak, tylko że on równie dobrze posługiwał się słowem w mowie, jak w piśmie i „przemawiał” też rysunkiem!

Wydaje się, że właśnie dlatego wojewoda Michał Grażyński powierzał mu tak wiele zadań.

Myszę, że Grażyński był człowiekiem inteligentnym i wołał mieć Ligonia za sobą niż przeciw sobie (*śmiech*).

To nie ulega wątpliwości, ale czy ta „przyjaźń” (raczej szorstka!), po wojnie Ligoniowi trochę nie zaszkodziła? Był widziany jako człowiek sanacji, otarł się na Bliskim Wschodzie o Armię Andersa. I mimo tego, że powrócił do kraju, nie zasługiwał na to, żeby być etatowym pracownikiem radia, któremu przed wojną dyrektorował.

Morcinek był w podobnej sytuacji i też został upokorzony. O Zofii Kossak w PRL można by napisać osobny szkic. Wszystko, co dobre było w dwudziestolecie, w PRL-u trzeba było skompromitować. A przecież Ligoń wówczas święcił tryumfy. Był nauczycielem w bardzo prestiżowym Gimnazjum im. Adama Mickiewicza, gdzie uczyli świetni nauczyciele, potem w Radiu, w teatrze – i proszę zważyć, że w tzw. „czarnej księdze Gestapo” Ligoń figuruje dwa razy, jako nauczyciel i jako redaktor.

Mowa o Sonderfahndungsbuch Polen. Specjalnej księdze gończej dla Polski. Czyli z rąk hitlerowców otrzymał podwójny wyrok?

Tak za jedno i za drugie, za tzw. „całokształt”!

I dlatego obawiano się go także po wojnie? Przecież był w świadomości społecznej ciągle popularny.

Ludzie czekali na jego słowo.

Z relacji biografów, mocno okrojonych, kiedy opowiadają o tym okresie wynika, że próbowano nim sterować na przykład poprzez cenzurę czy inne przykre zabiegi, np. podatek od rzekomego niemieckiego mienia, czyli dom, który wybudował przed wojną przy ul. M. Szeligiewicza (wcześniej A. Lisieckiego).

Ale nim się nie dało sterować, każdego potrafił wystrychnąć na dudka.

Dlatego starano się jego twórczą swobodę maksymalnie ograniczyć?

Właśnie tak. Przecież pan wie, że bano się nawet jego pogrzebu. Opowiadała mi Agata Wojterzanka, będąca „twarzą” Radia Katowice, że oni prawie do końca nie wiedzieli skąd będzie szedł kondukt Ligonias, bo ciągle puszczano mylne informacje. Raz podawano, że z Radia, drugi raz, że z domu. Chodziło o to, żeby ten tłum się nigdzie nie zgromadził. Świetna książka Feliksa Netza pt. *Róg Ligonias i Królowej Jadwigi* pokazuje znakomicie niszczenie Ligonias.

Po prostu obawiano się manifestacji? Pośrednio może o tym świadczyć bardzo lapidarny, jak na człowieka mediów, nekrolog zamieszczony zaledwie w dwóch gazetach, w tym w „Trybunie Robotniczej”. Radio milczało! A przecież Ligoń był kochany!

Tak, był kochany nie tylko przez Polaków, ale chyba także przez Niemców, bo przecież to Niemka go ostrzegła, tuż przed wkroczeniem wojsk niemieckich, by uciekał!

I udało mu się ująć z życiem.

Na tułaczkę.

Niedawno wyszła książka Henryka Grzonki *Ziemia Święta w obiektywie Karlika z „Kocyndra”* ukazująca album fotograficzny Ligonias, który powstał na Bliskim Wschodzie, w Jerozolimie, Palestynie, Egipcie. Autor zauważył, że Ligoń był w jakiejś mierze reprezentantem swojej rodziny w pielgrzymowaniu do Ziemi Jezusowej, na które ani dziadek Juliusz, ani ojciec Jan nie mogli sobie pozwolić. Pani Profesor odkryła w albumie przestrzeń wartości religijnych, którym Karlik był wierny, a które zostały zdeprecjonowane w PRL-u epitetem „kapliczkowości”.

Nie wiem dokładnie, co to znaczyło. Co jest złego w kapliczce? Badacze folkloru rejestrują i opisują kapliczki. Wszyscy badacze religijności także zachwycają się kapliczkami. Mało tego, przecież kupujemy pamiątkowe kapliczki.

Może komuniści bali się kapliczek?

Kaplica to jest coś poważnego, a kapliczka to zdrobnienie, jest w tym może jakaś poufałość! Jestem urzeczona tym albumem i tego nie ukrywam. Widzę tam różne ciągi narracyjne. Takie przestrzenie, których musiało wypatrywać oko fotografa, trochę chyba stęsknionego za krajobrazem ojczystym, a z drugiej strony szukającego i egzotyki, i sacrum, i człowieka. Te zdjęcia można oglądać na różnych poziomach: raz ułożą się w opis krajobrazu, raz opis *sacrum*, ale też przez twarze ludzkie. Widać, że to bystry, wnikliwy obserwator robił, choć miał amatorski aparat fotograficzny.



Stanisław Ligoń – rzeźba na ulicy Ligonias, Katowice

Nie wiem, czy mógł mieć wówczas lepszy technicznie sprzęt. Wędrując uliczkami współczesnej Jerozolimy, zauważymy w oknach wystawowych zakładów fotograficznych zdjęcia z końca lat trzydziestych i początku czterdziestych ubiegłego wieku, przypominające te Karlikowe. Zdaje się, że panowała wówczas moda na takie hobby, zwłaszcza wśród stacjonujących tam żołnierzy. Popularność aparatów małoobrazkowych pozwoliła im po raz pierwszy zabrać wojenne doświadczenia do domu i podzielić się nimi z najbliższymi, a gdy los okazałby się tragiczny, być może zostawić to sobie pamiątkę. Oczywiście, kto miał większą wrażliwość estetyczną, potrafił zrobić z aparatu lepszy użytek.

Tylko widzi Pan, Panie Piotrze, osobowość twórcza zawsze szuka środków wyrazu i tam obudził się w nim jeszcze jeden talent. On zobaczył, że tymi zdjęciami też można mówić.

Bo oczywiście „mówił” we wszystkich znanych sobie środkach wyrazu: malował, organizował Nowy Dom Polski, tzw. za murami, bo Stary był przepełniony; tworzył audycje radiowe nadawane przez BBC w Jerozolimie, opublikował wybór *Berów i bojek śląskich* nakładem Sekcji Wydawniczej 3 Korpusu dla Ślązaków, którzy uciekli z Wehrmachtu do polskiego wojska, pracował nad wystawieniem *Wesela na Górnym Śląsku*, ale to udało się dopiero we Włoszech, w Ankonie, przy doborowej publiczności.

I wydał także ten podręcznik *Śląska Ojczyzna*, znakomity i też nie mogę wyjść ze zdumienia, że tego nikt do tej pory nie wznowił!

Widać, że u Ligonias tętni życie.

Być może, ktoś inny wpadłby tam w de-

presję, a on szukał innego sposobu życia. Różne były losy emigrantów i ich zachowania, a on dalej tworzył. Dalej szukał człowieka, do którego chciał mówić.

I to na różnych płaszczyznach, bo przypomnijmy, że w albumie Grzonki jest fotografia obrazu Śląskiej Hetmanki – Matki Boskiej Piekarskiej – namalowana na prośbę żołnierzy.

Ona jest bardzo piękna. Przyznam się, że to rozjaśnienie tła, takiej pogody nadało temu obrazowi, że przypomina trochę Uśmiechniętą Madonnę z Pszowa. Czy on chciał w ten sposób krzepić tych, których tam los zagnał, że zmienił *de facto* wymowę tego ujęcia? Jej się lekki uśmiech błąka na ustach. Jest taka jasna, złocista. Pogoda bije z tego obrazu.

I jednocześnie ufność jakaś dla żołnierzy w Bożą Opatrzność.

Można powiedzieć: ufność. I też mało się o tym wie.

Obraz na szczęście trafił do Polski, do Muzeum Instytutu Tarnogórskiego, staraniem dr. hab. Marka Wrońskiego, założyciela muzeum, ale trzeba jakiegoś obycia tropiciela, żeby tam trafić. Co więcej, olbrzymie zbiory placówki prezentowane są na bardzo skromnej przestrzeni.

Album uświadomił mi też to, ilu musiało być uciekinierów z Wehrmachtu, że gen. Anders chciał III Korpus tworzyć dla nich. Reakcja Ligonias była również odpowiedzią na to, że to nie była garstka ludzi, że tam była cała społeczność, która zapewne szukała jakiegoś wsparcia duchowego.

Nawet dzisiaj wędrując Via Dolorosa możemy dostrzec, ile polscy żołnierze do niej wówczas wnieśli, a to jedynie skromny fragment poloników Zie-

mi Świętej. Zwrócił mi na to uwagę ks. dr Dawid Ledwoń, konsultant historyczno-bibliistyczny Ligoniewego albumu w czasie wspólnej pielgrzymki. Śląska cecha praktycznego obok duchowego zaangażowania, jest tam bardzo widoczna. Dzięki polskim żołnierzom zrekonstruowano na przykład kaplicę III i IV Stacji Drogi Krzyżowej, a w Tyberiadzie postawiono polski pomnik na dziedzińcu kościoła św. Piotra. Zachował się drewniany krzyż niesiony w 1941 roku także przez Ligonia.

Działanie jest znakomitą terapią. Tak sobie myślę, że gdyby dzisiaj wydać *Śląską Ojczyznę*, z komentarzem wzbudziłaby zainteresowanie, taka inna „czytanka” śląska. Nie ma czytanka dla szkół śląskich. Czy ona by nie mogła tej roli spełnić? Tam są takie świetne teksty.

Wróćmy do czasów powojennych, kiedy Ligoń wraca z emigracji i zastaje zupełnie inną rzeczywistość. Podjęła się Pani Profesor jej opisanie w opublikowanej wspólnie z prof. Lucyną Sadzickowską książce *Działalność poselska Gustawa Morcinka, czyli katalog ludzkiej biedy, gdzie pokazane są dokumenty z czasu posłowania autora Wyrąbanego chodnika. Losy Karlika i Gustlika są tragicznie zbieżne.*

Dziękuję panu za podjęcie tego wątku, bo on rzeczywiście jakoś jest zbieżny z Ligoniem. Ligonia wpędzono do grobu, bo tak to trzeba nazwać. Zresztą wspominał o tym jego wnuk Andrzej Sas-Jaworski.

Na przykład pisanie do *Radiowej Czełodki* tekstów przez autora z Sosnowca, które Karlik starał się jakoś dostosować. Kneblowanie Ligonia musiało doprowadzić do jego śmierci, a Morcinek żył. Wrócił tu z Dachau. Też przejechał przez Zachód, powędrował po Wiecznym Mieście, spotkał się z żołnierzami II Korpusu. Chciał pisać. Czekało też na jego słowo, bo to widać. Moja pierwsza doktorantka, cieszynianka Ewa Fonfara, badała recepcję Morcinka w dwudziestolecie międzywojennym. Głównie był popularny na Kresach. Ogromne ilości listów, wycieczek, zaproszeń. Potem ci ludzie z Kresów, wygnani, przenieśli się na Ziemię Zachodnie i dalej czekało na słowa Morcinka, a on książkę dla młodzieży *Zabłakane ptaki* poprawiał kilkanaście razy, bo się nie podobała „czynnikom społecznym”.

Czyli nie przypadkiem padło wówczas na niego.

Nie przypadkiem. To jest dla mnie dramatyczny przykład tego, jak uwikłanie w politykę niszczy twórcę. Każdego twórcę. Twórczość literacka, naukowa, muzyczna, architektoniczna musi być wolna. Musi być autonomiczna. Wszystkie naciski ją niszczą. A jemu zabrano czas na pisanie. Kazano mu siedzieć w ła-

wach poselskich, a jak wiadomo był to sejm niemy. Raz zabrał głos w czasie całej kadencji, zmuszony do wystąpienia z wnioskiem o przemianowanie Katowic na Stalinogród, bo tak by się w ogóle nie odezwał. Kiedy studiowałyśmy te dokumenty, to wynikało z nich jasno, że interpelacji nie wolno było wnosić. Morcinek został zniszczony wielokrotnie. Zabraniem czasu, kastrowaniem tekstów, przymusem siedzenia na tych sesjach...

...i odpowiedzialnością społeczną. Z dokumentów wynika taka gama rozmaitych próśb wszelkiego rodzaju, od rzeczy absurdalnych po drobiazgi, która musiała go pochłoniąć, w które chcąc nie chcąc był uwikłany. Choć przez chwilę nawiwny myślał, że coś mu się uda dla Śląska wywalczyć.

Ale jak absurdalnych! Łajdak uwiódł dziewczynę, więc czy Pan Poseł może mu przemówić do sumienia, żeby się ożenił... (*śmiech*) Ktoś inny pisze: głosowałem na Pana, musi mi to Pan załatwić. Nie brakowało również sytuacji dramatycznych. Jedną z nich, która się na szczęście dobrze skończyła, była sprawa profesora Walerego Pisarka; nie wiadomo jaki byłby jego los, gdyby nie pomoc Morcinka. Ale tam, gdzie proszą, żeby się wstawił z prośbą o ułaskawienie syna albo dziewczyny, która kupiła 10 kg cukru i trafiła do obozu pracy, to są historie tragiczne. Dzisiejszemu czytelnikowi w głowie się to nie mieści, komuś zabrano całe mienie, bo żona miała drugą kategorię Volkslisty! I człowiek w jednym momencie został bez dachu nad głową i środków do życia.

Panie publikują listy Morcinka, w których stwierdzają, iż to, że nie został pośłem na drugą kadencję jest ulgą porównywalną z wyjściem z obozu koncentracyjnego.

Tak, używa określenia: „osaczenie”. Tropiłam przez bardzo wiele lat, kto go do tego zmusił, personalnie, bo wiem od Walerii Kuglinowej, że wieczorem miał telefon, po którym zbladł i już mu się żyć nie chciało. Kto go wykonał? Kto go zmusił do tej interpelacji w sprawie Stalinogrodu? Rozmawiałam z członkami ówczesnego Stronnictwa Demokratycznego, bo przecież na uroczystość wręczenia nagród im. Gustawa Morcinka jeździłam od lat osiemdziesiątych, z referatem. Pamiętam, jak w Cieszynie, w Bobrku, gdzie jest filia Uniwersytetu Śląskiego, było wręczenie nagrody. Przyjechałam autobusem, ze mną szli starsi panowie. Pomyślałam: SD i zagadnęłam ich. Boże, jak oni przyspieszyli, żeby mnie zgubić! (*śmiech*) Śnieg sypał, bo to był grudzień, a oni gnali jak chłopczkowie. Rozmawiałam z sędzią Józefem Musiołem, zaangażowanym przecież w Stronnictwo Demokratyczne, kręcił głową, wzdychał, nic nie potrafił mi powiedzieć.

Tajemnica?

Raczej lęk, jeszcze w latach osiemdziesiątych. Kogo się tak bali? Kto się taki wyłupiastooki strach, że nawet w obronie czci człowieka, który był przecież wizytówką Śląska, nikt nie miał odwagi stanąć? A dzisiaj już zapewne nikt nie wie.

Przykre.

Bardzo przykre. Zresztą w listach do Jana Kuglina, które przytoczyłyśmy, pisarz opowiada jak go zmuszono do posłowania, mówiąc, że inaczej żadnej książki więcej mu nie wydadzą. Morcinek nie był Stefanem Kisielewskim, żeby się „ukryć” w wydawnictwie muzycznym, on tylko umiał pisać o Śląsku. A jednocześnie aresztowano po czeskiej stronie jego przyjaciela, ks. Leopolda Biłkę. Zbyszko Bednorz też już siedział w więzieniu, podobnie jak Alojzy Targ. Miał się czego bać!

Pisarstwo było jego chlebem.

Pisarz był już wtedy bardzo schorowanym człowiekiem i miał na utrzymaniu siostrę, Teresę, kształcił też wnuczkę siostry Joanny, Małgosię, którą bardzo kochał. Pan też zwrócił uwagę na relację profesora Wyki: Morcinek „błady jak ściana, drętwym głosem” – i otrzymał huczne brawa, owację! Bo sala musiała bić brawa. Wszyscy klaskali, a gdyby cała sala zamilkła, nic by nikomu nie zrobiono. Prawda? A tu huragan braw. To jest dopiero przykład manipulacji.

Jakaś nieludzka perspektywa.

No tak, ale jak się na to popatrzy: Ligoń, Morcinek – dwóch Ślązaków – po co ich trzeba było niszczyć? Dlaczego? Żeby ukarać Śląsk?

To jest pytanie na inną rozmowę **Wróćmy do początku naszej rozmowy. Dlaczego jest tak, że łatwiej postawić Panteon wielkich Ślązaków niż przeprowadzić rzetelne badania, o których Pani wspomniała?**

Panie Piotrze, zna Pan wiersz Gałczyńskiego: „Bo żywy student, to jest kłopot dziki. / A my Polacy, my lubim pomniki”. I to stawianie pomników to jest też dowód na to, że Śląsk jest polski (*śmiech*). Gdyby powstała duża dobra szkoła artystyczna im. Stanisława Ligonia, w centrum Katowic, gdzie uczono by tworzenia różnych technik graficznych, gdzie wykładaliby profesorowie katowickiej ASP, to byłby pomnik! Z jego zdjęciami, karykaturami, pokazywaniem jak się to robi.

I reprintem „Kocindra”...

...i wycieczkami do Muzeum Mehoffera. Można by organizować wycieczki szlakiem Stanisława Ligonia. Od Chorzowa, od Królewskiej Huty, przez Truskolasy, nawet do Berlina...

Wiele jeszcze przed nami. Bardzo dziękuję za rozmowę.

Ja też dziękuję!

Zwyczaje powitania wiosny między dawnymi ludami Europy

MICHAŁ SPURGIASZ

Gdy Europę porastała gęsta knieja, a zimy były jeszcze długie i śnieżne, wiosna była czymś upragnionym i wyczekiwany. Ostatnie tygodnie każdej zimy wyznaczone były przez kończące się zapasy w spiżarniach mieszkańców północnej części kontynentu europejskiego. Zima w percepcji ludzi oznaczała ryzyko śmierci, wiosna była nadzieją na nowy początek. Wraz z jej nadejściem dni stawały się coraz dłuższe, a chłód i lód powoli ustępowały zieleni, która niosła z sobą obietnicę pożywienia. Wiosna, czy raczej jej nadejście było dla mieszkańców dawnej Europy wydarzeniem wielkim i doniosłym. Życie powracało na świat po okresie dominacji śmierci. Pięknym, choć bardzo późnym z omawianej perspektywy przykładem znaczenia wiosny dla życia ludzkiego są fragmenty zachowanych do dzisiaj średniowiecznych pieśni, które pochodzą ze XIII wiecznego zbioru *Carmina Buarana* (fragmenty w języku polskim w przekładzie Mariana Piechala):

Omnia sol temperat
purus et subtilis,
novo mundo reserat
faciem Aprilis,
ad amorem properat
animus herilis
et iocundis imperat
deus puerilis.

Ecce gratum
et optatum
Ver reducit gaudia,
purpuratum
florete pratum,
Sol serenat omnia.
Iamiam cedant tristitia!
Estas redit,
nunc recedit
Hyemis sevitia.

Świat łagodzi słońce,
światła siła żywa,
kwieciami swe oblicze
przed światem odkrywa,
miłość w sercach mężów
wre coraz goręcej,
wszystkim, co jest miłe,
władza bóg chłopiący.

Oto z dawna
upragniona
wraca radość wiosny,
purpurowa
kwitnie łąka,
słońca hymn radosny
smutku mgły rozprasza,
idzie lato,
resztki zimy
ze świata wypłasza.

W percepcji ludów celtyckich rok dzielił się na dwa okresy – porę ciemną, którą możemy rozumieć jako zimę oraz porę jasną, lato. Symbolicznym początkiem wiosny był obchodzony 1 maja festiwal Beltane. Odbiwał się on ku czci popularnego boga Bela (*Beli/Belenus/Belenos*, imię to oznacza „łśniący”), który reprezentował słońce, płodność, a także władzę nad życiem i śmiercią. Beli kojarzony był ze zwierzęciem, jakim był koń, a za jego atrybut często uznawano koło. Zgodnie z wierzeniami podróżował przez niebo w rydwanie (koło) zaprzężonym w rumaki. Juliusz Cezar porównywał Bela do Apollina. Festiwal ku jego czci był radosnym świętem oczyszczenia i nowego początku, było to święto ognia. W trakcie Beltane Celtowie rozpalali wielkie ogniska na wzgórzach, wokół których toczyły się uczyty i zabawy. W ich trakcie ludzie tańczyli wokół ognisk zgodnie z ruchem słońca, kierując się nadzieją, iż to doda słońcu siły i zapewni poprawny wzrost roślinności. Bydło było wyprowadzane z zimowych pomieszczeń i przeprowadzane między dwoma płonącymi ogniskami. Miało to je przygotować do udania się na letnie pastwiska oraz zapewnić bezpieczeństwo od chorób. Celtowie z chęcią zabierali płonące szczapy z ogniska do domów, ponieważ uważano, iż ogień z ogniska rozpalonego w Beltane ma moc leczenia chorób i wzmacniania ciała, wszak był ucieleśnieniem ożywczych mocy słońca, które każdej wiosny na nowo budzi świat po zimie. Tradycyjne udawano się również w miejsca, skąd woda wydostawała się na powierzchnię – do źródełek i studni, które dekorowano młodymi kwiatami, celem zapewnienia dobrych deszczy, bez których wzrost upraw byłby niemożliwy. Zwyczajem łączonym z obchodami Beltane, o którym niestety nie zachowało się zbyt wiele informacji, był zwyczaj wybierania Majowej Królowej i Majowej Króla. Można założyć, iż wybrańcy społeczności traktowani byli jako reprezentacja duchów przyrody, a ich unia (która odbywała się w stanie upojenia alkoholowego), miała wspomóc płodność zwierząt, jak i zapewnić szybszą wegetację roślin. Jednym z tradycyjnych zwyczajów związanych z Beltane, który przetrwał nawet do dzisiaj jest wzniesienie i taniec dookoła słupa majowego (*Maypole*). Był to wysoki, przyozdobiony girlandami, porościami i wieńcami drewniany pal ustawiany w miejscu celebracji. Taniec polegał na ruchu w krąg wokół słupa. Czasem słupy posiadały przymocowane wstęgi z materiału, były one stosowane w tań-

Beltane Fire Festival 2019, Calton Hill, Edynburg. Fot. Nyri0



cu – tancerze, trzymając wstęgi w dłoni, powoli poruszali się zgodnie z kierunkiem słońca, nawijając na słup wstęgę, jedynie po to, by po zakończeniu dzieła rozpocząć taniec w drugą stronę i ponownie rozwinąć wstęgi. Najprawdopodobniej podobnie do pozostałych elementów obchodów Beltane zwyczaj ten miał na celu uczcić powracającą vegetację, życie i wydłużający się dzień. Jednakże pomimo całej radosnej atmosfery nie wszystkim członkom społeczności celtyckiej było do śmiechu. Beltane poprzez kontekst nowego początku był też tradycyjnym dniem rozwodów. Ponadto niektórzy badacze sugerują, iż pierwotnie zwyczaj rozpalania ognisk miał zdecydowanie mroczniejszy charakter – niewykluczone jest, iż wczesnym obchodom Beltane towarzyszyła ofiara z człowieka, który był ciskany w ogień wielkiego ogniska (sugestia taka pojawia się w tekście Johna Arnotta MacCulloch *The Celtic and Scandinavian Religions*). Należy mieć również na względzie, iż noc Beltane była uważana za okres względnie niebezpieczny dla wędrowców. Miał to być okres liminalny, między zimą a latem, kiedy granica między światem ludzi i światem duchów była szczególnie cienka. Podróżnicy, wędrując gośćmi, mogli przypadkiem zboczyć z drogi i znaleźć się w świecie podziemnym. Podobnie i duchy, i fae (*faerie/fay/fairy*), mityczne duchowe istoty, czasem przedstawiane jako prekursorzy ludzkości. Szkocki folklor dzieli fae na *Seelie Court* – psotników nie zagrażających życiu ludzkiemu i *Unselie Court* – fae mroczne i niebezpieczne – te bez problemu mogły w trakcie Beltane przenikać przez barierę między światami. Historie tego rodzaju są osnową wielu zachowanych do dziś celtyckich legend.

W przypadku średniowiecznej kultury germańskiej można dostrzec interesującą analogię między celtyckim Beltane a Nocą Walpurgii (*Walpurgisnacht*). Zbieżnością jest nie tylko data – noc z 30 kwietnia na 1 maja, ale też zwyczaj rozpalania ognia na wzgórzach, które zgodnie z przekonaniami już schrytyzalizowanych germanów miały na celu odstraszać czarownice i złe duchy. Jawi się tu interesująca dychotomia wczesnośredniowiecznej Europy. Niewykluczone jest, iż w noc z 30 kwietnia na 1 maja powoli zanikająca ludność pogańska udawała się na wzgórze, by oddać cześć nadchodzącej wiosnie, a w percepcji swych chrześcijańskich pobratymców stawali się czarnoksiężnikami i czarownicami, którzy idą na spotkanie z diabłem. Wraz z upływem czasu i zanikiem grup pogańskich jedyne co pozostało to romantyczna wizja czarownic leżących w Noc Walpurgii na diabelski sabat na górę Brocken (co może również stanowić sugestię, iż góra Brocken była niegdyś ważnym ośrodkiem kultu pogańskiego), przed których złą magią można obronić się jedynie... rozpalając ogniska na wzgórzach i rozświetlając noc. Jeśli jednak sięgniemy dalej, do czasów przedchrześcijańskich, to wyłania się postać zapomnianej germańskiej bogini, która prawdopodobnie była bezpośrednio związana z obchodami wiosny. Ęostre bądź też Ostara. Zachowała się o niej tylko jedna wzmianka w pochodzącym z XVIII wieku dziele *De temporum ratione* autorstwa Bedy Czcigodnego. Wiemy z niej, iż Anglosasi urządzali w kwietniu ucztę ku czci tej bogini, a wraz z chrystianizacją i zanikiem dawnych tradycji obchody święta Ęostre zostały wyparte przez obchody miesiąca paschalnego. Na podstawie powyższego francuscy badacze Alfred Ernout i Antoine Millet postawili sugestię, iż Ęostre najprawdopodobniej była boginią słońca, obfitości oraz nowego życia, mogła być związana z zającami, które o poranku miałyby przynieść jej światła. Nałożenie się na siebie świąt wielkanocnych (w języku angielskim *Easter*) i obchodów święta Ęostre mogłoby stanowić wytłumaczenie tajemniczej obecności zająca na stołach wielkanocnych.

Słowianie na kartach historii pojawiają się późno – dopiero w VI wieku naszej ery. Są oni ludem niepiśmiennym i samodzielnie nie pozostawiają tekstów opisujących własną kulturę. Prowadzi to do utraty sporej części dziedzictwa kulturowego pierwszych Słowian, ponieważ chrze-

ścijaństwo na ziemiach słowiańskich jest najczęściej wprowadzane siłą i charakteryzuje je pełna pogarda dla dawnych zwyczajów. Z perspektywy dzisiejszego człowieka, jeśli chcemy poszukać śladów słowiańskich zwyczajów związanych z obchodami świąt czy wydarzeń astronomicznych, to zmuszeni jesteśmy do rekonstrukcji, która opiera się głównie na badaniach etnograficznych kultury ludowej (czego przykładem jest cykl monografii *Świat naszych przodków* w opracowaniu Agnieszki Przybyły-Dumin).

Z pewnością z obchodami nadejścia wiosny między ludami słowiańskimi łączył się zwyczaj niszczenia poza siedzibą ludzką żeńskiej kukły

imieniem Marzanna i późniejszego powrotu z przystrojonym drzewkiem lub gałęzią – Gaikiem. Zwyczaj związany z marzanną początkowo spotykał się z potępieniem ze strony kleru, na co wskazują źródła z XVI wieku, jednakże wobec braku powodzenia tradycja ostatecznie zostaje uznana za tolerowaną. Najstarsze wzmianki dotyczące imienia kukły określają ją mianem Zimy bądź Śmierci. Marzanna symbolizowała zimą, chorobę, głód i zło dręczące ludzi w okresie zimowym. Z jednej strony jej niszczenie było tożsame ze zniszczeniem utrapień, z drugiej powrót z gaikiem miał pobudzić vegetację i przyspieszyć nadejście wiosny. Znamiennie jest, iż w przeciwieństwie do Beltane zwyczaj topienia marzanny nie posiadał jednej ustalonej daty. Zachowane źródła poświadczają, iż marzannę niszczone między innymi w: trzecią niedzielę wielkiego postu (druga połowa XVII wieku), czwartą niedzielę wielkiego postu (XIX wiek). Współcześnie Marzanna często jest niszczona wraz z końcem marca. Marzanna posiadała różne nazwy zależne od regionu. Nazywana była: Moreną, Morzanną, Śmierciwą, Śmierzutką. Marzanna zwykle była słomianą bądź szmacianą kukłą odzianą

w łachmany, które miały jej nadać kształt kobiety. Ze wsi wynoszono ją w uroczystym orszaku złożonym z mieszkańców i topiono (niejednokrotnie przed aktem topienia Marzanna była podpalana) w rzecze lub strumieniu. Na wypadek braku ruchomej wody Marzenne wynoszono poza obszar zamieszkały przez ludzi, po czym ją palono, a szczątki zakopywano w dole z odpadkami. Kategorycznie zakazane było dotykanie szczątków Marzanny. Postrzegane były jako niebezpieczne – temu, kto ich dotknął, miała grozić choroba. Niebezpieczeństwo czyhało też na ostatniego powracającego do wsi uczestnika pochodu. Miał być w sposób szczególnie zagrożony śmiercią w trakcie całego następnego roku. Zwyczaj niszczenia Marzanny był uzupełniany przez triumfalny powrót z gaikiem (małe przyozdobione drzewko lub gałąź). Zgodnie z tradycją orszak niosący gaik musiał obejść wszystkie domostwa. Członkowie korowodu zatrzymywali się przy wejściach do chałup i śpiewem prosiło o drobne podarki. Tradycyjnie były nimi jajka, ser czy słonina, które zbierano do wspólnego kosza. Element zbieractwa spowodował, iż w XIX wieku bogatsi gospodarze z niechęcią dołączali do korowodu z gaikiem i zakazywali uczestnictwa dzieciom w obawie przed oskarżeniem o żebractwo. Wszystkie opisane tu zwyczaje łączyła obecność ognia i pragnienie pomocy w odrodzeniu się naturze. Dla wszystkich kultur dawnej Europy wiosna niosła z sobą obietnicę ciepła, odnowienia i rozpoczęcia nowego okresu w życiu. Czekano na nią, pilnie obserwowując pierwszych sygnałów, że nadchodzi, i zawsze radośnie witano. ■



Taniec dookoła słupa majowego (*Maypole*). Rys. Adelia Belle Beard 1887

Michał Spurgiasz – doktor kulturoznawstwa, historyk filozofii i religioznawca. Od 10 lat bada historię alchemii zachodniej, religie i kulturę Azji wschodniej oraz religie przedchrześcijańskiej Europy. Autor wielu wystąpień popularnonaukowych. Współpracownik działu edukacji Muzeum Śląskiego.

Od Ostatków do zwycięskiego Alleluja

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Prolog

Przed laty abp Damian Zimoń pisał o okresie roku w którym teraz żyjemy. Dowodził, iż „Wielki Post może być porównany do trudnego szlaku górskiego, po przebyciu którego człowiek staje na szczycie i cieszy się z osiągniętego celu”. Bo w momencie finalnym następuje radosne Alleluja. W tym czasie od wieków funkcjonowała bogata kultura świętowania. A także liczne obrzędy, zwyczaje i obyczaje oraz specyficzny namysł o człowieku i otaczającym go świecie.

Dowodzą tego znakomite – choć dziś częściowo już zapomniane – prace autorstwa nie tylko skupionego na kulturze chłopskiej Oskara Kolberga, ale także m.in. Zygmunta Glogera, Jana Stanisława Bystronia czy Zbigniewa Kuchowicza, których interesowały obyczaje szlachty i arystokracji, a nawet mieszczanstwa i ludu. Prace te dokumentują bogactwo naszych narodowych tradycji. Wyrażają nie tylko oczywisty związek z religią, ale także ujawniają system wartości, w którym granica między Dobrem i Złem jest wyraźnie zaznaczona. Kulturowane tradycje odzwierciedlają w usankcjonowanych kulturowo wzorach zachowań przejawiających się w sferze form świętowania roku kościelnego, w obrzędowości dorocznej, w „rytach ludzkiego życia”, ale i w środowisku pracy, wreszcie w prozie codzienności. A związana z nimi specyficzna poezja, muzyka, rzeźba czy malarstwo – nawet to samorodne – wyrażają piękno odczuwania, sens egzystencji, wiary, przekonania, poglądów, wyobrażeń.

W realiach **górnos Śląskiej tradycji ludowej** pojawiały się specyficzne obrzędy i zwyczaje; przedstawimy je tutaj wybiórczo na podstawie tych odnotowanych z końca XIX wieku i początków następnego. Etnografowie tłumaczą w kategoriach uniwersalnych, że „dla trwania świata niezbędna jest czynna pomoc ludzi, którzy przez odpowiednie działania symboliczne odtwarzają każdy kolejny rok czy jego porę”. Przypomnijmy, że właśnie teraz jesteśmy po niedawno minionym karnawale, a więc już w realiach okresu Wielkiego Postu,

po którym nastąpi radosne Alleluja. Znow, jak zawsze ujawni się tu specyfika roku kościelnego, a także swoiste „koło czasu”, po czasie postu, po nim znow powróci czas radości. Czyli *da capo al fine*. Przypomnijmy. Niedawno zakończył się karnawał, co kulturowo zaznaczały pełne radości wtorkowe

Ostatki – i regionalne „grzebanie basa”

Oto w tym dniu następowała huczna zabawa, która kończyła się zwyczajowym „grzebaniem basa”. Bas to instrument muzyczny, a cztery jego struny mają w tym momencie znaczenie także symboliczne. Kiedy kończyła się wtorkowa zabawa, to konkretnie o godzinie 23 minut 15 odpinano pierwszą strunę instrumentu – strunę E. Zabawa trwa nadal, ale już o wpół do dwunastej odpinano kolejną strunę, potem następną; a po upływie kolejnych minut odpinano ostatnią strunę. Bas milknie, umiera, nastaje cisza – koniec ludyczności. Nagle pojawiała się kobieta udająca wdowę po zgonie „basa”. Zrozpaczona – jak donosiło w 1938 roku „Zaranie Śląskie” – „rzuca się ku niemu, szarpie go i wzywa, a wreszcie powiada, że jeśli się jeszcze na drugim świecie spotkają, będzie go karmiła samymi śledziami”, mówiąc:

*Tego śledzia za pokuta łostowcie
w pamiynki
I niech wom cały post przy obiedzie kręci.*

Następnie zebrani ustawiali się parami za czterema ubranymi na czarno młodzieńcami niosącymi trumnę z instrumentem. Obchodzili kilka razy salę – wykonując dziwne ruchy, „jakby byli chorzy na chorobę św. Wita”. Na koniec gospodarz zabawy częstował wszystkich śledziami. Nastrój był poważny – pozornie. Natomiast zaraz po opuszczeniu sali przez zebranych nastawał diametralny inny czas.

Nadchodzi bowiem **Środa Popielcowa**, która występuje między dniem 4 lutego a 10 marca.

Rodzi się czas smutku, ale i nadziei. Kończy się karnawał, nastaje Wielki Post. To czas mający swoje konkretne

znaczenie w roku kościelnym, a posypanie głów określa sens ludzkiego życia, jego krótkiego ziemskiego bytowania. Mówiono zatem: „Z prochu powstałeś w proch się obrócisz”, co opiera się na źródle religijnym: „Pamiętaj człowiecze, że jesteś prochem i w proch się obrócisz; czyn pokutę, abyś miał życie wieczne” (Rdz 3,19). Rozpoczyna się Wielki Post, a „To jest taki okres w roku, co ludzie majom pomyśleć, po co żyjom. Majom wtedy z nakazu Kościoła i Pana Boga rzykać, pościć i nie zbyt kawać (...). No a po tym bydzie wielko radość”.

Dawne śląskie pieśni określały specyfikę tego dnia:

*Wstępna środa na ogrodzie
Wszyscy ważą żur
Dobre łostow już w komodzie
A na droga weź tyn wór.*

W tradycji lokalnej nakazywano, aby od tego dnia „żyć bogobojnie”, powstrzymać się od nadmiernego jedzenia, spożywania alkoholu, nie uczestniczyć w zabawach. Ale zakazywano także zbliżeń cielesnych. A jeśli już... to należało zasłonić obrusem „świynty łobroz” wieszający nad małżeńskim łóżem. Nakazywano rozmyślenia, częste modlitwy, refleksję nad życiem. Lecz była i tęsknota za radością. Przykładem znamieny obrzęd – bo oto

„poszczotku Postu Marzanna przychodziła”

Następowało topienie kukły dziewczyny – uosabiającej zimą. Cieszono się, że ta pora roku mija, a nadchodzi wiosna. Jakże w tym kontekście ważne jest zwrócenie uwagi na odległe pochodzenie tej tradycji. Już Jan Długosz pisał w *Rocznikach czyli Kronikach Sławnego Królestwa Polskiego*, iż „w tym dniu w wielu polskich wsiach noszono na wysokościach tykwach wyobrażenia dziewczynny i marzanny, wrzucając je do trzęsawisk i topiąc”.

Zaś synod diecezjalny w 1420 roku głosił: „Nie pozwalajcie, aby w niedzielę, która zwie się „Laetare” albo „Biała Niedziela” odbywał się zabobonny zwy-



Uroczystość topienia Marzanny i wnoszenia gaika do Miasteczka Śląskiego, 21 marca 2015

fol. Marta Malina Moraczewska

czaj wnoszenia jakowejś postaci, którą śmiercią nazywają i w kałuży topią”. Procesji topienia towarzyszyła radość i zabawa wsi. Kukłę odprowadzano na miejsce skazania. Zło chciano uśmiercić, bo zwyciężała nadzieja, wiara w lepsze jutro, wiara w zwycięstwo życia nad śmiercią. Śpiewano przy okazji w wielu śląskich wsiach i osadach górniczych:

*O marzano krasna
Radaś gęsi pasła
Wczoraj grochś warzyła
Dzisiaj w wodzie bedziesz*

A wszystko wynikało z nadziei i wiary w dar Boga. Ale i dar wiosny. O tym śpiewały dawne pieśni. Zasłużony dla śląskiej etnografii, Niemiec, Juliusz Roger zapisał w swoim zbiorze z 1863 roku taki tekst:

*Bóg daje nam wszystkiego
Co tu posiadamy
I udziela nam darów
Skoro go błagamy
Dziękujemyż jemu za to*

Jak się nie cieszyć. Byłaby to niedziwość. Wprawdzie jest czas żalości, ale trzeba uczcić to, że Złe odchodzi – „zima się swiwo”. A zatem po unieświeceniu Marzanny odbywała się druga część obrzędu. To uroczyste wniesienie do wsi „goika”, który symbolizuje wiosnę. A ów „goik”, to po prostu fragment lub całe zielone drzewko, które przyozdabiano kolorowymi wstążeczkami. Tym samym, jak powiadają etnografowie, stykamy się ze szczególną „formą dwutaktowego obrzędu”.

Niezawodny folklorysta Jan Tacina notował w 1958 roku

*Wyniósli my, wyniosli my
marzaneczka ze wsi
przyniósli my, przymiośli my latorośl
do wsi.
Latorośl trwo roś, a panicom na młodość
A panicom na starość*

Z pewnością najważniejszy cykl obrzędowości i zwyczajowości Wielkanocnej rozpoczyna – zgodnie z tradycją –

Niedziela Palmowa

Tym samym zaczyna się czas niezwykły. Nastaje „najważniejszy tydzień” w skali roku. „Jego godziny i dni są tak długie, jak dni i godziny innych tygodni, ale w świadomości chrześcijanina jest ten tydzień Wielki...”. To wypowiedź wspomnianego abp. D. Zimonia. Udział w mszy św. – i to z palmami – był obowiązkiem. Był to, mimo postu, dzień radosny, bo kiedyś radośnie witano Jezusa w Jerozolimie. Ów dzień nierozzerwalnie wiązał się też ze zwyczajowym nakazem wyjaśniania dzieciom sensu świąt Wielkanocy. Wyraźnie też nakazywano, aby rozpocząć czas przygotowań do spowiedzi; należało zadośćuczynić za wyrządzenie innym Zła. Istotne znaczenie ma też archetyp powitania Jezusa właśnie palmami, wtedy gdy wjeżdżał do Jerozolimy. To wydarzenie opisywała rymowanka

*W Niedziela Palmowo
idymy razem jednom drogom
z Bogiem się radujemy
do jednego miejsca idymy
naszom wspólnom drogom*

A palmy, tak nierozzerwalnie związane z tym dniem, były swoiście przestrzegane. Oto idąc śladem interpretacji św. Augustyna, trzeba powiedzieć, iż są one znakiem uwielbienia i zarazem głoszą zwycięstwo, bo Jezus „pokonał śmierć mocą swej śmierci”. Również podobnie jest w tradycji lokalnej. Bardziej zaś prozaiczne było polykanie palmowych bazi. Po co? Aby uchronić się od chorób gardła. Z owych palm robiono też małe krzyżyki i zatykano je po polach „na lepszy urodzaj”. Bywało, że wystawiano je w czasie burz na parapetach, by chroniły domostwa. A gdy kończy się owa niedziela, następują pierwsze dwa dni Wielkiego Tygodnia, a po nich

„opleciona zwyczajami” **Wielka Środa**, która znajdowała odzwierciedlenie w opowieściach. Obowiązywał nakaz ścisłego postu. Ks. Adolf Hytrek pisał w związku z tym w 1879 roku o zwyczaju „palenia żuru”. Rejestrował: „Z nadejściem zmroku ukazują się na wzgórzach i polach ruchome ognie”. I dalej wyjaśniał, że zwyczaj „odbywał się na pamiątkę szukania z pochodniami za Chrystusem w ogrodzie Gethsemane”. W tym też dniu palono po polach ogniska. Niekiedy w tym dniu, a bywało, że w następnych także, odbywało się „palenie Judasza” – osoby godnej potępienia. Nie było w tym postaw antysemitycznych, ale znak pogardy dla złego ucznia Jezusa. A ponadto podejmowano również konkretne zabiegi magiczne. Przykładowo młodzi biegali z tzw. kadzidełkami i w ten sposób okadzano pola. Dlaczego? Aby

zapewnić rodzinie i wspólnocie „dobry urodzaj”.

Następnie przychodzą dni przed dniem Zwycięstwa, czyli

Wielki Czwartek, Wielki Piątek, Wielka Sobota

A więc **Triduum Paschalne**, trzy dni upamiętniające znaczące wydarzenia w ziemskiej biografii Jezusa. To Ostatnia Wieczerza, pojmanie Jezusa, Jego proces, droga krzyżowa, ukrzyżowanie i śmierć Jezusa, a następnie złożenie Jego Ciała do grobu. Pomijając ludowy opis fabularny tych dni, będący sfolkloryzowaną wersją tekstów ewangelicznych, zwróćmy uwagę – oczywiście wybiórczo – na niektóre związane z owymi dniami zwyczaje.

Tak więc z czwartku na piątek chodzili mieszkańcy naszego regionu do pobliskich rzek. Tak przykładowo jeszcze w kwietniu 1930 roku „Gość Niedzielny” donosił, że wtedy ludzie udają się nad strumienie i rzeki, myją się i modlą, rozpamiętując zniewagę wyrządzoną Zbawicielowi. Poza tym obmywano się wodą z tych rzek, bo nabywały świętej mocy na pamiątkę tego, że „kiedyś Jezus też przez jedną rzekę (czyli Cedron – przyp. aut) przechodził, jak szedł na sąd i dalej na swoją mękę...”. Obmywano się tą wodą „na zdrowie”. Były to więc rytualne ablucje.

A Wielki Piątek – ów „najsmutniejszy dzień w roku” – w lokalnej tradycji był pretekstem do konkretnego pojmovania ludzkich powinności. Przykład Jezusa był niedościgłym wzorem. Powtórzmy, dawne opowieści próbowały też definiować: ofiarność, miłość, poświęcenie, ale i wytrwałość, odwagę, hart ducha oraz skromność. Był to też dzień wielu zwyczajowych zachowań. „najsmutniejszy dzień w całym roku”, „czorny dzień” – czyli Wielki Piątek. To dzień „Bożego grobu”, uczęszczania do kościołów, nabożnych modlitw, „godek z Jezusem, co umarł”.

W kolejny dzień ponownie należało pójść do kościoła. W tej perspektywie nieodzowne było poświęcenie potraw wielkanocnych. Zofia Kosak-Szczucka pisała niegdyś: „Przez święcenie pokarmów Kościół błogosławił byt doczesny, podkreślał doczesność ciała, które dziś osiągnęło nieśmiertelność”. W wielu wsiach stały przy grobie tzw. stráže. Ale była i radość. Przed kościołami w XIX wieku stawiano – jak pisze wspomniany ks. Hytrek – stragany z piernikami, i innymi słodyczami, także „cackami dla dzieci”. Kolejny dzień to „dzień żałoby”, przy grobie Jezusa. Zatem „W Wielko Sobota się rzyko, myśli się co się stało; siedzi się w domu, a nie loto po próznicę”.

Nadchodzi **Wielkanoc**, czyli najważniejsze święto w Kościele, które przypada według decyzji nicejskiej z 325 roku między 22 marca a 25 kwietnia. Dochodzi do zbawczego aktu Zmartwychwstania. Kobiety szukające ciała Jezusa usłyszały: „Nie ma go tu, ale wstał z martwych” (Łk 24, 1–12). Radość wyrażają zatem wierni w czasie Rezurekcji. Odzwierciedla to jednoznacznie śpiew:

*Wesoły nam dzień dziś nastał,
którego z nas każdy żądał.
Tego dnia Chrystus zmartwychwstał.
Alleluja, alleluja*

A po uroczystym Alleluja wierni idą do domów i głoszą chwałę Zbawiciela. Odbywa się uroczyste śniadanie wielkanocne. Rozpoczynał się czas biesiadowania. Wędzonki, kielbasy, chleb, jajka, chrzan, nawet ocet, a dalej ciasta, czyli babki „i inksze słodkie”, no i alkohol – to oczywistość. Stół musiał być suto i „tłusto” zastawiony. Jakby zgodnie z zasadą, o której pisał Roger Caillois: „Nie ma hojności i nie ma powodzenia”. Powiadano:

*Na bok wszystkie żury, na bok
słone śledzie
Już na stół wuszt i gorzałka jedzie*

Ujawniała się swoista pochwała jedzenia, i to w nadmiarze, ale i biesiadowania oraz próżnowania.

No i nie można pominąć jaja wielkanocnego, i jego symboliki. Nie chodzi tu tylko o zachowaną wczesnośrednio-wieczną formułę modlitewną: „Prosimy Cię, Panie, aby łaska Twojego błogosławieństwa zstąpiła na te jaja...”, ale także o śląskie, rodzime pojmovanie jajka. W lokalnym rozumieniu jest ono symbolem życia, zarodkiem Wszechświata, znakiem nadziei. A chrzan i ocet pojawiały się dlatego, aby ich spożycie było nawiązaniem do Męki Jezusa.

I następował Poniedziałek Wielkanocny i wtorek

przy czym pierwszy z nich był podobny i zarazem odmienny od dnia poprzedniego. Czyli na początku znów udział parafian w mszy św., przystąpienie do Stołu Pańskiego. Ale już po wyjściu z kościoła następowało zwyczajowe oblewanie kobiet, zwłaszcza panien wodą. Była zatem zabawa i wiara, że ma ona (woda) moc życiodajną. Był też „śmiergut”, czyli wzajemne uderzanie gałkami lub palmami na pamiątkę tego, że „kiedyś Jezus był bity”. Odbywały się też procesje konne „dziękczynno-błagalne”. Zwyczajowo również odwiedzano z życzeniami domy panien na wydaniu. Piękna tradycja „dyngowania”. Śpiewano w takich przypadkach:

*Przyszli my tu po dyngusie
Ino zaroz nos tu wpuście
Wusztu, chleba podarujcie
Kupa jajec zarajucjcie*

A jakże popularny był zwyczaj zajęczkowy. Czyli poszukiwania przez dzieci podarków schowanych przez dorosłych. Tym kończyły się dawne zwyczaje, bo już świąteczny wtorek cechowało trwanie duchowości, poza może oblewaniem wodą chłopców przez dziewczyny.

Dziś rodzi się pytanie: Co dziś z tych tradycji pozostało?

O dziwo wiele. Jest to efekt aktywnej postawy rodzin i wielu lokalnych środowisk. Taka kontynuacja zasługuje na uznanie i szacunek dla kultywujących tradycję. Dla przypomnienia i powrotu do owych pięknych tradycji, obyczajów warto w sięgnąć do dostępnych licznych prac etnograficznych, etnologicznych i kulturoznawczych, np. opublikowanej w 2018 roku pióra R. Garstki i A. Lysko – pt.: *Czas niezwykły. Obrzędowość doroczna na Górnym Śląsku*. ■



for. arch.

Ateny nad Popradem

Ks. HENRYK PYKA

Starą Lubowlę od Podolińca dzieli odległość 17 kilometrów. Miejscowości te, położone w dolinie Popradu wpisane są w tatrzański pejzaż. Tatry szczególnie malowniczo prezentują się z wyżyn lubowelskiego zamku. Ziemie te po Poprad i Spiską Nową Wieś od roku 1412 należały do Polskiej Korony i tak było niemal aż do pierwszego rozbioru Polski. Na zamku w Niedzicy, chętnie odwiedzanym przez turystów, ogląda się dzisiaj facsimile dokumentu wystawionego w 1412 roku w Zagrzebiu przez króla niemieckiego i węgierskiego Zygmunta Luksemburskiego. Potwierdza on odbiór 37 tysięcy kop groszy praskich, jakie przekazał Władysław Jagiełło jako pożyczkę Luksemburczakowi. Była to niemała kwota – osiem ton srebrnych monet – pochodząca z odszkodowania, jakie wypłacili Jagielle Krzyżacy w roku 1411 po Pokoju Toruńskim. W wyniku zastawu – zwanego spiskim – który miał być zwrócony królowi polskiemu na zamku węgierskim w Niedzicy, Królestwo Polskie weszło w posiadanie ziemi już wtedy bogatej i ucywilizowanej przez saskich kolonistów. Świadkiem tej duchowej spuścizny są niemieckiej proveniencji nazwy miejscowości i wyróżniające się bogactwem kościoły, zarówno na polskim jak i słowackim Spiszu. Zastaw Spiski obejmował 16 miast, 13 wsi i dwa zamki w Lubowali i Podolińcu. Ziemie te pod wzglę-

dem administracji kościelnej podległe były Spiskiej Kapitulie zależnej od metropolii w Ostrzychomiu. Jednak w wyniku zabiegów starostów polskich na zamku w Starej Lubowli nie tylko należne podatki z tych ziem odprowadzane były do skarbcza królewskiego w Krakowie, ale i parafie z czasem zostały włączone administracyjnie do archidiaconatu nowosądeckiego. Wynikała z tych podległości jurysdykcja biskupa krakowskiego nad dekanatem spiskim. Rzeczpospolita na tych ziemiach rozpostarła swoje władanie na ponad 350 lat, a starostowie tej prowincji, głównie rodzina Lubomirskich, w znacznej mierze z tych ziem wyprowadzili swoje fortuny. Zarządzali starostwem spiskim od roku 1591 aż do roku 1745. Ostatnim zarządcą już nie starostwa lecz zamku lubowelskiego i Wyżnich Rużbach aż do roku 1945 była rodzina Zamoyskich spokrewniona z dworem królewskim w Hiszpanii. Hrabia Andrzej Zamoyski zakupił te dobra od c.k. austriackiego rządu, zaś jego syn Jan Zamoyski de Borbón sprawił, że uzdrowisko w Wyżnich Rużbachach w okresie międzywojennym stało się jednym z najsłynniejszych ośrodków wód termalnych. Uznanie dla tej rodziny na Słowacji trwa do dzisiaj. Organizuje się konferencje naukowe poświęcone Zamoyskim, zaś ich nazwisko stanowi markę wybornej słowackiej brandy.

Podoliniec zwrócił moją uwagę anonimową rymowaną, którą znalazłem w opisie piękna ziem kresowych. Jej autor pisał o Podolińcu: „stamtąd wyszedł nasz Konarski i niejeden rycerz barski”. W Encyklopedii Orgelbranda z roku 1865 czytamy, że w Podolińcu zwanym przez kolonistów niemieckich „Pudlein”, „największą część księży góralskich z Podhala i karpaczkich Beskidów tu rozpoczynała swoje nauki”. Małe miasteczko na Spiszu zasłynęło nie tylko na Podhalu i obszarach Podbeskidzia z wysokiego po-

ziomu nauczania „wybornych”, jak pisze Orgelbrand szkół pijarskich. Sława ufundowanego tu w roku 1642 kolegium pijarskiego rozeszła się po ziemiach Królestwa Polskiego i Węgierskiego. Dotarła na austriacki wówczas Śląsk i na Morawy, gdzie były jego początki. Tablica pamiątkowa wmurowana w ścianę kolegium przypomina dzisiaj wybitną postać świętego Stanisława Papczyńskiego, założyciela zgromadzenia księży Marianów, który tu w latach 1654–1660 przyjął profesję zakonną i wykładał retorykę. W szeregach wykształcenia, które przez stulecia promieniowało z Podolińca zwłaszcza do Małopolski, wielką rolę obok kolegium odegrał nowicjat. Już w początkach funkcjonowania fundacji w roku 1643 korzystało tu z nauk 189 uczniów. W XIX wieku liczba ta uległa niemal podwojeniu. Siedzibą pijarów był u początków



Herb lubomirskich szreniawa z przedsiionka klasztoru podolinieckiego



Orzeł wazów z przedsiionka klasztoru w Podolińcu

kolegium zamek podoliniecki. Nowicjat powstał w roku 1648. Do życia zakonnego przygotowawali się tu przede wszystkim pijarzy narodowości polskiej. W Podolińcu uzyskiwali formację duchową, składali pierwsze śluby, aby później pracować jako wychowawcy, nauczyciele, misjonarze, czy pracownicy administracji kościelnej. Tylko w XVIII stuleciu nowicjat ten opuściły po złożeniu ślubów setki pijarów. Każdego roku wstępowało do nowicjatu przeciętnie dziesięciu kandydatów. Najznamienszym z nich był wybitny dyplomata w służbie polskich królów, pisarz, współtwórca polskiego Oświecenia, reformator polskiego szkolnictwa i współzałożyciel najbar-

for. aut.

for. aut.



Fragment malowidła: modląca się młodzież w ubiorach sarmackich

dzień postępowych instytucji edukacyjnych w Polsce, w tym Collegium Nobilium – Stanisław Hieronim Konarski (1700–1773). Do nowicjatu w Podolińcu wstąpił w wieku piętnastu lat. Po jego ukończeniu w 1717 roku studiował tu filozofię. Mając 22 lata, jako profesor wykładał w najwyższej klasie gimnazjum podolinieckiego retorykę. W zakonie tym wytrwał 58 lat, pełniąc w nim także urząd prowincjała.

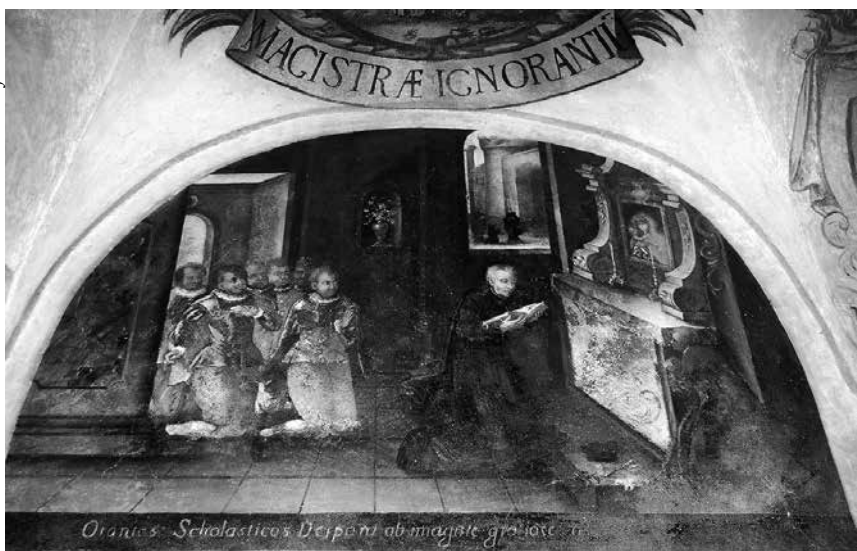
Fundacja podoliniecka powstała w wyniku szczęśliwego dla polskiej kultury zbiegu okoliczności, dlatego sam fundator Stanisław Lubomirski, człowiek głęboko religijny, podobnie jak jego syn Jerzy Sebastian, mógł uważać powstanie kolegium pijarów w starostwie spiskim za dzieło Opatrzności. W dramatycznym dla Europy czasie wojny trzydziestoletniej, kiedy rozproszeniu i ruinie uległo wiele pobożnych dzieł i budowli, mikulowski prowincjał Ojciec Onufry Conti zmuszony został do opusz-

czenia wraz ze swoimi braćmi Moraw. Z Mikulowa poprzez Wiedeń dolinę Wagu dotarł do Krakowa, a następnie w roku 1642 do Warszawy, gdzie znalazł wsparcie króla polskiego Władysława IV. Ten zakupił tu dla pijarów dom przy ulicy Długiej, pierwszą ich siedzibę w Polsce. Obiekt ten został przekazany pijarom jeszcze za życia założyciela zakonu Józefa Kalasantego 1 października 1642 roku w obecności króla, królowej i nuncjusza apostolskiego Marii Philonardiego. W trakcie przygotowań do otwarcia domu O. Conti spotkał się ze Stanisławem Lubomirskim, który zaproponował mu założenie szkoły na terenie starostwa spiskiego. O. Conti, kiedy przybył do Podolińca, tak scharakteryzował to miejsce: „małe miasto otoczone murami, mieszkańcy są katolikami, mówią po niemiecku, miasto ma wspaniałe powietrze”. Wkrótce, bo 8 listopada 1642 roku Stanisław Lubomirski wystawił na Wawelu doku-

ment fundacyjny kolegium pijarskiego w Podolińcu, który gwarantował pijarom m.in. coroczną darowiznę fundatora w wysokości 800 czeskich talarów. Swoich spadkobierców zobowiązał do corocznego wypłacania tej sumy. Zaś od pijarów oczekiwał, aby „zgodnie ze swoim powołaniem ćwiczyli młodzież w chrześcijańskiej pobożności i w naukach, wiarę i religię katolicką szerzyli przez głoszenie kazań i katechizację, a o fundatorze we Mszy świętej i w swoich modłach wiecznie pamiętali”. Pan na Wiśniczu i pogromca Turków spod Chocimia ufał, że działalność pijarów w starostwie spiskim przyczyni się do rekatolizacji tych ziem w znacznej mierze poddanych wpływom nauki Lutra.

Troskę o uczącą się młodzież przejawiał szczególną. Przy kolegium istniał konwikt ze wspólnym mieszkaniem i jedzeniem dla synów zamożnej szlachty. Ubożsi mieszkali natomiast na stancjach w domach podolinieckich mieszczan. Z przekazów historycznych znane jest wydarzenie z pierwszych lat funkcjonowania kolegium z roku 1646, związane z fundatorem Stanisławem Lubomirskim. Podczas podróży ze źródła w Wyżnich Rużbachach zatrzymał się w Podolińcu. Kiedy zobaczył ubóstwo niektórych studentów, zdecydował się wspomagać tych najuboższych co kwartał z dochodów zamku w Lubowli. Cała suma przeznaczona na ten cel wynosiła 800 złotych polskich. Uczniowie odtąd otrzymywali codziennie obiady przygotowywane w klasztorze. I tak było aż do roku 1680, także po śmierci Lubomirskiego, która nastąpiła w roku 1649.

Nauczanie w kolegium podolinieckim przygotowywało młodzież w ówczesnym systemie kształcenia do podjęcia studiów uniwersyteckich. Wprawdzie była to teologia. Językiem nauczania była łacina. Jeszcze w latach około roku 1919, w którym pijarzy opuścili Podoliniec, można było spotkać dawnych wychowanków kolegium, którzy pracując na roli, mówili po łacinie, cytując nierazkiedy Owidiusza i Wergilego. Klasztor pijarski wyraźnie zapisał się w całym regionie środkowoeuropejskim dzięki wyróżniającemu się poziomowi tamtejszego kolegium, co sprawiło, że Podoliniec z czasem zyskał sławę „Aten nad Popradem”. Kształcili się tu przede wszystkim Polacy, Słowacy, Niemcy i Węgrzy, ale także przedstawiciele innych narodowości. Szkoła nie była przeznaczona wyłącznie dla katolików. Uczęszczali do niej także protestanci, a z pocz. XX wieku także Żydzi. Byli to przedstawiciele różnych warstw społecznych: szlachta, mieszczaństwo i chłopcy. Wydała wiele ciekawych osobowo-



Oratio Scholasticorum Desperanti ab invidiis gloriis

Malowidło z przedsionka klasztoru w Podolińcu przedstawiające uczniów konwiktu modlących się wraz ze swoim preceptorem

ści. Uczyli się tutaj m.in. Józef Pantaleon Roszkowski – kompozytor, Józef Maksymilian Petzvald – wynalazca, pisarz Juliusz Gyula Krúdy – zwany węgierskim Proustem.

Co pozostało z owych spiskich Aten dzisiaj. Opuszczone przez pijarów kolegium przejęli redemptoryści, i tak jest do dzisiaj. Wyjątkiem jest bolesna wyrwa w pięknej historii tego miejsca, jaką spowodowała władza komunistyczna, zamieniając po roku 1955 klasztor i konwikt na miejsce internowania osób duchownych. Okazały pomnik w obejściu kościoła upamiętnia 553 zakonników z całej Słowacji, którzy tu byli więzieni.

Mimo że całe założenie klasztorne wraz z biblioteką liczącą 14 tysięcy woluminów w minionym czasie wiele ucierpiało, zachował się jednak wy-

jątkowej krasy kościół pijarski. Jego dwie wieże widać już z daleka jako jedyny wyróżnik architektoniczny w pejzażu płaskiej popradzkiej doliny.

Kompleks klasztorny przyległy po zewnętrznej stronie do murów miasta równoległy jest do płynącego opodal Popradu. Jest założeniem zamkniętym typu włoskiego z narożnymi wieżami. Składa się z trzech części: przyległego do rzeki konwentu wraz z ogrodem, kościoła, stanowiącego orientowaną oś całego założenia i szkoły wraz z konwiktem. Mimo zniszczeń czasów komuny już w przedśionku prowadzącym do klasztoru zwracają uwagę dobrze zachowane malowidła czasów baroku. Sklepienie zdobią cztery alegorie definiujące istotę powołania zakonu szkół pobożnych. Dalej herb Lubomirskich Szreniawa,

obok godło Rzeczypospolitej: Orzeł ze snopkiem Wazów na piersi. Herby imperatora Ferdynanda III i korony węgierskiej. Najbardziej wzruszające jest malowidło z codziennej praktyki pijarów wzięte. Oto zastęp uczącej się młodzieży w bogatych ubiorach sarmackich klęcząco zmagających modlitwy pod przewodnictwem pobożnego brata szkolnego – ich preceptora. Widzimy go na innym malowidle stojącego obok swoich współpracowników pod płaszczem opiekuńczym Niepokalanej, której monogram znajduje się w zworniku całej malarskiej kompozycji.

Kościół halowy o sklepieniu kolebkowym doświetlanym lunetami ma od strony zachodniej dwuwieżową fasadę. Wieże pokrywają hełmy z roku 1762. Jego wnętrze, choć skromne, kojarzy się z wewnętrzną przestrzenią kościoła kamedułów w krakowskich Bielanach – dzieło włoskiego architekta Andrea Spezza. Kościół pijarów w Podolińcu powstał od roku 1643 równocześnie z rozbudową zamku lubowelskiego, podjętą przez Stanisława Lubomirskiego w duchu wczesnego baroku. Posiada on bliskie analogie do powstałej w tym samym czasie kaplicy św. Michała Archanioła na zamku w Starej Lubowli. Kaplica zamkowa jest w zasadzie pomniejszoną wersją kościoła pijarów w Podolińcu. Budowniczym kościoła jest wiedeński architekt Johannes Pochsberger. Na jego projektach miał opręć się wybitny architekt Johann Bernhard Fischer von Erlach przy budowie kościoła św. Karola we Wiedniu. Syn Pochsbergera Joannes Jakobus, zapisany jest pod datą 1647 w księdze imion kolegium podolinieckiego. Wymieniony jest jako syn architekta.

Osobliwością kościoła pijarów w Podolińcu jest liczący około 10 metrów wysokości obraz ołtarzowy przedstawiający świętego Stanisława biskupa krakowskiego wskrzeszającego Piotrowina. Obraz powstał w warsztacie polskiego artysty w roku 1688 z fundacji najwybitniejszego obok Wacława Potockiego poety baroku dworskiego Stanisława Herakliusza Lubomirskiego. Budowniczy zamku ujazdowskiego i królewskich Łazienek ufundował ten obraz dla uczczenia pamięci swego ojca i dziada. Dlatego świadkami cudu dokonanego przez świętego Stanisława są przedstawieni na pierwszym planie fundatorzy podolinieckiego klasztoru Stanisław i jego syn Jerzy Sebastian Lubomirscy. Imię świętego jest jakby kluczem dla zrozumienia nie tylko historii Podolińca ale i całej polskiej historii, w której pod tym imieniem wypłynęło wiele wybitnych polskich osobowości, także związanych z podolinieckim kolegium. ■



Fragment obrazu z nastawy ołtarzowej z przedstawieniem Stanisława i Jerzego Lubomirskich jako świadków wskrzeszenia Piotrowina

Trzy i pół zwrotki

cały w kleksach motyli
cierpkim spadaniem
żółtym niemym dramatem
jesiennych liści
sfrunie pod stół
wiersz który kiedyś był
afirmacją

bo kiedy nas już nie będzie
zapomniane będą ścieżki
naszych zmarszczek
to zmęczenie gorycz
po co to wszystko
kochanie? – zapytasz

Nie patrz w górę
w niebie dziura
po balonie
w który wraz z innymi
dmuchaliśmy

Sobie bogiem
stałem na moście
dłubię w nosie



złota jesień jest koloru magii tombaku i miedzi
naszego życia w zeschniętych liściach wspomnień
sypiących się z rękawów odwiecznych dębów

złota jesień jest koloru rozlanego do szkieł piwa
w gospodzie z widokiem na arabskie hurysy
piękne jak perski dywan z liści pod stopami

dywan który wbrew i na przekór uniesie nas
znad ziemi kryjąc pod czapką nieba

dobrze bo innej pory roku już nie będzie

stan mojej świadomości
ogólnie w strefie wód niskich
rzeczy maleją tylko ten nos
czemu on wciąż rośnie?
życie kurczy się i horyzont
coraz bliżej zarzucam sieci swoich tętnic
i niepotrzebne mi pletwy
skoro tylko brodzę w mętnej wodzie

piszę, ale w ogóle mi nie tryska
pierwsza kawa – nic, nad głową obłok
jaki obłok? chmura bez jednego prześwitu,
w międzyczasie ktoś poszedł do wychodka
i urodził się wiersz, nie wyfrunął motyl,
cała bieganina tyle warta
co banknoty wkładane do materacy
na czarną godzinę, po denominacji
fiut i wazelina biorą wszystko

stan mojej świadomości
mieści się w kałuży ciągłego udawania
nie wiem po co, modłę się do wydmuszki
o pomysł na nowy splot myśli, najlepiej
niech będzie jak za oknem sukienka z mgieł
nieprawdziwa w swoim pięknie jak
stara ruska bajka, w moim domu
pojawily się robaki, tylko kwestia czasu
kiedy dobiorą się do zeszytów

woda pluszcze, przeglądam się w jej lustrze

Przypadkowe brzoskwinie

w starej szafie
są przede wszystkim ubrania
czas nicuje marynarki
siwe nitki sypią się z wieszaków
porwanych rozmów
jak zapach liści które tutaj wpadły
zobaczyć co słyhać
wśród zakurzonej lawendy
od moli. Na spodzie szafy
pozostawione w roztrągnienu
dwie brzoskwinie
tracą pamięć sadu i pobliskiej łąki

... tam je położył i zapomniał, kurwa.
A one gniją!

.....
.....
najlepszy był jednak tomik wierszy
który napisałem krótko po swojej śmierci
może dlatego że jeszcze tak dobrze
pamiętałem klimaty ziemskie i już wiedziałem
o wszystkich rzeczach nieważnych
pod moją ręką stygły w kształt jak zwierzęta
chwile ważne, o tak, wszystkie bardzo ważne

pamiętam że książkowe mole od razu
pożreć chciały wszystkie linijki mojej
książki którą napisałem parę miesięcy
po swojej nagłej śmierci
literacka publiczność
rozsmakowała się w słowie,
a było to moje ciało które
jej na pamiętkę dałem,
więc na spotkania z artystycznym
moim duchem przychodziły tłumy
ludzi, jak ja nieobecnych. . .

JACEK LYSZCZYNA 13 lipca 1954 – 20 lutego 2020

Śląski chłopiec o siedmiu sercach

MAREK LYSZCZYNA

Jacek Lyszczyna – historyk literatury, znawca epoki romantyzmu oraz poezji i literatury śląskiej. Tłumacz poetów hiszpańskich, profesor zwyczajny, pracownik Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej oraz Instytutu Języków Romańskich i Translatoryki Uniwersytetu Śląskiego. Autor licznych publikacji naukowych w Polsce i za granicą, współpracownik m.in. miesięcznika „Śląsk” oraz „Zeszytów Literackich”.

Jacek Lyszczyna urodził się 13 lipca 1954 w Chorzowie, ale całe życie związany był z Katowicami, gdzie od 1945 roku mieszkali jego

rodzice. Ojciec profesora, Brunon Lyszczyna urodził się w 1910 roku w Gliwicach. W 1922 roku rodzina wybrała polską część Górnego Śląska i przeniosła się do Katowic. Brunon przed wojną pracował w banku oraz w Towarzystwie Ubezpieczeń Westa. W latach trzydziestych był prezesem Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej, działającego przy ówczesnej katedrze pw. Piotra i Pawła w Katowicach. Podczas okupacji działał w podziemnej organizacji „Ku Wolności”. W 1942 roku został siłą wcielony do Wehrmachtu i wysłany na front zachodni. Tam zdezerterował do wojsk alian-

kich, a następnie został skierowany do Anglii. Po powrocie do kraju w 1946 roku podjął pracę zawodową w ubezpieczeniach i do emerytury pracował w PZU.

Matka Jacka Lyszczyny, Eleonora z domu Knapik, urodziła się w 1919 roku w Mikołowie. Po wojnie także podjęła pracę w sektorze finansowym, przez wiele lat będąc pracownicą katowickiego oddziału Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego.

Jacek Lyszczyna ukończył Szkołę Podstawową nr 1 w Katowicach w 1969 roku i rozpoczął naukę w Liceum im. Mikołaja Kopernika z poszerzonym programem nauczania

fot. Marek Lyszczyna



języka francuskiego. Tam, w osobie prof. Edwarda Kaczmareckiego, znalazł pierwszego mistrza, który zainteresował go światem kultury romańskiej. Zainteresowanie tym kręgiem kulturowym okazało się trwałe i zaowocowało w przyszłości głęboką pasją do szeroko rozumianego kręgu kultury łańskiejskiej: francuskiej, hiszpańskiej, portugalskiej.

Następnie Jacek Lyszczyna podjął studia polonistyczne na wydziale filologii polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, które z wyróżnieniem ukończył w 1977 roku. W okresie studiów zafascynował się poezją, w szczególności Federico Garcii Lorki, którego później stał się tłumaczem. Jak wspominał, języka hiszpańskiego zaczął uczyć się, aby właśnie Lorkę przeczytać w oryginale. Z dostępnych wówczas tłumaczeń cenił najbardziej te Jerzego Ficowskiego, wyrażał także uznanie dla przekładów Feliksa Netza. Po zakończonych studiach podjął pracę w dziale kulturalnym katowickiego oddziału Polskiej Agencji Prasowej. Podczas pracy dziennikarskiej przeprowadzał m.in. wywiady z Wojciechem Kilarem, Henrykiem Mikołajem Góreckim czy Jerzym Dudą-Graczem. Relacjonował Festiwałe Muzyki Polskiej w Opolu i wydarzenia kulturalne na Śląsku.

W 1988 roku pod kierunkiem swojego drugiego, największego mistrza, prof. Ireneusza Opackiego, obronił doktorat poświęcony poezji Maurycego Gosławskiego.

W 1992 roku Jacek Lyszczyna rozpoczął pracę w Zakładzie Historii Literatury Oświecenia i Romantyzmu Uniwersytetu Śląskiego. Niecałe dziesięć lat później, w 2001 roku, na podstawie rozprawy poświęconej poezji Konstantego Gaszyńskiego, Jacek Lyszczyna uzyskała habilitację. W latach 2002–2005 pełnił funkcję wicedyrektora Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej Uniwersytetu Śląskiego. W latach 2003–2010 przewodniczył Komisji Historycznoliterackiej PAN w Katowicach. W 2008 roku Prezydent RP nadał Jackowi Lyszczynie stopień profesora. W grudniu 2010 profesor został odznaczony Złotą Odznaką „Za zasługi dla woj. śląskiego”. Opus magnum był opracowany wspólnie z prof. Markiem Piechotą i wydany w 2000 roku *Słownik Mickiewiczowski*. Wielkie objętościowo i merytorycznie kompendium wiedzy o uniwersum wybitnego romantyka w zamyśle miało być rocznicową publikacją, o nieco lżejszej formie i popularyzatorskiej misji. W toku pracy rozrosło się do

ponad sześćuset stron maszynopisu i setek haseł. Co ważne, *Słownik Mickiewiczowski* to nie typowy leksykon, który służy do weryfikacji suchych informacji, ale niemal reportaż w odcinkach, który można czytać „od deski do deski”.

Drugim wielkim romantykiem, który Jacka Lyszczynę fascynował, był bez wątpienia Cyprian Kamil Norwid, któremu poświęcił wydaną w 2016 roku książkę *Norwid. Poeta wieku dziewiętnastego*. Profesor wykladał w niej swoją koncepcję postrzegania twórczości Norwida bardziej w kluczu premodernistycznym niż romantycznym. Podobnie Jacek Lyszczyna zwracał często uwagę na właściwe postrzeganie kontekstu danej twórczości poetyckiej czy szerzej – literackiej. Często bowiem o przypisanej dziełu stylistyce decydują bezkrytycznie jedynie kryteria czasowe. Jacek Lyszczyna udowodnił, że na przykład u śląskich poetów, takich jak ks. Norbert Bończyk czy ks. Antoni Stabik, takie etykietowanie prowadzi do fałszywych wniosków.

Poza pracą naukową, której był szczerze oddany, Jacek Lyszczyna był człowiekiem wielu pasji i zainteresowań. Kochał muzykę – nie tylko klasyczną, był wiernym melomanem od czasów młodości, ale także tę popularną. Cenił niezwykle muzykę symfoniczną, na pierwszym miejscu stawiając Beethovena, Mahlera i Mendelssohna. Dużo uwagi poświęcał awangardzie, z Bergiem i Schönbergiem na czele. Jego wielką miłością była opera – szczególnie dziewiętnastowieczna, z Meyerbeerem, Puccinim i Verdim. Od 1979 roku uczęszczał jako wierny meloman na koncerty abonamentowe NOSPR, jeszcze w pierwszej siedzibie przy ul. Plebiscytowej, gdzie dawniej mieściło się kino Capitol.

Z lżejszego repertuaru lubił muzykę rockową, szczególnie z lat 60. i 70. Rolling Stones, Beatles, Bob Dylan. Cenił country – płyty John’ego Casha, szczególnie z ostatnich lat życia, wyprodukowane przez Ricca Rubina, miały szczególne miejsce w dyskografii profesora.

Fascynacje literackie Jacka Lyszczyny nie kończyły się tylko na pisarzach romantycznych oraz poetach i pisarzach śląskich. Wśród tych ostatnich bardzo cenił np. Gustawa Morcinka, który jego zdaniem doskonale Śląsk rozumiał i tłumaczył. Był wielkim fanem literatury iberoamerykańskiej, kochał prozę: Julia Cortazara i Mario Vargasa Llose. Cenił Gabriela Marqueza i Jaume Cabre. Z ostatnich fascynacji literackich wskazy-

wał *Patrię* Fernanda Aramburu. Z innych obszarów literatury pociągał go także kryminał i sensacja, ale taka spod znaku Alistaira McLeana. Był wiernym czytelnikiem Grahama Greena, Umberto Eco.

Z mniej oczywistych fascynacji najważniejsza to wieloletnie kibicowanie bokserom (i to w zasadzie wyłącznie wagi ciężkiej). Do ulubionych pięściarzy należeli Andrzej Gołota, Tomasz Adamek, Braacia Kliczko, Nikołał Wałujew, Mariusz Wach i Dawid Kosteczki.

Szczególne miejsce w sercu profesora Jacka Lyszczyny zajmowały podróże – te bliższe i te dalsze. Oczywiście Hiszpania, którą wielokrotnie odwiedzał zarówno zawodowo, jak i rekreacyjnie. Ale także Portugalia, Malta, Włochy, Kreta. Także te bliższe – Czechy, Austria, Niemcy, Dolny Śląsk. Najważniejsza jednak okazała się pierwsza konferencja w Saragossie w 1996, podczas której poznał Eduarda Malinowskiego i rozpoczął pracę nad tłumaczeniem jego hiszpańskiej poezji. Do Hiszpanii wracał wielokrotnie na konferencje naukowe i sesje Hiszpańskiego Towarzystwa Semiotycznego, którego był członkiem. Uczestniczył w kongresach semiotycznych w Granadzie w 1998 roku, w Walencji w 2000 roku, w Logrono w 2002, w Lagunie w 2004. Brał udział w konferencjach w La Corunii w 2007 roku, w Toledo w 2012 i ponownie w Saragossie w 2013. W sumie więc uczestniczył w naukowym życiu hiszpańskich uniwersytetów i towarzystw naukowych przez dwadzieścia pięć lat.

Choć rzadziej to uzewnętrzniał, kochał sztukę. W Norymbardze celem numer jeden był ołtarz Adama Krafta. Kochał impresjonistów i w Paryżu mógłby w zasadzie tylko kontemplować kolekcję Musee d’Orsay. Krakowska wystawa malarstwa Turnera była spełnieniem jednego z jego marzeń.

Ostatnia książka *Wykłady z romantyzmu* ukazała się kilka miesięcy przed śmiercią. Zawiera swego rodzaju podsumowanie poglądów na romantyzm, które Jacek Lyszczyna formułował we wcześniejszych publikacjach – *Romantyczne lektury* (2015) oraz *Natura, historia, egzystencja – w poszukiwaniu romantycznego uniwersum* (2011), a także podczas wieloletniej praktyki dydaktycznej. W *Wykładach z romantyzmu* jak w soczewce ogniskują się tematy kluczowe dla zrozumienia tego okresu w historii kultury.

Będzie go na „śląskim parnaisie” brakować.

„Żył przynajmniej dwa razy”

MAREK PIECHOTA



Mówię to z bólem serca, więc wybaczyć mi, że niekiedy potknę się na słowie nadto kanciastym lub zbyt czułym. Jacka Lyszczyne spotkałem przed niemal półwieczem, w 1973 na pierwszym roku studiów polonistycznych w Sosnowcu. Byłem po niedokończonych studiach automatyki i fizyki, a Jacek tuż po maturze w Liceum Ogólnokształcącym im. M. Kopernika w Katowicach. To było dobre spotkanie, na całe życie. Bliżej poznaliśmy się na seminarium doktoranckim naszego Mistrza prof. Ireneusza Opackiego. Wiem, że należy ważyć słowa, zwłaszcza epitety, więc nie powiem, że Jacek był piekielnie zdolny, powiem, że otrzymał ten dar i wiele innych talentów, umiał je wykorzystać, a nawet pomnożyć, chętnie też dzielił się nimi z innymi. Tak, Jacek był szczodry.

Po obronieniu z wyróżnieniem magisterium o *Sztuce poetyckiej „Wacława dziejów”* Stefana Garczyńskiego Jacek zrazu zajmował się dziennikarstwem. Choć jego wywiady pisane dla Polskiej Agencji Prasowej publikowane były w ogólnokrajowych dziennikach, wydaje się, że to nie zaspokajało jego pasji poznawczych i pisał „po godzinach” dysertację doktorską o *Twórczości poetyckiej Maurycego Gosławskiego* w tzw. procedurze zewnętrznej, oczywiście pod promotorstwem naszego Mistrza. Wyrażenie „po godzinach” ujmuję w żartobliwy cudzysłów, bo doktoraty, habilitacje, właściwie wszystkie książki pisze się 24 godziny na dobę, nawet we śnie. Dobre myśli nie przychodzą do nas wtedy, gdy tylko tego zapagniemy, gdy nam się zamarzą, a nawiedzają nas wówczas, gdy już jesteśmy gotowi na ich przyjęcie. Łatwo prze-gapić ten szczęśliwy moment. Trzeba być czujnym. Jacek miał i ten dar.

Domyślałem się, że Jacek ze swoją oczywistą dla każdego środowiska, w którym się znalazł, prostoliniowością musiał się czuć wyjątkowo ograniczony w systemie opartym na cenzurze prewencyjnej. Nasz przyjaciel i filozof, prof. Józef Bańka, twórca recentywizmu, dodałby jeszcze prostomyślność. Jacek zawsze poszukiwał prawdy i możliwości dzielenia się nią z innymi, a to zapewniały – przy wszystkich ówczesnych niedogodnościach i niegodziwościach – badania naukowe i dydaktyka akademicka. To też, gdy w roku 1988 obronił, ponownie z wyróżnieniem, wspomnianą dysertację doktorską o twórczości Gosławskiego, rozpoczął kilkuletnią współpracę ze Studium Nauczycielskim w Katowicach oraz Zakładem Historii Literatury Staropolskiej kierowanym przez drugiego naszego Mistrza prof. Zbigniewa Jerzego Nowaka, później prof. Renardę Ociczek, zatrudniany na rocznych kontraktach, na umowie-zleceniu, niekiedy jako adiunkt, niekiedy jako starszy wykładowca na etacie urlopowanego wówczas naszego przyjaciela prof. Aleksandra Wilkonia, co wiązało się ze znacznym obciążeniem dydaktycznym – Jacek był cierpliwy i niezwykle pracowity, prowadził wykłady i ćwiczenia z historii literatury staropolskiej, oświeceniowej i romantycznej, wykłady z teorii literatury (na studiach dziennych i zaocznych) i seminaRIA magisterskie. Toteż gdy pojawiła się pierwsza możliwość zatrudnienia Go w kierowanym przeze mnie Zakładzie Historii Literatury Oświecenia i Romantyzmu na etacie adiunkta, co zapewniało pewną stabilizację, Jacek – ze zgromadzonym już dorobkiem naukowym i doświadczeniem dydaktycznym – wygrał ogłoszony przez dyrektora In-

stytutu Nauk o Literaturze Polskiej, prof. Opackiego, konkurs, a ja byłem szczęśliwy, że możemy się spotkać na solidniejszej podstawie, dającej więcej nadziei na przyszłość w przestrzeni akademickiej.

Najlepiej, najbardziej efektywnie współpracowało nam się pod koniec ubiegłego wieku, gdy pisaliśmy przez kilka zaledwie miesięcy (proces wydawniczy trwał niemal trzy lata) *Słownik Mickiewiczowski*, zamówiony przez dyrektora Wydawnictwa „Książnica” Mariusza Morgę, wstępnie skromnie obliczony na 10 arkuszy, a przygotowaliśmy 700 stron; gdy formułowaliśmy w roku 2007 opinię w przewodzie na tytuł profesorski dla dra hab. Jacka Lyszczyzny, pisałem, że przed profesjonalną recenzją prof. Jerzego Paszka sami sobie wzajemnie recenzowaliśmy hasła – wiele się wówczas od Jacka nauczyłem. Był znakomitym leksyografem, „Ex libris” wydał jego „kieszonkowy” *Leksykon przypomniań. Literaturę polskiego romantyzmu* (2002); rzecz pomyślaną jako adresowaną do środowisk polonistyki światowej i rozsianej po świecie Polonii, przecież wykorzystywaną także we wszystkich środowiskach akademickich w Polsce, o czym informowali nas przyjaciele z kręgów polonistycznych i widzieliśmy to w przytoczeniach w pracach licencjackich, magisterskich i w poważnych publikacjach. Jacek był współautorem opasłego *Słownika literatury polskiej* (2006), współautorem i współredaktorem *Słownika pisarzy śląskich* (niedawno ukazał się 5. tom tej serii wydawniczej). Hasła słownikowe wyrastały po części z imponującego dorobku Jacka dotyczącego badań literatury polskiej na Śląsku.

Jacek był optymistą, miał duże poczucie humoru: w dysertacji habilitacyjnej

Pielgrzym w kraju rozkoszy. O poezji Konstantego Gaszyskiego (2000) widzę lakoniczną drukowaną dedykację dla najbliższych, żony Ewy i syna Marka, w odręcznej – czytam dla mnie „życzenia na Nowy Rok 2001 i całe nowe stulecie”. Na karcie tytułowej wspomnianego „kieszonkowego” słowniczka czytam w dedykacji, że jest to „kolejny widomy dowód zagrożenia nałogiem pisania słowników”. Z biegiem lat pismo odręczne Jacka ulegało spowodowanemu chorobą rozchwianiu, stawało się coraz bardziej nieczytelne, co skłaniało go do lakoniczności. Na ostatnich nader licznie wydawanych książkach (w latach 2012–2019 Jacek wydał jedenaście książek!) widnieją zapisy: „Markowi – Jacek” i kolejne daty.

Jacek pracował niezwykle intensywnie, jakby chciał sobie powetować lata pozornie „stracone” na zajmowaniu się niekoniecznie tym, co kochał. W recenzji dorobku na tytuł profesorski zwróciłem uwagę na „Jackowe konferencyjne lata tłuste”, miał takie dwa lata (rok 1996 i 1999), w których wziął udział w aż siedmiu międzynarodowych i ogólnopolskich sympozjach naukowych, a w roku 2003 nawet w ośmiu. Oczywiście, w ślad za referatami szły publikacje w konferencyjnych tomach zbiorowych. Jacek był niezwykle solidną podporą naszego zakładu.

Wspomniałem wcześniej o tym, że Jacek był szczodry – dotyczyło to nie tylko sfery intelektualnej. Był też hojny w prozaicznym i zarazem niezwykle sensie, bo trudniej się daje, gdy ma się mało. Gdy byliśmy w roku 1997 na ogromnej międzynarodowej sesji naukowej, która zgromadziła blisko dwustu uczonych z całego świata (materiały pokonferencyjne wydano w 5 tomach), sesji inauguracyjnej obchody 200. rocznicy urodzin Adama Mickiewicza, odbywającej się w Grodnie i Nowogrodku, Jacek wysupłał resztki niewielkiej dolarowej diety i zafundował naszej delegacji uniwersyteckiej, a był to mały autobusik, przejażdżkę czerwcową nocą łódkami po grodzieńskim Niemnie; świecił księżyc w pełni, kłaskał spóźniony na kolację słowik, a każde zanurzenie wiosła w spokojnym nurcie „rzeki domowej” Poety zbliżało nas nieznacznie do poetyckiej „krajiny dostatku i krasy”.

Gdy prof. Opacki pisał opinię o dorobku Jacka na potrzeby zatrudnienia Go na etacie profesora w Uniwersytecie Śląskim (zaledwie 2 lata po habilitacji), wyróżniał trzy zasadnicze pola badawcze Kandydata na to stanowisko: historia literatury polskiego romantyzmu, teoria literatury ze szczególnym uwzględnieniem genologii literackiej oraz badania literatury polskiej na Śląsku, przy czym – pisał nasz Mistrz – problematyka śląska: „Przez Lyszczyńę ujmowana (...) zostaje w te same kategorie, co nurt po-

przedni badań: romantyzm i genologia stanowią tu zasadnicze ramy ujęć opisowych i interpretacyjnych”. Jacek miał już wówczas wydaną tzw. „książkę profesorską” *Na śląskim Parnasie. Poezja polska na Śląsku 1795–1922 wobec tradycji i współczesnych prądów literackich* (2002). Cztery lata później mogłem już dodać jako równorzędny krąg dokonań hispanistykę. Jacek chętnie, tak długo jak mógł, podróżował na sympozja na Półwysep Iberyjski i pobliskie atrakcyjne skądinąd wyspy, ze względu na rozwijane badania został członkiem Asociación Española de Semiótica (Hiszpani) i Society for Iberian-Slavonic Studies – CompaRes (Portugalia). Dokonania Jacka dla naszej uniwersyteckiej hispanistyki są nie do przecenienia. Żartowaliśmy sobie w zakładzie gdzieś po roku 2011, że Jacek przejawia się w „dwóch osobach”: gdy przychodzi na zajęcia polonistyczne w Katowicach przy placu Sejmu Śląskiego, jest profesorem zwyczajnym, gdy dojeżdża na hispanistykę do Sosnowca i wykłada, prowadzi ćwiczenia i seminaria, opiekuje się doktorantami, redaguje tomy prac naukowych – to wszystko w języku hiszpańskim – jest profesorem tytularnym, bo na takich etatach był zatrudniony za zgodą rektora dla dobra uczelni. Goethemu przypisuje się aforyzm, że „Człowiek żyje tyle razy, ile zna języków”, zatem Jacek żył przynajmniej dwa razy, a z całą pewnością dwa razy intensywniej niż większość z nas. Nigdy się nie skarżył, a przecież mógłby, np. wówczas, gdy w związku z remontem kamienicy przy placu Karola Miarki urzędnicy „Miasta Ogrodów” przenieśli Jego rodzinę do jeszcze piękniejszego mieszkania przy ul. Pocztowej, tyle że na czwartym piętrze, ale bez windy.

Z tych niezwykle obfitych i doniosłych pod względem merytorycznym, ale także artystycznym, dokonań Jacka lat ostatnich wspomnę jedynie o dwóch. W uzasadnieniu kolejnego wniosku o nagrodę rektora dla Jacka pisałem w 2018 roku, że „Profesor Lyszczyzna w wydawnictwie «Zeszytów Literackich» wydał kolejną w swoim dorobku niezwykle ważną – a to ze względu na specjalizowanie się nie tylko w historii literatury polskiego romantyzmu, nadto w hispanistyce – książkę, mianowicie Federica Garcíi Lorki *Piosenkę o chłopcu o siedmiu sercach* (Warszawa 2017, ss. 225), we własnym tłumaczeniu z jęz. hiszpańskiego i we własnym wyborze, zbiór zawierający wiersze nie tylko spośród wydanych za krótkiego życia poety, ale także pozostawionych w rękopisach. To zdecydowanie najobszerniejszy, bo liczący 150 wierszy wybór w naszej historii, a Lorca to jeden z wielu poetów hiszpańskich tłumaczonych przez Jacka”. Dodam dzisiaj: aby tłumaczyć poetów, trzeba być poetą. Jacek nim był! Niekiedy miałem wrażenie, że Jacek sam jest „chłopcem

o siedmiu sercach” i dzieli się nimi z najbliższymi, z rodziną, z przyjaciółmi, właściwie ze wszystkimi, których spotkał na drodze swojego życia.

I drugie dokonanie, bodaj ostatnie. W roku 2019 ukazały się Jacka *Wykłady z romantyzmu* – niewielu uczonych decyduje się na ogłoszenie zakłętej w skończoną literacką formę swojej „mowy żywej”, wielowariantowej, uzupełnianej przecież się stan badań, reagującej na przewartościowania wynikające z kolejnych lektur niekiedy nawet tych samych tekstów. Jacek nawiązał tu do tomu naszego Mistrza, prof. Opackiego, do jego „*Poznacie mnie po głosie*”. *Literackich wykładów otwartych* (2006). Osiem ostatnich lat i jedenaście książek, a pewnie pominąłem kilka współredagowanych na hispanistyce.

Tych ostatnich lat Jacek nie przetrwałby bez ogromnego wsparcia najbliższych: żony Ewy i syna Marka. Wielokrotnie rozmawiałem z Jackiem o perspektywach dalszego zatrudnienia, o przydziałach zajęć, bo – z jednej strony – nie chcieliśmy, aby dłużej tak się męczył, a – z drugiej strony – pragnęliśmy, aby jak najdłużej dzielił się swoją ogromną wiedzą i dojrzałą mądrością z kolejnymi rocznikami naszych studentów, którzy uwielbiali Go w sposób ponadprzeciętny, wręcz wyjątkowy. W tych rozmowach korzystaliśmy z dobrych rad i życzliwości naszego przyjaciela, prorektora prof. Ryszarda Koziółka. Często w tym wystąpieniu pojawia się słowo „przyjaciel”, bo też uniwersytet nie jest – jeszcze – korporacją, jest zgromadzeniem przyjaciół nauk i uczonych wchodzących w więzi przyjaźni, nauczycieli akademickich przyjaznych wobec studentów, od których uczymy się znacznie więcej, niż oni się domyślają.

Jacek był Mistrzem dla wielu, dla swoich doktorantów i magistrantów – polonistycznych i hispanistycznych – ale także dla moich, zwłaszcza tych, którym recenzowałem dysertacje doktorskie. Był Autorytetem dla wielu, szczególnie dla tych, którym pisał recenzje dorobków dla uzyskania stopnia doktora habilitowanego lub tytułu profesorskiego. Dla tych, którzy cytowali jego nader liczne i cenne dla polonistyki i hispanistyki prace. Był Autorytetem i Przyjacielem, o czym świadczą liczne kondolencje lub drukowane w prasie ogólnopolskiej nekrologi.

Zapadła mi w pamięć przejmująca prostota i szczerocię, które płynęły z głębokiej samowiedzy, pointa Jacka jednej z naszych ostatnich rozmów o Jego zatrudnieniu. Jacek domknął nasze rozważania zdaniem: „Bo wiesz, Marku, ja nie wiem, jak długo TO potrwa...” – a mówił o życiu... No i nie potrwało długo. Wybacz Jacku, że nie umiem się z Tobą rozstać, że nie potrafię Ciebie pożegnać. Będziesz ze mną – z nami do końca naszych dni!

Księga Wyjścia

JEFIM ZOZULA *Przełożył Marian Kisiel*

Dni się ciągnęły za dniami, zachodziło i wschodziło słońce, i wciąż przygnębiająca i straszna, i nieskończona była pustynia. Ludziom i zwierzętom wysychały gardła. Od upału i wiatru od gorzkiego łądu płonęły powieki. Purpurowe miraże dręczyły mózg. Nogi więzły w piasku i przejmujący ból przeszywał członki.

A mimo to lud szedł przed siebie. W gorącym powietrzu lśniły sztandary plemion i patriarchów – czerwone, zielone, biało-czarne, lazururowe, ciemnoniebieskie i szafirowe, dymno-różowe i chryzolitowe, i mieszanych kolorów.

Obóz za obozem, grupa za grupą potężnej armii, wzbijając kurz i dysząc ciężkim tchnieniem mas, lud uchodził z niewoli.

Z tyłu zostawały trupy umęczonych. Nocą, lękając się nieobjętego, obcego nieba, wyły psy, żałośnie ryczały osły i tylko wielbłądy, milcząc, niosły swoje oblażące garby, samotnie i dumnie kołyszając na cienkich szyjach brzydkie proroczy mordy.

Po roku wolności nawet u młodych pojawiły się zmarszczki. Oczy osadziły głębiej. Gorzkie fałdki ułożyły na ustach. Lecz lud szedł, ciągnąc za sobą słabych, tchórzliwych i nawykłych do niewolnictwa. Znajome słowa Mojżesza już spowszedniały, lecz wzięź podnosiły na duchu. Na postojach śpiewano w grupach. Młodzież odłączała się i tańczyła, i w wyuczonych, wszystkim znanych pieśniach, wysławiała wolność.

I znów zaczął się wychód, znów dni ciągnęły się za dniami, puchły nogi, gorący piasek skrzypiał w bolących zębach, coraz więcej zostawało umarłych na porzuconym, zdeptanym piasku, i radość tłumiła budząca groźbę codzienność.

- Dokąd wiedzie nas Mojżesz?
- Dlaczego nas wywiódł z Egiptu?
- Dlaczego nas męczy ten człowiek?

Pociemniały twarze. Zachodziły czarną, niedobrą krwią. Zaciskały się suche, drżące, złe usta.

Nocą, pod obcym, dziwnym niebem, w ciemności zbierali się na piasku mężczyźni i kobiety, starcy i podrostki, i szepotali do siebie, ostro i gniewnie dźwięczały ściszone głosy w surowym mroku:

- Kimże on jest, ten człowiek?
- To pyszałek!
- Czy jest marzycielem?

- Nie, jest katem!
- Chce naszej zguby!
- Słyszeliście? W obozie Rubena wczoraj węże pogryzły tysiąc ludzi.
- Nieprawda, tylko pięćset.
- Nie węże ich pogryzły... Umarli ze zmęczenia.
- Co z nami będzie? Co z nami będzie?
- Dlaczego, dlaczego wywiódł nas z Egiptu?
- W Egipcie było tak dobrze!
- Jedliśmy daktyle.
- Piliśmy mleko z gęstą śmietaną.
- Pamiętajcie, w Egipcie były orzechy. Jakie wspaniałe orzechy!
- I miód był w Egipcie. I miód!
- Tak. I miód. Wszystko było w Egipcie.
- Bracia! Wracajmy do Egiptu!
- Ciszej! Trąbią w rogi. Znowu marsz. Rozejdźcie się, bo jeszcze usłyszą nas szpiedzy Mojżesza. Ci-szej...

Słychać było nierówny i ostry dźwięk sygnalnego rogu. Daleko po pustyni niesły się znajome dźwięki – z obozu do obozu, z grupy do grupy. I znów szeleścił i skrzypiał piasek, zapalały się pochodnie, z wysiłkiem podnosiły się z kolan wielbłądy. Krzyki poganiaczy, beczenie i muczenie stad, nerwowe łajanie, rwetes skłębionych, poruszonych ciał wypełnił powietrze, i znowu setki tysięcy nóg, pokornych wobec jednej silnej woli, przeżyło się z wysiłkiem, wiele ciał zlewało się w żyjącym potoku, i duch ludzki unosił się nad głowami, jukami i sztandarami w obojętne, nieznane przestworza.

Mojżesz siedział w szałasie i intensywnie myślał. Miał smutną twarz. Grube wargi miał zaciśnięte. W dużych ciemnych żrenicach pulsowało wielkie utrapienie prawdziwie twórczej myśli.

Nastał wieczór. Obóz rozświetlił się ogniami. Unosił się nad nim ciepły żywy szum. Siny dym ognisk wił się w fiolecie zachodu. Chłodne płótna namiotu tchnęły spokojem.

Lecz Mojżesz nie znalazł spokoju. Nadchodził bój z Amalekiem.

Niedaleko namiotu czekali ludzie. Mówiono o nich z rana Mojżeszowi. Czekali. Dręczyli się. Śpiewali z pamięci chwałę panu. Wielu zarośniętych, brodatych, szanowanych, pełnych szacunku i nieprzeniknionych. Dręczyli w ciasnych głowach różowe grudki mózgu. Zamykali się w nienawiści, strachu,

fot. Monika Marek



tchórzostwie i mętnym bezkształtnym gniewie. Lecz usta były otwarte. Śpiewali. Żałośnie, błagalnie. Opanowali formę: wnosili ręce, kłaniali się, gięli ciała ku ziemi.

Byli tacy sami prawie zawsze, lecz zawsze też bywali nieprzeniknieni, i Mojżesz mówił z nimi jednym językiem – językiem obietnic. A oni przyjmowali obietnice jak powinni, oddając pokłon i z zewnętrzną pokorą, i z nierozpoznawalnymi znakami swoich twarzy oczekiwali jeszcze i jeszcze tego samego – dobra i obietnic, dobra i obietnic dobra. I jeszcze oczekiwali cudu...

Po czym odwracali się i odchodzili na prostych, nierozumnych nogach, a z twardych i płaskich pleców kładł się na wielkie serce Mojżesza niespokojny, ostry ból.

– Przy pierwszej sposobności postawią sobie złotego cielca – powiedział kiedyś Mojżesz do Aarona, swojego brata.

Aaron miał mięsiste policzki i łagodne usposobienie. Uśmiechnął się niepewnie i powiedział:

– Dopóki żyjesz, Mojżeszu, jest to mało prawdopodobne.

– A kiedy mnie nie będzie?

– Wtedy lud nie zapomni swojego nauczyciela – wymijająco odpowiadał Aaron.

Mojżesz milczał. Aaron znał dobrze to groźne milczenie brata. Wiedział, że łatwo może przejść w gniew, w gniew Mojżesza, kiedy jego głos dławiał zgiełk tłumy, krzyki kobiet, przekleństwa umierających, kiedy ludzie, nie mogąc znieść niepojętego wybuchu tej nieludzkiej energii, padali na ziemię lub uciekali na wszystkie strony, albo też – najczęściej – kamieniali, nie śmiejąc ruszyć się z miejsca.

– Czego pragniecie? – zapytał ludzi Mojżesz.

– Chleba, mięsa – odpowiadali ludzie, przestając śpiewać i odkrywając czerwone, jednakowe usta.

– Jutro będziecie jeść mięso, a pojutrze nasycicie się chlebem.

Głośny, otwarty, całkowity, prosty i naiwny, święty i bezczelny głos, który zawsze jest obecny w każdym tłumie, powiedział:

– I wody nam daj! Dlaczego wyprowadziłeś nas z Egiptu? Chcesz nas zamorzyć głodem i pragnieniem?

A inny płacząco dodał zza pleców:

– I dzieci nasze. I stada nasze.

Mojżesz stał i, milcząc, słuchał, skłoniwszy na pierś ciężką siwą głowę.

Aaron i Chur podeszli do niego i, pragnąc go uspokoić, gładzili go po szerokim, mocnym ramieniu.

– Co mam zrobić z tym ludem?... – powiedział Mojżesz. – Jeszcze chwila, a mnie ukamieniuje.

Po czym, poczuwszy chłód jaskrawej samotności, jaką zna każdy przywódca, pewnie i władczo zwrócił się do tłumy:

– Niegodziwcy! Byliście nędznymi niewolnikami w Egipcie. Bito was kijami po plecach i twarzach. Pluto wam w oczy. Nie było niewolników bardziej nikczemnych niż wy! Waszych pierworodnych topiono w rzekach. Piękno waszych żon i córek blakło od nieludzkiej pracy. Knut nadzorcy siekł je tak samo, jak was. Jak szybko zapomnieliście o tym! Jak szybko! A dzisiaj kłasicie pana waszego, który was wywiódł, nędznych niewolników, z domu niewoli i dał wam wolność, i wiedzie was do ziemi obiecanej, płynącej mlekiem i miodem. Niegodziwcy! Nie kłasicie pana nikczemnym narzekaniem! Będziecie mieli wszystko – i mięso, i chleb, i miód. Wszystko będzie! Lecz wy ciągle kłasicie pana, i on zsyła na was próby, żeby was ukarać. Czy wiecie, że Amalek idzie na was, żeby wytrzebić wasz ród, zabrać do niewoli wasze żony i bydło? W Refidim będzie spotkanie jego wojsk z izraelskim ludem. Przestańcie narzekać! Mężnie zdajcie tę próbę. Idźcie teraz, rozejdźcie się po obozach i powiedzcie ludowi, że będzie bitwa. Przyjmijcie wyzwanie Ameleka, bijcie wroga bezlitośnie, a pan wam pomoże. Będę stał na wzgórzu i podniosę rękę, i podniesiona ręka będzie znakiem dla zgładzenia Ameleka. Idźcie! Nie narzekajcie! Pan wybaczy wam waszą głupotę i zgładzi wroga Izraela, jak zgładził wojska Faraona.

Szli walczyć wolni niewolnicy. Szli kudłaci, pochyleni,

krzepakoręcy, na wpół odziani w różnobarwne szmaty. Żegnali się z płaczącymi żonami. Na przedzie krzyczano: „Zwyciężymy! Zwyciężymy!” Ci z tyłu milczeli. W milczeniu nieśli strzały, kamienie, miecze.

Noc była ciemna. Padaly ostre rozkazy tysięczników, setników, dziesiątników. Rżały konie, skrzypiały rydwany. Wiatr wyl w ciemności, szeleścił piaskiem.

– Nie chcę umierać! Nie chcę! Mam młodą żonę! Miałem winnicę w Egipcie.

Piskliwie, niewolniczo, żałośnie dźwięczący głos. Pauza. Po czym znowu krótka okrutna dawka. Uderzenie mieczem po głowie. Głuche przekleństwa, jęki i – cisza. Znowu równy miarowy krok i chrzęst nocnego wilgotnego piasku.

Blady świt ledwie podniósł wieko nieobjętej, ciemnej szuflady nocnej pustyni. Rzadkie obłoki, jak niewyspane owce, sennie ślaniały się po niebie. Pogasty gwiazdy. Mrok odchodził ponuro na zachód.

I nagle w blasku świtu zaczernieli ludzie. Mnóstwo ludzi na koniach, z kopiami, mieczami i spiczastymi nakryciami głów.

– Wojska Amaleka! Amalek! Amalek idzie!

Podniosło się słońce. Czerwonymi iskrami zamigotały włócznie.

Ciemna masa drgnęła, zakotyła się, ruszyła naprzód.

Z krzykiem, świstem i szczękiem rzucili się wrogowie na Żydów.

Zębiaści, brunatni, szerokoplecy, krzywo siedzieli na koniach, jakby się z nimi zespolili, jakby nie byli ludźmi, ale okrutnymi, zręcznymi, złośliwymi, skorymi do zwady dodatkami do zwierząt. Ich strzały celnie trafiały w serce. Kamienie miażdżyły czaszki. Zetknąwszy się z przednimi drużynami Izraelitów, zeskakiwali z koni i, okropnie wrzeszcząc, walczyli jak oszalałe małpy, puszczając w ruch ręce, nogi, zęby – wszystko, co mieli. Widząc ich nieopanowaną furję, salwowali się ucieczką nawet niezłomni, odważni, nawet ci, którzy kochali Mojżesza i pielęgowali marzenie o wolności.

Krwawe plamy zabarwiły piasek. Krzyki, jęki, przekleństwa, szczęk i zgrzyt broni, dudniący zgiełk walki zwały się w jednostajny szalony hałas, a wkrótce na tyłach, w spokojnym obozie, podniósł się alarm.

Powietrze przeniknęły nowe krzyki i jęki rozczochranych kobiet z dziećmi na rękach. Chwymano długie dzbany i napełniano je wrzącym olejem. Rzemieślnicy miotali narzędziami swojego rzemiosła – młotkami, pasami, piłami. Wicher nienawiści i strachu łączył ludzi i zwierzęta. Konie z rozwichrzonymi grzywami niosły się po pustyni i biły kopytami wrogów, wpijały się we wrogie konie rozjątrzonymi zębami.

Mimo to Amalek wygrywał. Ludzie padali coraz bliżej. I lamenty mordowanych i uprowadzonych kobiet przeraźliwie rozrywały pospolity, głuchy, śmiertelny zgiełk.

Na górze pokazała się wysoka postać Mojżesza. Stał nieruchomo. Patrzył na biegnące, wierzące się i padające ludzkie zawijasy. Stał. Patrzył. Potem powoli, władczo podniósł rękę. Ręka wzywała, poganiała, poganiała do przodu – na wroga.

Minął dzień. Zachodziło słońce. Siny kłęb mgieł zalewał brunatny mrok. A ręka wzniesiona ku górze, wciąż jeszcze nieruchomo czerniała, żelazna, wzywająca.

Ludzie się zebrali, szczepili z sobą, rzucili naprzód. Rozbili wroga, odegnali go.

...A rękę Mojżesza, poczerniałą ze śmiertelnego znużenia, podtrzymywali Aaron i Chur.

...I znowu zaczęły się dni powszednie.

Jedli. Pili. Szli.

Zatrzymywali się, rozbijali namioty i szeptali, szeptali wydętymi, chciwymi, szybkimi ustami.

– Zobac, jaki dekownik, za plecami żywił się chlebem narodu!

– Próźniak!

– Niepoprawny marzyciel!

– Jak wam się podobają jego prawa?

– Nic to! Cierpliwości! To się wnet skończy. Przyjdą Egip-



fot. Maria Korusiewicz

cjanie i znów nas wezmą do siebie. Słyszeliście, wczoraj mój poganiacz rozmawiał z ludźmi z napotkanego karawanu. Powiedzieli, że Egipcjanie są już blisko. Teraz naród jest rozsądny i nie będzie bił się z nimi. Ja pierwszy oddam się w niewolę.

– A czy wiecie, że faraon nie będzie nas pędził do pracy, jak wcześniej? Już został wydany odpowiedni dekret.

Ludzie przywykli do życia w drodze. Namioty rozbijali sprawnie i szybko. Rodziny układały się wygodnie. Brzuchate kobiety, tyjące na wielbłądzych garbach, w czasie postojów rozkoszowały się poduszkami. Przy ogniskach igrali ogorzali, dorastający na pustyni młodzieńcy. Chłopcy zakochiwali się w dziewczynach. Często urządzano tańce. Mężczyźni w kolorowych strojach i kobiety ze złotem w uszach, na rękach i na szyi urządzali zachodzących gości do sąsiednich namiotów, siadali na dywanach i poduszkach, i rozmawiali:

– Ech, kiedyż to się skończy?

– Któż to wie? Zapewne, szybko!

– Przecież to nie jest życie!

– Tak. Jesteśmy męczennikami.

– Pamiętajcie, jak dobrze było w Egipcie?

– Raptem dwa lata temu, o tej porze jedliśmy rodzinki. Rodzinki! Pomyślcie, jedliśmy rodzinki!

– A ja tak tęsknię za młodą, zieloną cebulą. Jakaż cudowna cebula była w Egipcie!

– To straszne! Już dwa lata nie gotowaliśmy powideł.

– Za to Mojżesz karmi nas prawami. Tego pokarmu nie brakuje...

– Nie mówcie mi o Mojżeszu. Mam dość!

– Powiedzcie, czy to są egipskie sandały? Czy też uszyte na pustyni? Jakie piękne sandały!

Bez snu, bez jedzenia, w kamiennym kurzu, sam na górze, Mojżesz wybił poranionymi do krwi rękami znaki na tablicach. Dźwięcznie stukał młot, ptaki lekko krążyły nad głową, wiatr wzniewał wielki kurz.

– Gdzie jest Mojżesz?

– Na górze.

– Nieprawda! Tak długo nie może być na górze!

– On nas porzucił,

– I dobrze zrobił! W końcu odpoczniemy!

– On umarł. Umarł. Ja to wiem.

– Ludzie widzieli, jak wznosił się do nieba. Idźcie do trzeciego obozu. Tam jest staruszka, która to widziała. Sam słyszałem, jak o tym opowiadała.

– Wznosił się do nieba?

– Tak. Do nieba.

– Ech, wszystko jedno. Byleby jak najdalej od nas.

– Ciszej! Mogą nas usłyszeć szpiedzy Mojżesza.

Mały człowiek, zwyczajny i wyrazisty, a jednocześnie niezrozumiały i nieznaną, przeciętny człowiek, który wie, czego potrzebuje i wyraża swoje pragnienia całym sercem, i głęboko przekonany, że wielu, wielu chce tego samego, nagle krzyknął:

– Idźmy do Aarona!

I tłum odnalazł cel.

– Do Aarona! Do Aarona! Idźmy do Aarona!

Rosnąc po drodze, tłum wpadł do Aarona. Zwyczajni ludzie, lecz w tym czasie niezrozumiali w swym żywiołowym dążeniu, wzajemnie podnieceni, z niespodziewanym celem i niespodziewaną determinacją, krzyżąc, wyrzucając z siebie obelgi i przekleństwa, otoczyli namiot Aarona i domagali się ze straszną mocą:

– Stwórz złotego cielca! Stwórz boga! Niepotrzebny nam wasz pan, którego nie widział ani jeden pies!

– Stwórz go! Nie będzie już Mojżesza. Mojżesz umarł!

Blady, czarnooki Chur wskoczył na kamień i wzburzony krzyknął z goryczą:

– Niewdzięcznicy! Zapomnieliście wszystko, co Mojżesz dla was uczynił. Bydłęta! Głupie barany! Podłe psy! Kto was wywiódł z domu niewoli? Podli wieczni niewolnicy! Dusze zżarł wam trąd, niegodni jesteście wolności!

Wiele rąk pochwyciło Chura i rozdarło na kawałki. Po chwili leżał martwy na piasku, a starcy dobijali zamęczone ciało rzemieniami i kijami, a jeden z nich wściekle walił twardym sandałem w czaszkę martwego.

Przyprowadzono Aarona.

– Jeśli nie chcesz tego samego, stwórz cielca!

– Stwórz go, nim będzie za późno!

Aaron pomyślał i powiedział:

– Bracia, Pan, Bóg nasz, jest Bogiem jedynym. Radzę wam, byście poczekali na Mojżesza. On nie umarł! A jeśli chodzi o złotego cielca, to, oczywiście, nie jest tym samym, co Pan Bóg, ale można, jeśli chcecie, stworzyć i cielca. Być może dzięki złotemu cielcu przyjdziecie do Pana Boga. Być może, wolniejsza droga jest właściwa. Przynieście złoto i stworzę dla was złotego cielca.

I z obozu na obóz przeniosła się żywa, bujna radość.

Stał tłusty złoty cielec na czterech nogach, i wszystko było tak jasne, tak rozumiałe.

Powróciło dawne życie, zwykłe, znajome. Kończył się surowy ciężar niezrozumiałej nowości. Kochany złoty cielec! Dla nieskomplikowanych dusz wraz z nim wszystko stało się jasne i zrozumiałe. Starcy bili starymi czołami o jego niezdarne wykute nogi. Kobiety w zachwyceniu klęczały przed nim i jazgotliwie prosiły o błogosławieństwo.

Ale wnet i tego było mało.

Rozwścieczeni ludzie z mieczami w rękach biegali po namiotach i aresztowali tych, którzy nie chcieli modlić się do złotego cielca. Robili rewizje, znajdowali złoto i krzyżeli:

– Patrzenie! Patrzenie! Mają złoto! Nie chcieli oddać złota dla cielca. Bijcie ich!

Bito. Wyciągano z namiotów na piasek i łamano karki. Burzono namioty. Ścigano uciekających.

Następnie zamieszki zamieniały się w zabawę. Weselono się a, nawiasem mówiąc, bito, dopóki wciągała ich zabawa. Tańczono wokół złotego cielca, zdejmowano suknie, tańczono

no nago, krzyczano, śpiewano, pito wino. Młodzi wygłupiali się, chwytali kobiety, oddalali się z nimi do namiotów. Starszaki wypelzwały z namiotów i chichotały bezzębnymi, zapadniętymi ustami. Chwała bogom! Wszystko się skończyło. Stoi złoty cielec. Powróciło stare, zwykłe, zrozumiałe.

...Mojżesz schodził z góry, niosąc tablice.

Pierwszy autor szedł z pierwszą książką w rękach. Kto zrozumie, jak drżały te ręce?... Kto poczuje, jak biło serce Mojżesza?

Mojżesz usłyszał hałas.

– Co to takiego? – zapytał Jozue.

– W obozie rozlegają się okrzyki wojenne – odpowiedział Jozue.

– To nie głos pieśni zwycięstwa ani głos pieśni klęski, lecz słyszę pieśni dwóch chórów.

Przybliżył się do obozu. W czadzie krzyków, śmiechu, wycia, dymu i muzyki stał złoty cielec na czterech tłustych nogach...

Łzy trysnęły z surowych oczu Mojżesza.

Podniósł tablice, wysoko podniósł, rzucił na ziemię i – rozbił je.

– Ludzie nie dorosli do tablic – pomyślał z goryczą.

Mojżesz uważnie, uważniej niż dotąd, popatrzył na tłustą, ludzką gumę twarzy Aarona i zapytał:

– Cóż ci uczynił ten lud, że sprowadziłeś na niego tak wielki grzech?

Aaron odpowiedział:

– Niech się mój pan nie unosi na mnie gniewem! Znasz ten lud: jest głupi i ciemny. Nie dorósł do rozumienia pana. Kazali mi stworzyć boga. Rozumiesz, zmusili mnie!

Mojżesz nie miał o czym rozmawiać z Aaronem. Odszedł. Odszedł na koniec obozu i na zewnątrz spokojnie, lecz mocno, zagłuszając wszystko wokół siebie, krzyknął:

– Kto jest za Panem, do mnie!

Krzyknął tylko raz i czekał.

Obóz zamilkł. Mroczne milczenie skuło ludzi.

I wnet rozległy się kroki. Szli do Mojżesza. Kto? Ludzie. Chłopcy o jasnych oczach, dziewczynki, ogorzali wojownicy – każdy, kto pragnął nowego życia, kto nie zapomniał niewoli i nie chciał wrócić do niej.

Szli dzień cały. Z wszystkich grup, wszystkich obozów.

Kiedy zebrało się wielu ludzi, Mojżesz nakazał:

– Każdy z was niech przypasze miecz do boku. Przejdźcie tam i z powrotem od jednej bramy w obozie do drugiej i zabijajcie: kto swego brata, kto swego przyjaciela, kto swego krewnego. Zabijajcie bezlitośnie! Nie litujcie się ani nad ojcem, ani synem, ani matką. Dzisiaj poświęćcie siebie Panu, żeby Pan wam użył błogosławieństwa!

Wnet zabito kilka tysięcy ludzi.

Ułożono w stosy okaleczone trupy z zastygłym błaganiem na ustach i poskręcanyimi palcami. Porwane suknie, zalane krwią, niepotrzebnie pstrzyły się na niepotrzebnych nogach, brzuchach, głowach i plecach.

Leżeli byli ojcowie i matki, dzieci i przyjaciele, przepiękne kobiety, spryciarze i wesołkowie, dobrzy i źli, tchórzliwi i mężni – wszyscy, w całej różnorodności ludzkich różnic, lecz jednakowo winni tego, że nie chcieli nowego życia.

– Mojżeszu, Mojżeszu, cożeś z nami uczynił?

– Mojżeszu, powiedz Panu, żeby nas oszczędził!

Mojżesz milczał. Surowa myśl marszczyła mu czoło.

Wyszeptał w zadumie, jakby do siebie:

– Pan rzekł do mnie: „Ja wyświadczam łaskę, komu chcę, i miłosierdzie, komu Mi się podoba”.

...A niebo żyło swoim życiem.

Pod wieczór na zachodzie zbierały się wszystkie barwy i tworzyły kłęb różnokolorowych plam. Jak znaczący goście, tłoczyli się wokół gospodarza słońca, a słońce uroczyście się oddalało, czerwone i wyniosłe. I różnokolorowi goście obrażali się, ciemnieli, rozciągali i odchodzili. Ale nazajutrz znowu się pojawiali, oczekiwali na słońce, które wyniosłe się ukazywało, tylko po to, żeby ich wnet odegnąć. Po cóż to wszystko?

Mojżesz szedł na górę, długo patrzył w niebo, szukał Boga, samotnie z nim rozmawiał, padał z wyczerpania na ziemię, potem wracał do ludzi, i ludzie dowiadywali się o nowych surowych prawach.

Tak, pewnego rana, Mojżesz przyszedł do śpiącego Aarona i obudził go.

– Co sprawiło, że tak wcześnie przyszedłeś do mnie? – zapytał Aaron.

– Tej nocy, rozmyślając o mądrości Bożej, zatrzymałem się nad jednym pytaniem – powiedział Mojżesz.

– Nad jakim?

– Co powiedzieć o Adamie, który upadłszy, dał śmierci dostęp do świata? Jak długo będziemy żyć?

Aaron wiedział, że bezprzyczynne rozważania były obce Mojżeszowi. Mowa Mojżesza o śmierci była straszna.

– Czyż nie mówisz o mojej śmierci? – drżącymi wargami zapytał Aaron.

– Tak. O twojej. Musisz umrzeć.

Aaron zamarł. Przeszył go lęk, dokładnie taki sam, jaki zawsze przesywa wszystkich ludzi przed śmiercią.

– Mojżeszu, bracie mój, serce trzepocze się we mnie, i lęki śmiertelne mnie opadły – modlił się Aaron.

– Musisz umrzeć. – Mojżesz był nieubłagany.

Aaron udał się na górę i nie wrócił.

Ludzie się dowiedzieli. Zebrał się. Mówili.

– To Mojżesz zabił Aarona z zawiści.

Kiedy Mojżesz zszedł z góry, zapytano go:

– Gdzie Aaron?

Mojżesz chłodno odpowiedział:

– Pan go przyjął do życia wiecznego.

– Nie wierzymy ci! Ty go skazałeś na śmierć.

Żałowano Aarona. Był ustępliwy i, co najważniejsze, wyrozumiały. Mojżesz zaś był surowy i wymagający.

Nawet na pustyni było za ciasno dla braci.

Żółte piaski pustyni były tak samo przygnębiające i nieskończone. Wiele istnień znalazło wieczny spokój w tych piaskach, a żywi postępowali wciąż naprzód.

Mojżesz się zestarzał, lecz twardość i mądrość nie opuściły go.

„Długo jeszcze będziecie błędzić po pustyni – mówił w myślach do ludu. – Prostą drogą powiodę was do ziemi obiecanej. Nie! Jeśli prosto tam dojdziecie, każdy zajmie się swoim polem i swoją winnicą. Nie! Najpierw trzeba w waszych zniewolonych duszach zaszczyć ducha prawdy Pana. Długo jeszcze będziecie błędzić, długo, długo”.

I Mojżesz uczył lud prawdy, pracował nad tym bezustannie, a wieczorami odchodził sam na pustynię, patrzył na zachód słońca i ponure fale ciemniejącego piasku. ■

1920

Jefim Zozula (1891–1941), rosyjski prozaik i dziennikarz żydowskiego pochodzenia, urodził się w Moskwie w rodzinie drobnego urzędnika, ale dzieciństwo spędził w Łodzi i Odessie. Pracę dziennikarską zaczął w Odessie, kontynuował ją później w Piotrogradzie i Moskwie. W latach 1927–1929 wyszło trytomowe wydanie jest *Dzieł zebranych* (tom czwarty się nie ukazał). W latach 30. zajmował się głównie dziennikarstwem. W czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej był korespondentem wojennym, zmarł na zapalenie płuc i gangrenę palców u nogi. W Polsce przetłumaczono dotąd cztery jego opowiadania. *Dusza ekranu* i *Złodziejka* ukazały się w antologii *Słodycze doczesnej miłości* (Rój, Warszawa 1929), *Kot* w antologii *Rosyjski charakter* (cz. 1, PAX, Warszawa 1962), natomiast *Interesująca panna* w antologii *Róża wiatrów* (Czytelnik, Warszawa 1977).

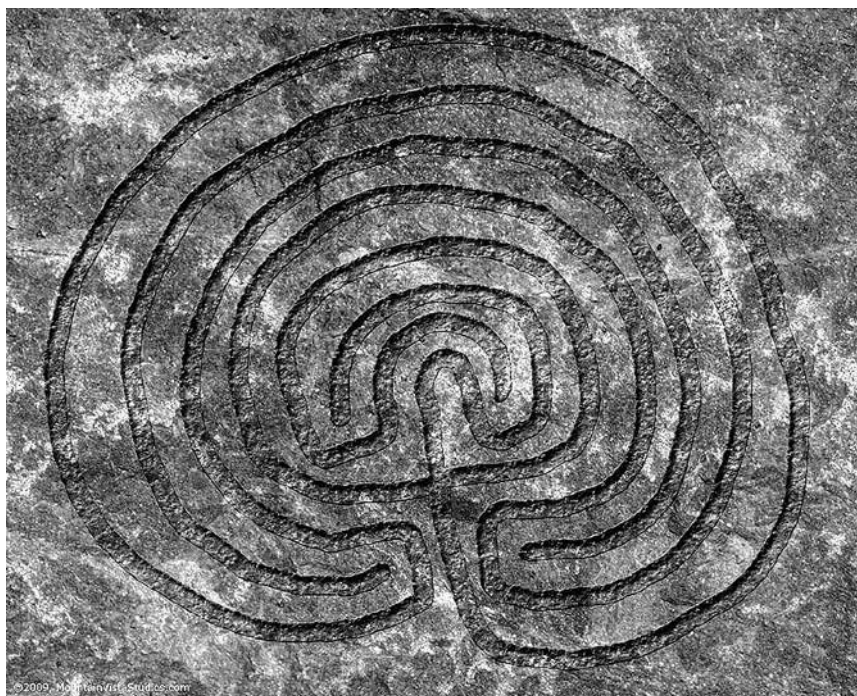
Każda opowieść o labiryncie jest u swoich podstaw historią o tęsknocie za światłem, za tym, by po podróży poprzez lęk, niepewność i mrok wyjść w słoneczną przestrzeń ciepła i bezpieczeństwa. Labirynt mówi nam jednak coś więcej. To właśnie w nim, w podziemnym, niedostępnym miejscu, bije źródło życia i śmierci, a także tej Wiedzy, którą musimy zdobyć, ponieważ prowadzi nas ku przemianie świadomości, czyli ponownie – ku Światłu.

Dosłowność tego przesłania zawarta jest w historii greckiego herosa Tezeusza, który pokonuje zamkniętego w labiryncie Minotaura, potwornego syna królowej Paszafae i poświęconego bogu mórz białego byka. Warunkiem powrotu Tezeusza z ciemności kretańskiego Labiryntu jest jednak nie tylko odwaga i siła miecza, ale także zawierzenie miłości Ariadny, księżycowej królowej, a raczej wielkiej bogini kretańskiej. Jej imię to przydomek, kryjący jej istotę: to kretańska forma słowa Arihagne, przeczyta, choć nazywano ją także Aridela, „Ponad Wszystkim Jaśniejąca”. To ona, siostra Minotaura (który zresztą wewnątrz Labiryntu również jaśnieje jako Asterion lub Asterios, gdzie aster oznacza gwiazdę) czeka przy wyjściu na bohatera.

Co więcej, świetliste przeznaczenie Tezeusza sięga dalej, opuściwszy szczęśliwie Kretę, porzuca on Ariadnę dla Aigle, której imię znaczy światło, a później żeni się z siostrą Ariadny, Faidre, której imię również świeci jasnym blaskiem. Jeśli więc pójść za biegiem nici Ariadny, labirynt, królestwo przeczystej Pani Labiryntu, był przede wszystkim symboliczną, a jednocześnie jak najbardziej rzeczywistą drogą ku światłu, co od zarania znanych nam dziejów wykorzystywały tak zwane „rytuały przejścia”, a dzisiaj także psychologia, do czego za chwilę powrócę.

Starożytne budowle, naskalne rysunki
Zgodnie z powszechnie uznawanym przekonaniem labirynt od „zawsze” przynależał do świata podstawowych form architektonicznych, a w każdym razie – do zbioru form stabilnych i stałych, nawet jeśli ich użytkowanie groziło rozmaitymi niebezpieczeństwami ze śmiercią włącznie. W słowniku Kopalińskiego czytamy, że jest to „starożytna budowla o rozmyślnie skomplikowanym układzie sal, korytarzy i przejść, z której osoba niewtajemniczona nie może znaleźć wyjścia”. Ta uproszczona definicja daje jednak niewielkie wyobrażenie o złożoności idei labiryntu. Co więcej, odniesienie labiryntu do architektury okazuje się dość późnej daty – piszą o nim dopiero autorzy rzymscy, między innymi Pliniusz Starszy, który opisuje labirynt jako skomplikowaną budowlę, jako dzieło sztuki.

Labirynty, przede wszystkim linearne siedmio-, dziewięcio- lub jedenastozwajowe, znane były niemal we wszystkich częściach świata. Występowały m. in. w Afryce, Australii, w starożytności sumeryjskiej i śródziemnomorskiej, w całej Europie, szczególnie w północnej, na kontynentach



Labirynty, czyli drogi „przejścia”

MARIA KORUSIEWICZ

obu Ameryk, na Bliskim Wschodzie, a także w Indiach i Tybecie. Co interesujące, niemal identyczne przedstawienia pochodzą często z miejsc bardzo odległych w czasie i przestrzeni, np. z kultury północnoamerykańskiego plemienia Indian Hopi i starożytnej Krety, przy czym Indianie plemienia Hopi określają labirynt mianem „matka i dziecko”. Tym samym wpisują je w cykl narodzin i wiązą z obrazami Iona Matki, które każdy musi opuścić w swoim pierwszym, fundamentalnym „rytuale przejścia”. Takie przedstawienia pierwotnego Iona, ciemnego, ukrytego miejsca stawania się i narodzin, odnajdziemy dużo później w metaforach i pojęciach łączonych z wszystkim tym, co daje początek i pozwala życiu – albo jego nowej fazie – wyłonić się.

Najstarsze formy labiryntowe, czy też protolabiryntowe pochodzą już z młodszego paleolitu. Zawierają one zaczątki kształtów charakterystycznych dla labiryntów klasycznych: zygzaki, kręgi, spirale, serpentyny a później meandry. Prawdopodobnie, u ich źródeł leżała powszechna w wszystkich kulturach fascynacja biologicznymi formami spiralnymi, która pozwoliła utożsamiać je z życiem. Przypominały o nich rozwijające się pędy paproci, wiry wodne, muszle ślimaków i wiele, wiele innych.

Poszukiwania definicji

We współczesnym odbiorze, formy labiryntowe przynależą jednak nie tyle do dziedzic

ny biologii, co przede wszystkim kultury i jej rozlicznych, przenikających się wzajemnie tradycji. Paolo Santarcangeli, autor monografii zatytułowanej Księga labiryntu, pisał, że labirynt jest także labiryntem pod względem swojej definiowalności, ponieważ żeby go w pełni zrozumieć trzeba mieć wiedzę z zakresu archeologii, historii, religioznawstwa, psychologii głębi i psychoanalizy, ale także architektury, sztuki zakładania ogrodów, czy nawet językoznawstwa.

Samo słowo labirynt wywołuje przecięż ciągle spory wśród badaczy. Z pewnością pochodzi z języka wcześniejszego niż greka, być może z pelazgijskiego i zgodnie z tradycją odwołuje się do terminu labrys oznaczającego topór o podwójnym, symetrycznym ostrzu. Takie obosieczne topory używane były na starożytnej Krecie w celach sakralnych, a znaleziska datowane są na około 2000 p.n.e. Ponieważ jednak podobne symbole odnaleziono już w Catal Huyuk w starożytnej Anatolii, możliwe, iż łączenie słowa i symbolu labrys (ewentualnie dabrys) z kultem kretańskiej Pani Labiryntu jest wykorzystaniem jeszcze starszych przedstawień.

Niezależnie od przyjętej perspektywy najbardziej obiecującą możliwością poszukiwania definicji labiryntu jest podążanie za jego podstawową formą: linearnym przedstawieniem pewnej narracji, w której skręcająca raz w lewo raz w prawo droga wiedzie śmiałka od wejścia ku centrum,

a następnie wyprowadza go ponownie ku wyjściu. Jednakże, to bliskie nam rozumienie labiryntu nie jest jego formą najstarszą. Znak labiryntu znanego także jako kretański lub siedmio-zwojowy, liczący sobie około 4000 lat, często umieszczany był na skałach w pobliżu miejsc pochówku i kojarzony jest dzisiaj z rytualnym powrotem do głębi ziemi, do śmierci. Jego centrum jest więc jednocześnie punktem ostatecznym, miejscem rzeczywistej komory grobowej. Na zewnątrz powrócić można jedynie tą samą drogą, czyli narodzić się z łona Matki, w nowym życiu, kreśląc kolejny obrót spirali wiecznego powrotu.

Także dużo późniejszy labirynt grecki nie tworzy alogicznego chaosu ścieżek, gdzie, raz wszedłszy, człowiek gubi swój cel i błąka się aż do śmierci. W zasadzie swojej jest kosmosem, jest uporządkowany. W labiryncie kretańskim korytarz sam rozwija się przed wędrowcem, mimo zwrotów w lewo i prawo brak jeszcze możliwości pomyłki, lecz jednocześnie brak także możliwości wyboru. Jedynym „wyborem” staje się więc samo wejście do labiryntu, dążenie, cnota męstwa w obliczu nieuniknionego, które czeka w jego Centrum.

Labirynty filozofii

Jeszcze jedno zastosowanie labiryntu, to labiryntowe strategie przekazywania wiedzy, przede wszystkim filozoficznej, przeznaczanej dla wybranych. Chociaż w pracach Platona znajdziemy opisywany powyżej podstawowy obraz labiryntu, to niektórzy badacze widzą same jego dzieła jako labirynty logiczne zastawiające pułapki na uczestniczących w jego rozważaniach czytelników. Szczególnie widoczne jest to w Parmenidesie; niezależnie od tego, jaką drogę wybiorą czytający, czy skręcają w lewo, czy w prawo, w końcu znajdą się w ślepych zaułku, a jedyną opcją pozostaje przyjęcie argumentacji autora – twórcy labiryntu.

Także ezoteryczne nauki filozofii budowały labirynty, w których wraz z wyborami tych, którzy przez nie kroczyli, odkrywała się lub zakrywała sama Prawda. Takie „fallowanie wiedzy”, podwójność przekazu w filozofii ateńskiej – dla wtajemniczonych i dla ogółu odbiorców – była nie tylko wynikiem konwencji kulturowych, dyktowały ją także obawy o bezpieczeństwo autora w przywiązanej do świętej tradycji społeczności greckiej. Myślenie, niezależne i wpływające z indywidualnej refleksji nad rzeczywistością, także wtedy było groźne. Z drugiej strony, technika wprowadzania do filozofii nowych uczniów poprzez labirynty niejasności i tak istotnych dla kultury greckiej zagadek, od czasów Sokratesa sprzyja zafascynowaniu grą myśli i samodzielnym odkrywaniem tajemnic rzeczywistości. Wróćmy jednak do samej formy labiryntu.

Geometrie labiryntu

W labiryntach klasycznych istnieją pewne elementy stałe: wejście, które jest jednocześnie wyjściem, naprzemiennosc kie-

runków ruchu i, przede wszystkim, centrum. Labirynt posiada zawsze wyraźnie zaznaczony punkt centralny i choć droga wiodąca do niego może przybierać różne formy, są one z reguły podległe regułom geometrii. Meandry, spirale i serpentynty wychylają się raz na lewo, raz na prawo (co też ma swoją symbolikę) wahałowym ruchem mijając centrum, które ostatecznie jest celem. Według badacza kultury Mircei Eliadego labirynt istniał właśnie po to, by bronić i osłaniać centrum jako punkt bezpośredniego zetknięcia ze świętością, z rzeczywistością absolutną. To ono – pozaczasowe miejsce pośród czasu odmierzanego przez wędrowkę – podtrzymywało ruch wirujących wokół niego ścieżek. Stąd w niektórych labiryntach centrum dodatkowo pieczętowane jest znakiem przywołującym rzeczywistość ostateczną, może to być głowa potwora, słońce, hinduska swastyka, czy chrześcijański symbol gołębiczy lub zarys Jerusalemu, Miasta na Wzgórzu.

Poza klasycznymi, znamy jednak także

inne labirynty, takie, w których centrum nie istnieje lub dryfuje, umyka zarówno fizycznym poszukiwaniom jak i możliwości umysłu. Podobnie iluzoryczne okazują się drogi wyjścia, skazując wędrowca na nużące łęki błądzenia i ostatecznie śmierć. W momencie, gdy labirynt potwornieje stając się chaosem świata, w którym egzystujemy, również arrheton, czyli niewypowiadalna Tajemnica jego centrum – ulega zwielokrotnieniu i może znajdować się wszędzie.

Labirynt staje się chaosem dróg i spraw, którego doświadczamy także w naszej codzienności. Dwóch francuskich myślicieli Gilles Deleuze i Felix Guattari nadało takiej formie labiryntowej osobną nazwę, rhizoma – w polskim tłumaczeniu kłącze. Labiryntowa struktura rhizomy-kłącza to świat form nieokreślonych, pozostających w ciągłym ruchu, przenikających się wzajemnie, lub rozchodzących nagle i bez powodu, rozcinanych i ginących wraz z wędrującym poprzez nie człowiekiem, lub również nieoczekiwane powstających na

Giovanni Battista Piranesi, akwaforta 1749–1760. Fot. arch.



nowo. Klucze nie ofiaruje nam linearnego rytuału przejścia od życia, poprzez śmierć, ku nowemu życiu. Raczej zmusza nas do nieustannego niepokoju, fragmentarycznych przeżyć i doświadczeń, niekończącej się nawigacji po nieznanym i niestabilnych wodach rzeczywistości.

Co interesujące, podobne przedstawienie labiryntu – choć zupełnie inaczej interpretowane, motywowane i doświadczane – rozwija skupiona na złożonej relacyjności bytów tradycja japońska. W odróżnieniu od klasycznych, labirynty japońskie bardziej przypominają właśnie płataninę ścieżek, powtórzeń i niespodziewanych zmian kierunku, a wyjście nieodmiennie jest w zupełnie innym punkcie niż wejście. Przykłady takiego dynamicznego ujmowania labiryntu przynosi nie tylko bogata tradycja literacka poczynając od najdawniejszych opowieści, ale także sztuka współczesna, między innymi, kunsztowne, rozległe labirynty, które niestrudzenie układa z drobin soli Motoi Yamamoto, czy też niekończące się repetycje przestrzeni w pracach Masakazu Matsumoto przypominające o niepokojących konstrukcjach innego piewcy labiryntów, włoskiego architekta i rytownika Giovaniego Battisty Piranesiego.

Tradycje kulturowe, zestawiane i konfrontowane ze sobą coraz częściej przenikają się wzajemnie, co może owocować niespodziewanymi rozwiązaniami o wielokrotniej symbolice. Niektóre z nich mają charakter porządkujący, śledzą narastanie sensu. Taką hybrydą łączącą elementy dalekowschodnie i zachodnie jest chociażby wpisywanie zachodniego labiryntu w dynamikę chińskiego symbolu yin/yang z dwoma przeciwstawnymi cen-

trami. Takie symboliczne przedstawienia – niejako ponad kulturami – wykorzystywane są dzisiaj w praktykach medytacyjnych. Inne wręcz przeciwnie, poszerzają perspektywę ujawniając konsekwencje procesów rozpadu i zagrożenia, przywołując stare chthoniczne obrazy i wywoływane przez nie lęki. Takim przykładem może być berliński pomnik ofiar holokautu w centrum Berlina – mroczny labirynt obojętnych kamiennych bloków zajmujący powierzchnię 19 tysięcy m².

Być może specyfika współczesnej rzeczywistości wpływa na to, że labirynty współczesności nie są już w stanie w sposób przekonujący powtarzać wzorców dróg i ścieżek przekazanych przez tradycje, przywołując je jedynie we fragmentarycznych, ułomnych korytarzach, prowadzących donikąd stopniach i ciemnych zaułkach, w składowiskach odpadów – resztek po epokach znaczeń. Kultura, która czci człowieka jako Jednostkę, kontrolującą świat, w konsekwencji traci naturalną więź pozwalającą akceptować wiedzę, jaką niosło przejście poprzez dobro i zło, poprzez to, co po lewej i to, co po prawej w odwiecznych ścieżkach labiryntu. Niestabilne „ja”, nie stąpa już w wielkim ciemnym herosów. Raczej z narastającym lękiem usiłuje rozsupłać strzępki wzajemnie zagłuszających się ścieżek, kakofonię obcości rzeczy wokół nas.

Labirynty i psychoanaliza

A jednak archetypowe ślady labiryntów trwają w naszej (pod)świadomości. Niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z labiryntem o jednej lub wielu drogach, labiryntem w kształcie budowli, w formie naturalnych korytarzy jaskiń, pł-

skich rysunków rytych w afrykańskiej skale, mozaiki na posadzce francuskiej katedry, z labiryntem tańczonym na wzór starożytnego tańca żurawi (geranos), czy wreszcie z labiryntem w formie literackiego tekstu – jego odnawiające siły psychiki funkcje budzą równe zainteresowanie, co jego powszechność w historii kultur.

Tajemnica jego dróg – zamierzone zwodzenie tego, który odważy się do niego wejść, a zarazem obietnica zwycięskiego wyjścia ku słonecznemu światu, o ile wszystkie pułapki zostaną pokonane – wielokrotnie była zawłaszczana przez psychoanalizę czerpiącą z nauk Carla Gustava Junga. W psychoanalizie jungowskiej labirynt jest odzwierciedleniem zejścia do mrocznych korytarzy naszej podświadomości, wędrówki poprzez kręte ścieżki, na spotkanie z naszą własną, lecz nieznaną nam stroną, z Cieniem. To z jego monstrualnością – jak mityczni herosi – musimy się zmagać, by ostatecznie zawrzeć z nim przymierze krwi i podjąć dalszą drogi ku światłu pełni Jaźni.

Labirynt fascynuje, ponieważ w swoim najpowszechniejszym znaczeniu związany jest z nadającymi naszej egzystencji Rytm rytuałami przejścia, szczególnie z inicjacją, wielokrotnie analizowaną przez psychologię. Decydujemy się wejść w nieznaną, mroczną przestrzeń, zmierzyć się z samym sobą, rozpoznać siebie w tym, co wydaje się obce i przyjąć tę obcość w obręb własnej świadomości, poszerzyć ją, lub zmienić tak, by dostrzec światło. Nieprzypadkowo labirynt jest również związany z tzw. mitem bohatera, nie tylko w dosłownym ujęciu opowieści o Teuzuszu, czy Heraclesie, ale także jako odpowiednik wielu innych prób inicjacyjnych podejmowanych przez zwykłych śmiertelników dawniej i dziś.

We wnętrzu labiryntu, jak w biblijnym brzuchu wieloryba, wyjście z ciemności może być niemal niewykonalne i jednocześnie proste, ponieważ czasem wystarcza nawet niewielka, zmiana świadomości, otwarcie umysłu. Taka zmiana wnosi światło w mroki zakłębionych ścieżek, pozwala odnaleźć w prochu ślady stóp tych, którzy szli przed nami.

Labirynt nieodmiennie łączy się więc z tajemnicą istnienia, z ideą niekończącego się życia-śmierci-życia, światła-mroku-światła, o których pisała kiedyś amerykańska antropolożka o nastawieniu jungowskim Clarissa Pinkola D'Estes w swojej słynnej książce *Biegająca z wilkami*. Naszym imperatywem jest więc podjęcie próby przejścia poprzez ten labirynt egzystencji. Sensem labiryntu jest przecież ten, kto poprzez niego podąża, dopiero ten ruch podnosi jego drogi z prochu abstrakcji i chaosu, aktywizuje pojęcia i ich wielowiekowe odczytania, buduje jeszcze raz opowieści i znaczenia. ■

Maestro dei Cassoni Campana „Teuzusz i Minotaur” 1510–1520 (fragment). Fot. arch.



Wzgórze porośnięte ciszą

Wspomnienie o Urszuli Broll

JOANNA SZWEDA



fol. arch.

Niewielki dom na wzgórzu, porośnięty kępami strzelistej, giętkiej trawy. Pośrodku gąszczy wydeptano skromną ścieżkę, gdzieś tam wzmocnioną kamiennymi stopniami. Obejście pomyślane z dbałością o najdrobniejszy szczegół, z całkowitą świadomością, że to człowiekowi użycza się tutaj przestrzeni, to człowiek korzysta z gościnności tych gór, drzew i wiatru. Trakt poszerza się stopniowo, by za niewielkim zakrętem odsłonić zaszkloną antresolę, ganek oddany kotom na dożywotnie zamieszkanie. W skromnym pomieszczeniu aż roi się od książek, przedmiotów codziennego użytku, obrazów, których wielość kontrastuje z prostotą górskiego krajobrazu Przesieki.

Przed domem rośnie spore drzewo, dziś nie pamiętam jakie, kasztan, dąb czy lipa. Pamiętam jednak sposób, w jaki o nim mówiła, uczucie, którym je obdarzała – więź, niepozwalająca jej się z nim rozstać, mimo że rosło zbyt blisko murów i nie było już zdrowe. Nieco dalej niewielkie okno, z którego rozpościera się pełen spokoju widok na górskie pasmo akwarelowych szczytów. I wcale nie byłam wtedy pewna, gdzie kończy się horyzont, a gdzie mgła subtelnie przenika niebo – zupełnie jak w jej obrazach z cyklu karkonoskich pejzaży.

Przyjechałam do Przesieki, aby przeprowadzić wywiad z Ursulą Broll – artystką wielkiego formatu, malarką, pionierką powojennych ruchów awan-

gardowych. Rozmowa miała dotyczyć pasji literackich artystki i wspomnień z czasu działalności grupy Oneiron, współtworzonej przez nią wraz z Andrzejem Urbanowiczem, Henrykiem Wańkiem, Zygmuntem Stuchlikiem i Antonim Halorem na przestrzeni lat 60. i 70. w pracowni Piastowska 1 w Katowicach.

Zadaję pierwsze pytania – skąd pomysł, żeby w czasach kulturalnej stagnacji na poddaszu kamienicy zajmować się przekładami Junga, czytać Meyrinka, Hessego, Eliadego? Skąd ta niepojęta potrzeba wiedzy i samokształcenia? – a intrygująca opowieść malarki rozpoczyna się skromnym, wręcz lakonicznym „Tak, po prostu”, wypowiedzianym z niezwykłym spokojem, którym epatowała zresztą od pierwszej chwili spotkania. Po chwili usłyszałam, że charyzmatycznej grupie przyjaciół z katowickiego oddziału ASP nie wystarczyło to, co oferowała akademia. Pragnęli oni czegoś więcej, a predyspozycje i okoliczności sprzyjające, które wówczas im towarzyszyły – Urszula dobrze posługiwała się niemieckim, a to za sprawą koligacji rodzinnych; dodatkowo malarka otrzymała przydział na pracownię, co w tamtym czasie nie zdarzało się często – dały początek działalności nazwanej w późniejszym czasie Oneironem. Urszula na pewnym etapie tylko częściowo w nim uczestniczyła. Wkrótce była już matką, doszły więc zupełnie nowe obowiązki. Tamten

czas miał jednak dla malarki ogromne znaczenie. Był niejako uzupełnieniem doświadczeń nabytych w grupie ST-53, do której należała w latach 50. wraz z siostrą Krystyną Broll-Jareką, Konradem Swinarskim, Zdzisławem Stankiem czy Marią Obrembą. Zarówno Oneiron, jak i poprzedzająca go frakcja, skupiona na praktycznym wykorzystaniu *Teorii widzenia*, wpłynęły na wypracowanie przez Broll malarskiego idiolektu, ukształtowanie jej świadomości jako artystki oraz przyczyniły się do stopniowego osiągnięcia duchowej równowagi, której ostateczną formułę dopełnił buddyzm.

„Nigdy niczego sobie nie narzucałimy” – kontynuuje malarka, starając się wyjaśnić, jaka zasada kierowała współpracą na Piastowskiej. Słyszę po chwili, że Oneiron był projektem opartym na wzajemnym porozumieniu i szacunku do wolności. Być może właśnie dlatego miał szansę zaistnieć wtedy, tam, na katowickim poddaszu. Największym pragnieniem oneironautów była niewyczerpana swoboda wyrażania. Pamiętali jeszcze okupację z czasów wojny. Wspomnienia okupacyjne zdawały się tylko potęgować pragnienie wolności, podczas gdy cenzura skutecznie podcinała skrzydła wszelkim przejawom niezależnej sztuki.

Broll opowiada, z jakim odzewem spotkała się jej drobna, akademicka wariacja. Podczas studiów malowała kobietą postać, używając koloru o odcień jaśniejszego niż obowiązujący,

co zostało potraktowane jako skrajna niesubordynacja, z której wyciągnięto poważne konsekwencje. „Katowice były szare i smutne. Nie wyobraża sobie pani, jak bardzo” – wyznaje zamysłona. Jednak po tych słowach dociera do mnie, że przygnębiająca aura, jaka panowała na Górnym Śląsku paradoksalnie sprzyjała spotkaniom, rozmowom, lekturom, wspólnym dyskusjom i działalności translatorskiej oneironautów. „Ja tłumaczyłam, Andrzej dbał o odpowiednią formę, nadawał tekstom literacki sznyt” – dodaje malarka. „Do tego od zawsze czułam, że istnieje jakiś głębszy sens, zasada, która łączy nasze losy – nie tylko moje i Andrzeja, ale wszystkich, którzy pojawiali się co rusz w naszym mieszkaniu i w pracowni przy Piastowskiej. Czulo się jakąś mistyczną aurę, tajemnicę, ale i wspólnotę na bardzo podstawowym, wręcz rodzinnym, poziomie”.

To, co niewyjaśnione zbiegło się zaś z jej zainteresowaniem podświadomością i nieświadomością. Bardzo ważną dla Broll lekturą z czasu aktywności Oneironu były *Wspomnienia, sny myśli* Carla Gustawa Junga, które otrzymała z zagranicy w wersji niemieckojęzycznej. Po dokonaniu roboczego przekładu tłumaczka przekazywała pisma kolejnym zainteresowanym. Tym sposobem Jung doczekał się wnikliwego omówienia na poddaszu Piastowskiej. Lektura i recepcja *Wspomnień...* przebiegała równoległe do powstawania *Czarnych kart*. „Pamiętam te wyjątkowe *Czarne karty*... Raz, dwa, trzy, cztery i padło na mnie” – moja rozmówczyni uśmiecha się, wspominając początki pracy z *Leksykonem. Leksykon*, zwany *Czarnymi kartami* lub *Nowym Chaosem w Obrazkach* był pierwszym wspólnym i kolektywnym dzie-

łem artystów z Piastowskiej. 30 czarnych kartonów przechodziło z rąk do rąk, aby wkrótce przybrać formę *opus magnum* Oneironu, wielowymiarowej gry spod znaku surrealizmu. Dowiaduję się, że jednym z pierwszych słów-symboli, które zostały umieszczone na karcie przez Broll była „paloma” – gołąbek. Jak przyznała malarka, to słowo przyszło jej do głowy nieoczekiwanie i o to chodziło. *Czarne Karty* miały być grą nieświadomości na najgłębszym poziomie, miały stanowić otwarcie treści utajonej, wypartej w procesie socjalizacji.

Malarka kilkakrotnie powtórzyła, że dla inicjatyw powziętych na Piastowskiej istotną była wspólnota, która chwilami przybierała wyjątkowo szeroki zasięg. Pytana o sympatie ze świata literatury wspominała zażyłość, która łączyła ją z Jarosławem Markiewiczem. Jak zauważyła, poeta nie był wprawdzie buddystą, ale wykazywał zbliżoną do buddyjskiej wrażliwość. W ścisłej korespondencji z Oneironem pozostawali pisarz Ryszard Krynicki i artysta Zbigniew Beksiński. Ten ostatni, znany w latach 70. głównie z działalności malarskiej, przysyłał na Piastowską swoje pierwsze teksty, których wnikliwym recenzentem i czytelnikiem był Andrzej Urbanowicz. „Zdzisław oświadczył u nas raz – tatuś w okularach, co zupełnie kłóci się z mrocznym charakterem jego sztuki, prawda?” – wspomina Broll, dodając, że podziwiał malarski kunszt i warsztat Beksińskiego, choć tematyka obrazów sanockiego twórcy do głębi ją niepokoi. Niepokój ten zresztą miała dostrzegać także w osobie Tomasza Beksińskiego, który – w odróżnieniu od ojca – był na poddaszu Piastowskiej stosunkowo często.

Pytana o to, jaką rolę w jej działalności artystycznej odgrywają słowo i literatura, odpowiada, że gdyby nie została malarką, na pewno byłaby pisarką. W wolnej chwili czyta, bardzo chętnie, dużo. Zarówno w latach 70., jak i później, zainteresowanie literaturą u Broll sytuowało się niejako równoległe do pasji malarskiej. W obrazach jednak decydowała się na abstrakcję, tworzenie „z gestu”, żeby dać wyraz temu, co niewypowiedziane i czego nie da się ubrać w słowa. Próbowwała swoich sił również w pisaniu. Kiedy dzieci były małe, układała z myślą o nich bajki, które – jej zdaniem – nie wyróżniały się wysoką klasą literacką. Opowieściami tymi miała wymieniać się z Zygmuntem Stuchlikiem. Mi jednak nie było dane przeczytać bajek, które tego dnia zawieruszyły się gdzieś wśród przepastnych archiwaliów przesiadkowej pracowni.

Interesowało mnie jeszcze, czy Urszula dzieliła pasję swej siostry. Krystyna Broll-Jarecka, starsza siostra malarki, wydała bowiem w latach 60. i 70. kilka tomików poetyckich. „Codziennie rano budzę się z haiku na ustach. Słowa przychodzą do mnie, po czym szybko umykają” – opowiada Broll. „Kiedyś postanowiłam spisać kilka wierszy, zostały dołączone nawet do katalogu jednej z wystaw. Niestety cała reszta tekstów odeszła bezpowrotnie. Może tak właśnie miało być”...

Następnie udała się do niewielkiej kuchni, zaparzyła herbatę, przygotowała półmisek z ciastkami. Nakarmiła kotkę o imieniu Yoko. „Dobrze się rozmawia. To miłe, że postanowiła mnie pani odwiedzić” – jej życzliwy głos dobiegł zza ściany.

Ucichły myśli
Po trawie sunąc
Skrzydła motyla
Wtapiając w tęczę
Nie kłęczę – Nie idę – Nic nie wiem

Srebrem pokryta
Dał płynęła
Gęstniały cienie
Na wzgórzu porośniętym ciszą

Urszula Broll – malarka, buddystka, współzałożycielka grupy ST-53, a następnie jedna z pięciorga artystów wchodzących w skład katowickiej grupy Oneiron – zmarła 17 lutego 2020 roku w Przesiece na Dolnym Śląsku w wieku 89 lat.

W tekście wykorzystano fragmenty rozmowy przeprowadzonej w domu malarki 20 lipca 2019 oraz haiku jej autorstwa; zob. U. Broll, *Wiersze*, w: tejsze: *Malarstwo* [kat. wyst.], wstęp: Joanna Mielech, Jelenia Góra 2016, s. 45.



Urszula Broll, *Kompozycja biologiczna III*, 1953

Dla Polski, i za Polskę

Zbrodnia Katyńska to „imię” nadane przez historyków zbrodni wojennej, popełnionej wiosną 1940 roku przez sowieckie NKWD na polskich jeńcach wojennych, więzionych po agresji sowieckiej na Polskę – 17 września 1939 roku, w Obozach Specjalnych NKWD w Kozielsku, Ostaszkowie, Starobielsku oraz więzieniach i obozach na terenach Zachodniej Ukrainy oraz Białorusi.

Największą poszkodowaną grupą zawodową w Zbrodni Katyńskiej była Policja Województwa Śląskiego. Jak szacują historycy, 75 do 80 procent ofiar ze stanu śląskiej policji na dzień 1 stycznia 1939 roku (3017 funkcjonariuszy), to od to Ofiary Zbrodni Katyńskiej.

Największa grupa – 1231 funkcjonariuszy Policji Województwa Śląskiego, została zamordowana przez sowieków w Twerze (kiedyś Kalinin), a ich prochy spoczywają na katyńskich nekropoliach w Miednoje. W tej grupie ofiar jest 800 weteranów Powstań Śląskich z lat 1919–1920–1921.

Henryk Szwan

Bojownik Powstań Śląskich 1919–1920–1921, funkcjonariusz Policji Górnego Śląska 1920–1922 oraz Policji Województwa Śląskiego 1922–1939, lider Związku Powstańców Śląskich 1923–1939, weteran wojny obronnej Polski we wrześniu 1939, Ofiara Zbrodni Katyńskiej 1940

GRZEGORZ GRZEŚKOWIAK



Aspirant PWŚl. Henryk Szwan (1898–1940)

fol. arch. P. Fiołek, G. Grześkowiak

Urodził się 29 sierpnia 1898 roku w Zawadzie Książęcej w powiecie raciborskim, w rodzinie Wiktora i Franciszki z d. Rudzok.

Podczas I wojny światowej walczył jako piechur w armii niemieckiej (1917–1918). Po demobilizacji na terenie jednostki wojskowej w Bytomiu, wiosną 1919 roku, powrócił do Katowic i podjął pracę jako gór-

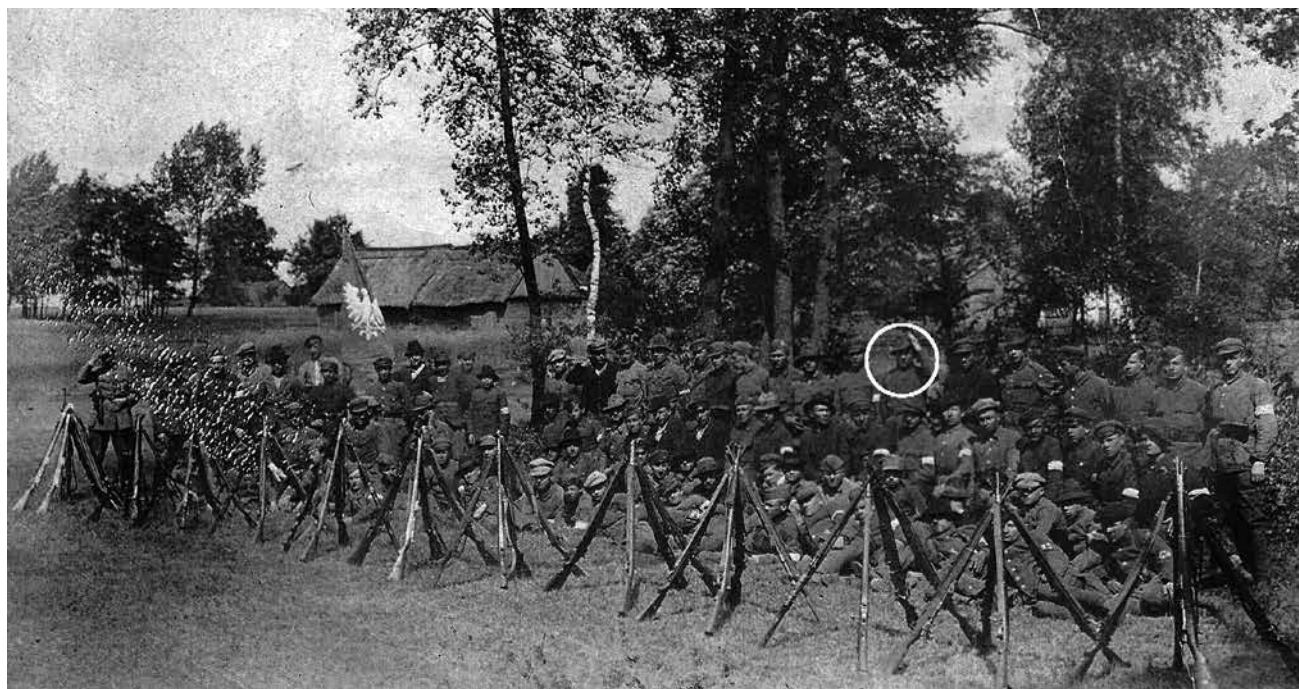
nik w kopalni „Kleofas” na terenie Załęża, pow. katowicki.

15 kwietnia 1919 roku został zaprzysiężony jako członek Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, obejmując stanowisko dowódcy plutonu kompanii bojowej „Załęże”.

Brał udział w I i II Powstaniu Śląskim, walczył na terenie Katowic oraz powiatu katowickiego.

Po zakończeniu II Powstania Śląskiego, na polecenie dowództwa Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, wstąpił ochotniczo, jesienią 1920 roku, do Policji Górnego Śląska (Policja Plebiscytowa). W jej szeregach pełnił służbę na terenie Katowic do kwietnia 1922 roku.

W nocy z 2 na 3 maja 1921 roku, podczas wybuchu III Powstania



1 kompania I Baonu 3 Katowicki Pułk Piechoty im. Jana Henryka Dąbrowskiego podczas III Powstania Śląskiego 1921 roku, w której służył Henryk Szwan (oznaczony na fotografii okręgiem). Opolszczyzna, czerwiec 1921 rok

fol. arch. P. Fiołek, G. Grześkowiak

Śląskiego, dowodził akcją rozbiorzenia niemieckich funkcjonariuszy Policji Górnego Śląska w budynku Komendy Policji w Katowicach przy ulicy Kilińskiego 9, gdzie został ranny.

Po powrocie do zdrowia otrzymał przydział służbowy do 1 kompanii I Baonu 3 Katowickiego Pułku Piechoty Wojsk Powstańczych im. Jana Henryka Dąbrowskiego jako dowódca plutonu, brał udział w walkach z niemieckimi oddziałami na terenie Opolszczyzny.

Po powrocie części Górnego Śląska do Polski, w roku 1922, wstąpił 26 sierpnia 1922 roku do Policji Województwa Śląskiego. Pełnił służbę jako funkcjonariusz służby śledczej Komendy Miejskiej i Powiatowej w Katowicach w Komisariacie II oraz w Komisariacie Katowice-Załęże.

W okresie międzywojennym był jednym z liderów Związku Powstańców Śląskich grupy Katowice-Załęże. Inspirował i organizował na terenie dzielnicy uroczystości patriotyczne upamiętniające powrót Górnego Śląska do Polski oraz kolejne rocznice zrywów powstańczych z lat 1919–1920–1921. Za swą działalność społeczno-patriotyczną został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi RP (1939).

W sierpniu 1939 roku współorganizował na terenie Katowic-Załęża oddział samoobrony powstańczej, nadzorując go z ramienia Komisariatu Policji Województwa Śląskiego – Katowice-Załęże.

W dniach 15–16 sierpnia 1939 roku na terenie dzielnicy Załęże z ramienia Komisariatu Policji Województwa Śląskiego Katowice-Załęże, dowodził akcją rozbicia oddzia-

łu niemieckiej organizacji konspiracyjno-bojowej o nazwie: Kampf Organisation Oberschlesien Ost.

Wieczorem 3 września 1939 roku współdowodził oddziałem samoobrony powstańczej, walczącego z Freikorsem na pograniczu miast – Katowic i Chorzowa w rejonie Bederowca oraz ulicy Chorzowskiej.

Rankiem 4 września 1939 roku ewakuował się z Katowic na wschód, z wysokim prawdopodobieństwem dołączając do 11 kompanii fortecznej IV Baonu 73 Pułku Piechoty Wojska Polskiego.

Po 17 września 1939 roku wzięty przez Sowietów do niewoli i zesłany jako jeńiec wojenny do Obozu Specjalnego NKWD do Ostaszkowa.

Został zamordowany przez funkcjonariuszy NKWD w nocy z 7 na 8 kwietnia 1940 roku w Twerze (były Kalinin) i pogrzebany w „dole śmierci” na terenie kompleksu leśnego w rejonie wioski Miednoje.

Obecnie prochy Sp. aspiranta Policji Województwa Śląskiego Henryka Szwana spoczywają na największej „katyńskiej” nekropolii – Polskim Cmentarzu Wojennym w Miednoje.

Za pracę na rzecz powrotu Górnego Śląska do Polski i wzorowo pełnioną służbę w Policji Województwa Śląskiego został uhonorowany: Srebrnym Krzyżem Zasługi RP, Krzyżem na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi kl. II, Medalem Pamiątkowym Za Wojnę 1918–1921, Krzyżem Kampanii Wrześniowej 1939 (pośmiertnie – 1985), Medalem Za Udział w Wojnie Obronnej (pośmiertnie – 1991), Medalem Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości 1918–1928, Medalem Za Długoletnią Służbę (srebrnym i brązowym), Odznaką Honorową „Za Rany”, Odznaką Honorową „Gwiazdą Górnos Śląską”, Odznaką Pamiątkową Dziesięciolecia Policji Woj. Śląskiego (1922–1932), Odznaką Pamiątkową Dziesięciolecia Policji Górnego Śląska (1920–1930).

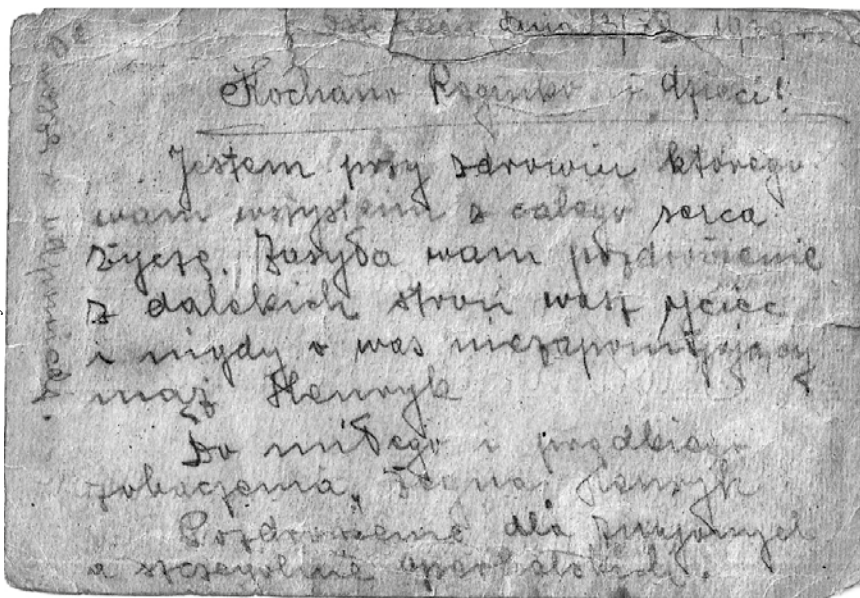
Decyzją prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego z dnia 5 października 2007 roku jako Ofiara Zbrodni Katyńskiej został awansowany do stopnia służbowego aspiranta Policji Państwowej. Na wniosek Zarządu Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Rodzina Policyjna 1939 r. z/s w Katowicach, 28 czerwca 2018 roku, podczas LVII sesji Rady Miasta Katowice, została przegłosowana jednogłośnie uchwała Nr DS-1290/18, dotycząca nadania imienia Henryka Szwana ulicy bocznej od ulicy Walerego Sławka na katowickim Osiedlu Wincentego Witosa. ■

fot. arch. P. Fiołek, G. Grześkowiak



Medal „Za Udział w Wojnie Obronnej 1939 roku” wraz z legitymacją

fot. arch. P. Fiołek, G. Grześkowiak



Karta pocztowa wysłana z Obozu Specjalnego NKWD w Ostaszku przez śp. Henryka Szwana do małżonki Reginy, do Katowic-Załęża, datowana 31 (?) grudnia 1939 r., rewers



Widok Bastionu św. Barbary z wieży Bazyliki (03.2004)



Wnętrze kazamatów w Bastionie św. Barbary (04.2004)

Decyzją z 22 czerwca 1382 książę Władysław Opolczyk sprowadził na swoje ziemie Ojców Paulinów spod węgierskiej Budy, by ostatecznie osiedlić ich na wzgórzu jasnogórskim dekretem z dnia 9 sierpnia tego samego roku. Dwa lata po ufundowaniu klasztoru powierzony im został pod opiekę przywieziony przez księcia z ziemi halickiej obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem.

W roku 1620 król Zygmunt III Waza, świadomy niebezpieczeństw mogących być następstwem zamieszek pomiędzy protestantami a katolikami w Rzeszy niemieckiej na spotkaniu z wysłannikami cesarza Ferdynanda II Habsburga – Karolem biskupem wrocławskim i hrabią Altheimem, podjął decyzję o ufortyfikowaniu Sanktuarium Jasnogórskiego, dając asumpt do nazwania go Twierdzą Maryjną – „Fortalium Marianum”. Autorem zakończonego w 1624 roku projektu był najprawdopodobniej wenecki inżynier wojskowy i artlerzysta Andrea dell’Aqua zaznajomiony z podobnymi włoskimi i holenderskimi rozwiązaniami. Prace budowlane prowadzone etapami zakończono w 1652 roku. Zrazu powstało założenie na planie prostokąta o wymiarach 130 m na 104 m, by ostatecznie osiągnąć wymiary 172 m na 187 m, z bastionami w narożach, otoczone fosą. To od tych czasów Jasna Góra była nie tylko Klasztorem Ojców Paulinów z Sanktuarium, celem pielgrzymek, miejscem kultu, ale stała się ufortyfikowaną twierdzą, w której przez stulecia stacjonował garnizon zawodowych wojskowych. Tak więc godziła niejako sprzeczne interesy miejsca otwartego na pielgrzymujących pątników i zamkniętej warowni obronnej w czasach wojny. Założenie przypominające „pałac w fortezza” stało się kluczowym w pasie umocnień pogranicza Małopolski i Śląska, a jego chrzest bojowy nastąpił w roku 1655 wraz z rozpoczęciem wojny ze Szwecją. Twierdza oparła się wtedy kilkukrotnym oblężeniom wojsk szwedzkich. Na przestrzeni wieków podlegała wielu przebudowom, rozbiórkom, remontom, z czego najbardziej znaczące, wpływające na dzisiejszy wygląd miały miejsce jeszcze w XVIII wieku.

Od lat budowanie na Jasnej Górze ma specyficzny charakter. Nowe inwestycje w obiekcie stanowiącym „Pomnik historii” polegają na „odzyskiwaniu” podziemnych przestrzeni w ramach istniejących murów, bez zmiany sylwetki klasztoru jasnogórskiego. Tak stało się na przykład w przypadku Sali Kordeckiego zaprojektowanej w latach 1992–1993 przez „Atelier 2” Konrada Kuczy-Kuczyńskiego, An-



fol. Marek Skwara

Wejście na Jasną Górę od strony Bramy Papieskiej, po prawej Bastion Św. Barbary (04.2004)

Bastion św. Barbary

MAREK SKWARA

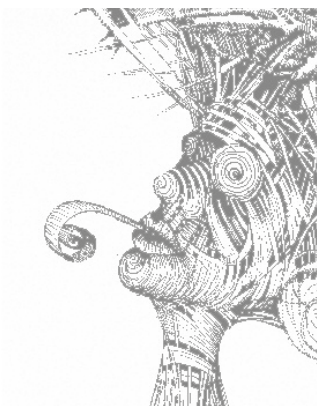
drzeja Miklaszewskiego i Piotra Kudelskiego sfinalizowanej w roku 2002, czy też muzealnej ekspozycji w Bastionie św. Rocha zrealizowanej w roku 2006 według projektu Jana Boguszewskiego i Stratosy Gafosa.

W roku 2004 za sprawą ojców paulinów i ks. Zdzisława Peszkowskiego, kapelana Rodzin Katyńskich powstała idea stworzenia Kaplicy Golgoty Wschodu na Jasnej Górze. Pierwszy pomysł zakładał ulokowanie jej w podziemiach jasnogórskiego Rawelinu, lecz jego podziemne komnaty okazały się za małe, a możliwości ich podziemnej ekstensji ograniczone i mocno dyskusyjne. Perygrynacje po fascynującym podziemnym świecie Klasztoru objawiły siłę innego fragmentu całego założenia. Powstały w XVII w. Bastion św. Barbary, który pamięta obronę Jasnej Góry przed Szwedami stanowiły mury z okolicznego wapienia kredowego „opakowujące” skalne wyniesienie, we fragmentach zasypane rumoszem skalnym, z pięciobocznym plateau okolonym murami z armatnimi otworami strzelniczymi. Tak uformowany bastion, zwany też od nazwiska hojnego fundatora Bastionem Lubomirskich został w toku następujących przebudów powiększony

i obudowany nowym, dochodzącym do kilkumetrowej grubości ceglany murem. Przestrzeń pomiędzy starym a nowym murem uformowano w rodzaj imponujących kazamatów z ceglany kolebkowym sklepieniem.

I tak zbudowana przestrzeń kazamatów, przypominająca magiczne „Więzienia wyobraźni” Giovanni Battisty Piranesiego (Carceri d’Invenzione – 1745–1761) zainspirowała projektantów z Atelier PS i decydentów do wybrania jej na lokację przyszłej kaplicy.

Do okalających kazamatów, ze względu na ich kształt i ograniczenia powierzchniowe należało dodać po analizie potencjalną przestrzeń wewnętrzną Bastionu, zdefiniowaną starymi murami, która jednak stanowiła tajemnicę. Wykonane georadarowe i termowizyjne badania sugerowały brak wewnętrznych komnat, komór czy korytarzy, które pojawiają się w innych bastionach Klasztoru. Przestrzeń ta w całości wypełniona była rodzimą skałą i rumoszem. Po wstępnych badaniach decyzja zapadła. Przyszła kaplica zajmie przestrzeń kazamatów, jak i podziemną, wydrążoną przestrzeń wewnętrzną Bastionu św. Barbary.



ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Z Wysoki, z Ciasny, z Wirku

W jednym z wywiadów prasowych Roman Polański wspomina: „To była wioska Wysoka w powiecie wadowickim (...) Twórcy filmu przeprowadzili znakomitą dokumentację. Zabrali nas też do tej mojej Wysokiej”. Miejscowości o nazwie *Wysoka* jest w Polsce kilkanaście i przy każdej z nich znajduję w internecie taką przymiotnikową postać dopełniacza – *Wysokiej*. Postać, wydawać by się mogło, oczywista – dodajmy. Ale czy naprawdę oczywista?

Przed paroma tygodniami jeden z moich wykładów z kultury języka poświęciłem nazwom miejscowym typu *Warszawa, Częstochowa, Limanowa, Kolbuszowa, Włoszczowa, Miłosna, Jabłonna, Wieszowa, Ciasna, Cisowa, Borowa*. Powiedziałem studentom, że polski system gramatyczny oferuje im dwa wzory odmiany – rzeczownikowy albo przymiotnikowy i tylko od panującego zwyczaju zależy, który z tych paradygmatów obowiązuje. Mamy więc z jednej strony formy (*do, z*) *Warszawy, Częstochowy, (w) Warszawie, Częstochowie* – jak *ławy, ławie* czy *zastawy, zastawie*, a z drugiej – (*do, z*) *Limanowej, Kolbuszowej, (w) Limanowej, Kolbuszowej* – jak *zdrowej, kolorowej, łatwej*.

Często bywa tak – kontynuowałem wywód, że nawet ewidentnie przymiotnikowa nazwa miejscowa, mająca często używany potoczny odpowiednik, odmienia się rzeczownikowo, by się w ten sposób odróżnić od deklinowania owego potocznego odpowiednika. Za przykład posłużyła mi *Ciasna* – nazwa miejscowości leżącej między Lublińcem a Olesnem Śląskim, rzeczywiście „ciasno ułożonej między rozlicznymi stawami”. Byłem już dorosłym człowiekiem, kiedy usłyszałem w pociągu, że tamtejsza ludność używa dopełniacza (*do, z*) *Ciasny*, a nie *Ciasnej* – jak mó-

wiliśmy w moich rodzinnych Tarnowskich Górach.

Usłyszawszy to, jedna z moich studentek poinformowała mnie i wszystkich słuchających wykładu, że koło jej rodzinnego Olesna znajduje się wieś *Wysoka* i jej mieszkańcy także traktują ją w odmianie rzeczownikowo, czyli tworzą brzmienia (*do, z*) *Wysoki, (w) Wysoce* – jak *zatoki, zatoce, Roztoki, Roztoce*. W parę dni później mieszkańcy jeszcze jednej miejscowości o nazwie *Wysoka* poinformowali mnie w telewizyjnym „Słowniku polsko@polskim” o takiej właśnie – rzeczownikowej – odmianie.

A zatem, raz jeszcze przywołując regułę gramatyczną mówiącą o dowolności wyboru bądź przymiotnikowego, bądź rzeczownikowego wzoru odmiany, powiedzmy podsumowująco, że pewnie większość miejscowości o nazwie *Wysoka* deklinowana jest przymiotnikowo, czyli (*do, z, w*) *Wysokiej*, ale wariantywny paradygmat rzeczownikowy – (*do, z*) *Wysoki, (w) Wysoce* – jest też bezdyskusyjnie dopuszczalny i poprawny.

O moich gramatycznych przygodach z *Ciasną* również niedawno temu opowiedziałem jednemu z jej mieszkańców, który mnie zagadnął na peronie tarnogórskim, gdy wracałem z Wrocławia. Mój sympatyczny rozmówca nie tylko potwierdził rzeczownikowy dopełniacz (*do, z*) *Ciasny*, ale stworzył cudowny pod względem historycznojęzykowym miejscownik (*w*) *Cieśnie*. Cudowny, bo podtrzymujący archaiczne, pierwotne brzmienie z samogłoską „e” przed miękkim „s”, wymieniającą się na „a” przed twardym „s” mianownika *Ciasna*.

Ale i w mianowniku naszego przymiotnika było kiedyś „e”: *ciesny* – jak *les, kwiet, gwiazda, leto*. Przed wiekiem XII tylko w języku polskim (stąd określenie tego procesu: przegłos polski) ta-

kie „e” zmieniło się w „a” przed spółgłoskami t, d, s, z, n, r, ł. To dlatego mamy dziś postaci *ciasny, las, kwiat, gwiazda, lato*. Przed miękkimi głoskami to prymarne „e” najczęściej się jednak utrzymuje: *cieśnina, w lesie, lesisty, leśnik, kwiecisty, kwiecień, kwietnik, gwieździe, w lecie, letni, letnik*. Do *cieśniny* możemy w tym momencie dołączyć miejscownikowe (*w*) *Cieśnie*, które mnie – historyka języka – tak zachwyciło na peronie dworca tarnogórskiego.

Kolejną kategorią gramatyczną, w której wybór jednej z dwu końcówek zależy wyłącznie od uzusu społecznego, czyli powszechnego zwyczaju, jest dopełniacz nazw miejscowych rodzaju męskiego. Z jednej strony mamy więc liczniejsze twory z końcówką „-a”, takie jak *Chorzowa, Radzionkowa, Chropaczowa, Rybnika, Radlina, Mikołowa, Kluczborka, Krakowa, Tarnowa, Gdańska, Szczecina, Parryża, Berlina*, ale z drugiej – również te z końcówką „-u”: *Szczyrku, Elku, Sremu, Białegostoku, Krasnegostawu, Zębu* (miejscowości rodzinna Kamila Stocha), *Chełmu Śląskiego* (o czym zawsze mi przypomina pochodząca stamtąd i tam mieszkająca prof. Helena Synowiec), *Madrytu, Londynu, Erfurtu, Dortmundu*.

Kiedy więc na rozpoczęcie galowego koncertu ostatniego XXX konkursu gwarowego „Po naszymu, czyli po śląsku” zaśpiewałem w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze pierwszą zwrotkę tytułowej piosenki z muzyką Grzegorza Spyry i słowami Marii Pańczyk, świadomie i z naciskiem posłużyłem się frazą „mama z Wirku”. *Z Wirku* – z końcówką „-u”, bo miałem wielu znajomych z tej miejscowości (dziś należącej do Rudy Śląskiej) i to oni mi dawno temu powiedzieli o takim tradycyjnym brzmieniu dopełniaczowym w jej odmianie. ■



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Madonny z katowickich ogrodów sztuki

W tej przestrzeni naszego miasta są różne jego części. W jednej z katowickich przestrzeni zajmowanych, użytkowanych, swoiście „uprawianych” przez muzyków, literatów, czy choćby malarzy, żyje i tworzy artysta, który dokonuje niezwyklej próby odwołania się do naszego kulturowego dziedzictwa, tego związanego z naszą wielowiekową wrażliwością duchową, religijną – tą, która zawiera się w kulcie maryjnym.

A ponieważ jest to zjawisko wyjątkowo bogate, więc zaowocowało w Polsce wieloma formami regionalnych, a nawet lokalnych przejawów wyobrażeń, przeżyć, wreszcie praktyk liturgicznych związanych z Matką Bożą. Rezultatem tego procesu są liczne Jej wizerunki. Jest więc przede wszystkim Czarna Madonna, a w naszym regionie Matka Boska Piekarska, w Małopolsce przykładowo wadowicka Matka Boża Nieustającej Pomocy, a na Warmii Matka Boża z Gierzwałdu, na Podhalu „Gaździna” z Ludźmierza. Czyli jak mówił poeta „Matka Boża wszędzie gdzie była, opromieniła ziemię swą łaską”.

Właśnie ten bogaty kult oraz bogactwo wizerunków Marii i bezpośrednio odejście Jana Pawła II zadecydowało o podjęciu przez Franciszka Kafla przedsięwzięcia niezwyklej. I to zarówno w sensie artystycznym, jak i kulturowym. Ale także duchowym, religijnym i intelektualnym. Oto od momentu śmierci św. Jana Pawła II jeździ on po Polsce i dokumentuje, artystycznie definiuje zastane dzieła z wizerunkiem Matki Bożej, zrodzone często w bardzo odległej przeszłości. Następuje oto spotkanie człowieka współczesnego, artysty z Madonnami malowanymi w czasach minionych. Przed-

stawiciel doby współczesnej, wyposażony we własne, odmienne od owych historycznych: kompetencje, doświadczenia, przeżycia, fascynacje i rozterki komunikuje się z ekspresjami z przeszłości.

Słów zatem kilka o samym artyście. Urodził się w 1954 roku w miejscowości leżącej w pobliżu Tropia. Czyli miejsca niezwyklej, symbolicznego dla polskiej kultury i tradycji. To miejscowość pobytu i działalności pustelnika św. Świerada, żyjącego tutaj na przełomie X/XI w., ale i późniejszych wizyt – podówczas jeszcze biskupa krakowskiego – Karola Wojtyły. Miejscowość, która kształtowała wyobraźnię artysty, gdzie był – co podkreśla – ochrzczony. A niedaleko, bo w Tarnowie, uczęszczał do Liceum Plastycznego. Natomiast studia plastyczne odbył w latach 1975–1980 na katowickim Wydziale Grafiki krakowskiej ASP. Wyraźnie też mówi o sobie, że jest grafikiem z wykształcenia, ale z wyboru malarzem. Wszak jest uczniem i Tadeusza Grabowskiego, i Andrzeja Kowalskiego. A dodajmy, że jego mistrzem w zakresie litografii był Stanisław Gawron. Jego dzieciństwo i lata późniejsze to urokliwe, barwne i urzekające bujnością przyrody przestrzenie Małopolski. Tam też do niedawna spotkać można było chaty niczym z opisów Oskara Kolberga. Natomiast lata późniejsze to zindustrializowane, zgeometryzowane – niczym w obrazach niedawno zmarłego Romana Nowotarskiego – przestrzenie górnośląskie. I tam, i tu panuje jednak szczególnie Duch poszanowania dla tradycji – pewien typ religijności. A stosunek artysty do przeszłości, do wiary, do kultu maryjnego, to już cały bogaty zestaw nierozpoznanych jeszcze czynników.

Wreszcie jest u artysty ogromny szacunek do Jana Pawła II. Śmierć papieża – powtórzmy – była początkiem nowego nurtu w twórczości artysty. A składa się on już z ponad 50 obrazów. Oto bowiem artysta, jeżdżąc i spotykając się z różnymi wizerunkami Matki Bożej, nawiązuje z nimi szczególny rodzaj kontaktu. Owe dawne wyobrażenia są dla niego pretekstem do nowego spojrzenia, które demonstruje w postaci całkowicie nowych, własnych obrazów, w szczególnie sposób inspirowanych tymi dawnymi. Tak więc te dawne ujęcia motywują artystę do podjęcia próby nowego, związanego z własną wyobraźnią spojrzenia na ich pierwotne formy. Niezmienna jest tylko dla artysty postać Matki Bożej.

W takim oglądzie świata odwołuje się do Tego, którego zawołaniem było: „Totus Tuus”. Na swoich obrazach umieszcza więc cytaty z homilii papieża. I tak oto na obrazie Matki Bożej z Chełma Lubelskiego podaje jego słowa wygłoszone w Seulu z 1984 roku, a w tym między innymi: „Dopomóż nam przewycięzać zwątpienie – wiarą, egoizm – służbą, dumę – pokorą, nienawiść – miłością”.

A na obrazie madonny z Mysłowic słowa z Legnicy z 1997 roku, „... Naucz nas tworzenia takiej kultury i cywilizacji, która (...) służyłaby człowiekowi”. No i jeszcze kopia obrazu Matki z Gierzwałdu ze słowami z grudnia 2013 roku: „Matko (...) wyproś dla nas ludzi trzeciego tysiąclecia cenny dar pokoju; pokoju w sercach i w rodzinach...”. Warto zastanowić się nad tym nurtem w bogatej gamie twórczości artysty. Nie tylko w 100-lecie urodzin „polskiego papieża”. A może właśnie z tego powodu. ■

Pomysł stworzenia portalu muzycznego ORFEO zrodził się latem 2019 roku dzięki panu Zbigniewowi Napierale, wieloletniemu przyjacielowi Bogusława Kaczyńskiego. Regularne spotkania w Fundacji, w gronie ludzi wrażliwych na piękno, a także niezwykle kompetentnych dziennikarzy sprawiły, że po paru miesiącach wyteżonej pracy już dziś możemy pokazać Państwu portal orfeo.com.pl. Nasza działalność jest zupełnie niekomercyjna i w sytuacji, kiedy nasz świat coraz bardziej opanowuje kultura masowa i czasem plebejska, tego rodzaju inicjatywa może wydawać się absurdalna, tym bardziej, że jest realizowana z pasji i bez zewnętrznego wsparcia. Ale pamiętamy o tym, że kultura może uratować świat przed samounicestwieniem. Te słowa brzmią wyjątkowo w obliczu pandemii. Kultura w szerokim pojęciu tego słowa to przecież zarówno wiedza, jak i sztuka, wiara, moralność i obyczaje, to nasze dziedzictwo. A czy możemy sobie wyobrazić świat bez muzyki? Nie, to niemożliwe. Dlatego portal ORFEO promuje tę dziedzinę ludzkiej twórczości.

Publikujemy w ramach cyklu „**Muzyka moja miłość**” wywiady z gwiazdami opery, operetki i musicalu, artystami baletu, znanymi i rozpoczynającymi karierę muzykami, a także menedżerami, dzięki którym kultura wysoka ma swoje godne miejsce mimo wielu niesprzyjających wiatrów. Mogą już Państwo oglądać moje programy audiowizualne z: kompozytorem i dyrygentem Rafałem Janiakiem, kontratenorem Michałem Sławeckim i gwiazdą operetki Małgorzatą Długosz. W najbliższym czasie opowiadać będą o swojej karierze: choreograf i reżyser mieszkający w Katowicach Henryk Konwiński oraz dyrektor NOSPR w Katowicach Ewa Bogusz-Moore.

Będziemy informować o tym, co ważnego dzieje się w naszym kraju w zakresie festiwalu muzycznych, premier spektakli, koncertów, konkursów, wydarzeń z kręgu opery, musicalu, jazzu i tak zwanej muzyki poważnej, chociaż to określenie nie jest najlepsze. Mamy tu również **opinie i recenzje, relacje, a także blog naszych przyjaciół, repertuar polskich teatrów operowych i muzycznych, dział ciekawostek i filmy zza kulis**. Publikujemy nagrania wideo za pośrednictwem ORFEO.TV (koncerty i wywiady będą dostępne na naszym portalu i na kanale YouTube). W dziale „**Teatr Wielki – Opera Narodowa przedstawia**” znajdą Państwo wiele interesujących artykułów, zdjęć i materiałów audiowizualnych, a w „**Niezbędniku melomana**” można będzie zapoznać się z artykułami, które mogą stać się pewnym drogowskazem. W dziale **Fundacja** poznają Państwo ciekawostki i anegdoty z życia i działalności Bogusława Kaczyńskiego oraz wielu gwiazd, z którymi był związany. Natomiast w sekcji „**Scena ORFEO**” informować będziemy o wydarzeniach organizowanych przez nas w różnych miastach – koncertach, galach, festiwalach, spektaklach i spotkaniach artystycznych. W dziale „**Polecamy**” będziemy prezentować recenzje, ważne naszym zdaniem wydarzenia, książki czy płyty.



Krzysztof Korwin-Piotrowski, Michał Sławcki

for. arch.

ORFEO, czyli Twój nowy portal muzyczny

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Nazwa Orfeo jest związana z Orfeuszem, o którym pięknie napisała w swojej książce „Mitologia grecka i rzymska” prof. Katarzyna Marciniak, prodiżekan Wydziału „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego, znawczyni kultury antycznej: „Nazywany ojcem pieśni, uchodzi za pierwszego poetę i śpiewaka na świecie. [...] Antyczne źródła ukazują nam Orfeusza jako samotnika, bez reszty oddanego muzyce. [...] Całymi dniami przesiadywał nad rzeką, pogrążony w świecie cudownych dźwięków”. Nagle jednak zakochał się w pięknej Eurydyce. Gdy zmarła, ukąszona przez żmiję, Orfeusz udał się ze swoją lirą do Królestwa Umarłych, aby ją stamtąd wydostać. Chociaż swoim pięknym głosem i cudowną muzyką oczarował Charona, Cerbera i Erynie, to jednak nie udało mu się odzyskać ukochanej.

Czy my, miłośnicy śpiewu i wspaniałych melodii nie jesteśmy czasem jak Orfeusz? Czy zdarza się nam zapomnieć o zwykłym, szarym świecie, unosząc się dzięki emocjom i wyobraźni w krainę marzeń? Realny świat przynosi nam wiele radości, ale także sporo cierpienia. Czy muzy-

ka może nam dać ukojenie? Nasz Patron Bogusław Kaczyński powiedział w jednym z wywiadów telewizyjnych: „Moim pragnieniem jest oczarować jak najszerze rzesze ludzi czarem sztuki. [...] w naszej rzeczywistości, która niesie tyle rozczarowań, tyle klęsk, tyle trosk, tyle smutku i tyle łez, sztuka jest jedynym wybawieniem, jest takim katharsis. Dzięki sztuce naprawdę warto żyć”. A skoro muzyka jest sztuką, to pozwólcmy się w niej zanurzyć i upajać się jej pięknem, posłuchajmy razem artystów śpiewających i grających, ale także mówiących z pasją o drodze swojej kariery. A udaje się realizować ten projekt dzięki wspaniałym osobom: pomysłodawcy Prezesowi Zbigniewowi Napierale, autorce koncepcji Agnieszce Lesiak, grafikowi Arturowi Matulańcowi, wykonawcy strony Piotrowi Blachowskiemu, operatorowi kamery i montażystce Jackowi Krajewskiemu, a także Annie Habrewicz, dyrektor Fundacji ORFEO i Ewie Titow, sekretarzowi redakcji ORFEO, którym dziękuję za pełen zaangażowania udział we wszystkich pracach związanych z powstaniem portalu. Do zobaczenia na orfeo.com.pl. ■

Twórcza ciekawość Eweliny B.

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



fol. arch.

Ewelina Bachul

Lubię wszechstronność, nie lubię specjalizacji. Lubię ciekawość, nie lubię jej braku – samozadowolenia. To ostatnie, jak wykazał Hesse w *Grze szklanych paciorków*, prowadzi do skostnienia, a to – do atrofii wrażliwości tu ograniczonej przez z góry narzucone zasady postępowania. Dlaczego robić ciągle to samo? Jaki tego cel? Czy nie lepiej pójść cokolwiek dalej, poszukać czegoś, nie wiedząc nawet czego, przeczuwając ledwie tego czegoś obecność? A może poszukać świadomie, krocząc pewnym tropem, wiedząc w którym kierunku, nie wiedząc jednak, co znajdziemy na końcu? Jak spacer po pachnącym górskim lesie w piękny dzień – jest tak cudownie, że wszystko nam jedno czy się zgubimy, czy nie.

Typowy przykład: słynne (dzisiaj już chyba można tak ten utwór określić) *Studium w diagramie* Bogusława Schaeffera, powstałe w 1955, prawykonane dopiero dwadzieścia lat później, co też o czymś świadczy. Pierwsza w muzyce partytura beznutowa. W tej krótkiej kompozycji Schaeffer zastąpił tradycyjną notację, która warunkuje kondycję muzyki „na zawsze”, siatką zapisanych literowo i cyfrowo komórek, grup, motywów: to ich interwałowa budowa – a nie ściśle zanotowane wysokości dźwięków i określone rytmy! – determinuje zawartości muzyki; autor określa jakie interwały (odległości między dźwiękami), i w jakim kierunku, należy grać, zaś wykonawca kierowuje w oparciu o zasady zaproponowane przez autora. W efekcie uzyskał Schaeffer muzykę, która z morfologicznego punktu widzenia jest zawsze ta sama (jej struktura interwałowa pozostaje niezmienna), ale zmieniają się wysokości dźwięków, zmieniają się płynnie zachodzące na siebie rytmy, zmieniają się też, co niebłaha, wypadkowa faktura oraz ekspresja. Mamy tu do czynienia z muzyką tysięcy wersji, muzyką „nieskończoną” w tym sensie, w jakim „nieskończony” jest standard, który jazzmani biorą na warsztat i na podstawie istniejącego tematu budują muzykę – zawsze inną, zawsze, tak, nową; powstającą z oryginalnego zarodka, lecz ciągle inaczej rozwijającego się.

To, co napisałem nie świadczy o tym, że Schaeffer odnalazł jakiegoś Świętego Graala muzyki. *Studium w diagramie* to

zaledwie jedna ze sposobności pojmowania i spełniania procesu kompozytorskiego. Napisał on potem kilka setek innych utworów, a *Studium...*, choć niewątpliwie otwiera przed muzyką nowe, interesujące alternatywne perspektywy kreatywno-realizacyjne, jest po prostu jednym z nich; Schaeffer był dociekliwie ciekawy – i dlatego ten utwór powstał!

Fantazji i nieortodoksyjnego myślenia spodziewam się nie tylko od kompozytorów, ale także wykonawców, nawet tych, którzy Nowej Muzyki nie grają. Czemu zamęczać wyłącznie Chopina? Inni robią to lepiej. Czemu nie dorzucić do programu koncertu kilku utworów, które pozostawił po sobie Franciszek Lessel? Mniej atrakcyjne? Mniej przekonujące? Może, ale przy tych wszystkich ograniczeniach mają one swoisty urok i klasę. Przecież ktoś, kogo Haydn zaakceptował jako ucznia, nie mógł być kompletnym muzycznym durniem – a Lessel faktycznie durniem nie był. To, co robił – robił pewną ręką i dlatego warto tę twórczość kulturywować. *Pourquoi pas?*

I właśnie to *Pourquoi pas?* wydaje się przewodnią ideą artystki, której wybrany instrument jak gdyby implikuje zachowawczość i jednostronność. Instrument ten to naturalnie organy z całym ich barokowym, pachelbelowsko-bachowskim balastem, zaś artystka to Ewelina Bachul, osobowość silna, z której rozwojem należy wiązać duże nadzieje, na pewno w pokaźnej części już spełnione.

Jeszcze w 2012 Ewelina otrzymała stypendium Ministra Kultury za osiągnięcia, wśród których nie zabrakło nagród na konkursach organowych m.in. w Sankt-Petersburgu, Białymstoku, Bielsku-Białej, Krakowie i Warszawie.

W 2013 ukończyła Diecezjalną Szkołę Organistowską w Bielsku-Białej w klasie Urszuli Jasiockiej-Bury. (Po latach powróciła do tej zasłużonej placówki – jako profesorka organów.) W tymże 2013 ukończyła studia w zakresie edukacji artystycznej w cieszyńskim wydziale Uniwersytetu Śląskiego. Studia magisterskie podjęła w katowickiej Akademii Muzycznej w klasie organów profesora Juliana Gembalskiego. To z inspiracji tego legendarnego wirtuoza i pedagoga, i pod jego kierunkiem, napisała, i w maju 2018 obroniła pracę magisterską na temat organowej muzyki

kameralnej kompozytorek i kompozytorów śląskich. Organy kojarzymy zwykle z repertuarem solowym. Okazuje się, iż pokaźny jest też katalog kompozycji organowych z udziałem innych instrumentów, nie tylko trąbki (w okresie Baroku popularne były takie duety), lecz i skrzypiec, fletu, saksofonu, głosu czy elektroniki. Ku temu to repertuarowi zwróciła Ewelina swą badawczą energię – z bardzo dobrym skutkiem. Miałem przyjemność przeczytać tę pracę i od razu zasugerowałem autorce rozszerzenie jej do rozmiarów książki, bo i temat unikalny, i repertuar atrakcyjny, a naszym obowiązkiem, oprócz komponowania i grania, są edukacja i popularyzacja – na wszelkie sposoby. Albowiem nie wystarczy komponować i grać, trzeba ponadto pracować w zakresach wychodzących poza salę koncertową. Mądre pisanie o muzyce jeszcze nikomu nie zaszkodziło, a mnóstwu ludzi, w tym samym muzykom, pomogło wypłynąć na szersze wody.

Ewelina dzieli swój czas między nauczanie i działalność koncertową. Z jej biogramu wynika, że zajmują ją szczególnie muzyka późnoromantyczna i współczesna. Zgoda, niemniej trzeba dodać, iż porusza się ona ze swobodą na gruncie wszystkich liczących się periodycznych odmian organowego repertuaru. Dzieła Jana Sebastiana gra z łatwością techniki i zastanawiająco nieskrępowaną dojrzałością. Utwory wczesnoromantyczne, np. Sonaty organowe, op. 65 Mendelssohna-Bartholdy'ego, wykonuje z fenomenalnym wyczuciem ich idiomatyki. W kompozycjach Maxa Regera (to już ten późny romantyzm) Ewelina czuje się rzeczywiście jak ryba w wodzie, zaś jej interpretacje Nowej Muzyki, np. poruszających dzieł Wiesława Cieciały, którego muzyce organowej poświęciła swą pierwszą płytę, dosłownie zapierają dech w piersiach.

Oto piękne efekty iście twórczej ciekawości połączonej z interpretacyjnym geniuszem.

Tylko nieliczni chyba wiedzą, że Czechowice-Dziedzice, 35-tysięczne miasto na Śląsku Cieszyńskim, może się poszczycić nie lada atrakcją turystyczną. Przechodzi tamtędy 19. południk długości geograficznej wschodniej, dzielący Polskę na dwie równe części. Przebiega on dokładnie przez środek barokowego pałacu Kotulińskich z XVIII wieku, arystokratycznej rezydencji wzniesionej we wsi Czechowice Górne, stanowiącej obecnie część miasta.

Niezwykle położenie na mapie Polski jest – jak można ocenić – geograficznym atutem miejscowości, o czym nie wiedzą jednak turyści i poszukiwacze ciekawych miejsc na terenie naszego kraju. A szkoda, bo Czechowice-Dziedzice to naprawdę nie tylko ośrodek przemysłowy, słynący z wiekowej rafinerii ropy naftowej, ale również miasto o bogatej, a zarazem bardzo powikłanej historii, ze współczesnymi i oryginalnymi wizytówkami artystycznymi. Warto odnotować, że pod swoją obecną nazwą istnieje ono dopiero od listopada 1958 roku.

Od Piastów do Habsburgów

Wcześniej znajdowały się tam trzy wsie: Czechowice, Dziedzice i Żebracz. Ich nazwy można odnaleźć w XV-wiecznych źródłach historycznych. Ziemię dzisiejszego miasta były terenami przygranicznymi. Przepływająca tamtędy Biała (dopływ górnej Wisły) stanowiła bowiem granicę państwową między terytorium czeskiej Korony św. Wacława, a Królestwem Polskim (1456–1772). Po pierwszym rozbiórze Polski rzeka ta stała się wewnętrzną granicą monarchii Habsburgów, oddzielającą Galicję od Śląska Austriackiego. Podobnie zresztą jak Wisła, która na sporym dystansie była w latach 1742–1918 prusko-austriacką granicą państwową. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej Czechowice (wraz ze swoim przysiółkiem Żebracz) oraz Dziedzice znalazły się w granicach niepodległej RP.

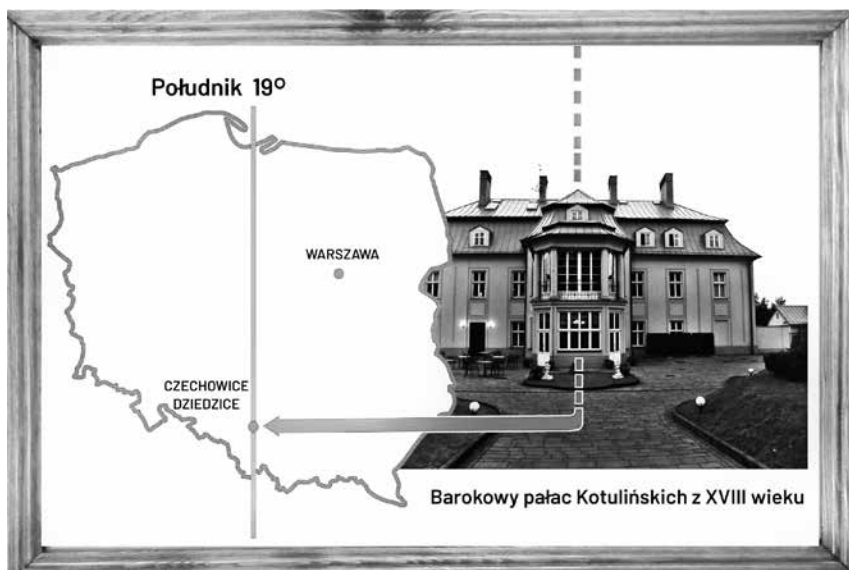
fot. Edyta Zawila



Jacek Cwetler

Barokowy południk czechowicki

ZBIGNIEW LUBOWSKI



Południk czechowicki. Oprac. Tomasz Janowski

– Obie miejscowości wróciły do Polski po prawie 600-letniej nieobecności na mapie naszego kraju – wyjaśnia historyk i archiwista **Jacek Cwetler**, kustosz miejscowej Izby Regionalnej.

– Epoka piastowska w lokalnej historii zakończyła się w 1653 roku, o czym warto uporczywie przypominać nie tylko mieszkańcom Śląska Cieszyńskiego – podkreśla znawca dziejów Czechowic-Dziedzic, będący zarazem jednym z aktualnych radnych miejskich.

Kolejowa lekcja historii

Spacer po mieście w towarzystwie takiego przewodnika to interesująca lekcja historii. W Czechowicach-Dziedzicach nie brakuje licznych śladów przeszłości. Wyjątkowo stary jest – dla przykładu – budynek głównego dworca kolejowego. Został on oddany do użytku pod koniec 1855 roku. Był to wówczas dworzec w Dziedzicach, największy kubaturowo budynek kolejowy na obszarze Śląska Cieszyńskiego. Przyjeżdżały tam



Dworzec kolejowy

fot. Zbigniew Lubowski

pociągi z Wiednia przez Bohumin, a także ze Lwowa i Krakowa oraz z Berlina. Obiekt leżał na trasie Uprzywilejowanej Północnej Kolei Cesarza Ferdynanda.

Dworzec był niemy świadkiem pobytu znanych monarchów, polityków i wojskowych. Tłumnie zgromadzeni mieszkańcy Czechowic, Dziedzic i okolicznych miejscowości witali owacyjnie w tym miejscu m.in. cesarza austriackiego **Franza Josepha I Habsburga** (1880), cesarza niemieckiego **Wilhelma II** (1917), marszałka Francji, Wielkiej Brytanii i Polski, **Ferdynanda Focha** (1923), prezydentów RP, **Stanisława Wojciechowskiego** (1923) i **Ignacego Mościckiego** (1927), a także marszałka **Józefa Piłsudskiego** (1927).

W późniejszej epoce dworzec odegrał inną ważną rolę w życiu miasta i kraju. W latach 1945–1947 przewinęło się przez ten ponad pół miliona repatriantów, wracających do Polski ze wschodnich kresów dawnej Rzeczypospolitej. Właśnie w Dziedzicach utworzono w tamtym okresie kolejowy węzeł przesiadkowy (punkt etapowy) dla rodaków poszukujących dla siebie nowych miejsc egzystencji.

Liczący sobie prawie 165 lat archaiczny – na obecne czasy – dworzec jest bardzo zaniedbany. Znajduje się w opłakanym stanie technicznym. Rewitalizacja obiektu leży jednak w wyłącznej gestii PKP. W zeszłym roku ogłoszono przetarg na wyłonienie firmy, która ma opracować projekt gruntownej renowacji czechowickiego dworca. Do udziału w tej rywalizacji przystąpiło 12 różnych podmiotów gospodarczych, nie tylko lokalnych.

Czechowiccy samorządowcy mają nadzieję, że roboty remontowo-modernizacyjne w obrębie dworca ruszą najpóźniej w przyszłym roku. Niektórzy nawet za-

kładają dość optymistycznie, że do końca 2023 roku obiekt zyska zupełnie nowe oblicze. Jedną z części odrestaurowanego i efekownego kompleksu dworcowego ma być budynek Muzeum Czechowic-Dziedzic, którego dotąd nigdy nie było w mieście. Czy taki scenariusz zostanie z powodzeniem zrealizowany? Dziś nie wiadomo. Życie jest przecież pełne niespodzianek...

Nie przetrwały próby czasu

Los spletał w przeszłości już sporo niespodziewanych figli mieszkańcom Czechowic i Dziedzic. Wiele dawnych firm i przedsiębiorstw przemysłowych, które świetnie prosperowały u schyłku XIX wieku, a także i potem w XX stuleciu, trafiło później na śmietnik lokalnej historii gospodarczej. Nie istnieją już dziś m.in.: fabryka mydła i świec bielskiego fabrykanta Rotha (utworzona w 1900 roku), tzw. „śledziownia” – przetwórnia ryb morskich „Nordia Have” (1911), wytwórnia wódek i likierów Leona Krzysztoforowskiego (1920) oraz fabryka fajek i cygarniczek (1928). Można przypuszczać, że wymienione w nawiasach daty powstania lokalnych firm mogą okazać się nawet dla wielu rodowitych czechowiczów dużym zaskoczeniem.

Działała tam również niegdyś wytwórnia wody kolońskiej marki 4711 (EAU DE COLOGNE 4711), perfum i mydła perfumowanego Zygryda Bochnera. Była to filia istniejącej do dziś fabryki z Kolonii w Niemczech. Słynna fabryka Bochnera wytwarzała m.in. perfumy Tosca i szampon oraz wodę do włosów Portugal.

– Legendarny budynek mieścił się przy ul. Kolejowej, a do fabryki wchodziło się od ul. Słowackiego – informują z drobiazgową dokładnością społecznicy z Towarzystwa Przyjaciół Czechowic-Dzie-

dzic, które w zeszłym roku obchodziło notabene swoje 60. urodziny.

Pomniki z różnych lat

W całym mieście znajduje się sporo różnych pomników, obelisków i miejsc pamięci narodowej. Dokładny wykaz takich monumentów liczy aż 34 pozycje, co w 35-tysięcznej miejscowości wydaje się imponującą kolekcją. Na szczególną uwagę zasługuje bez wątpienia Pomnik Wolności. W swojej pierwotnej postaci istniał on w latach 1924–1939 na Placu Wolności przed głównym dworcem kolejowym (na terenie miasta znajdują się trzy różne stacje PKP).

Był to wzniesiony ze składek społeczeństwa pomnik czynu legionowego z lat 1914–1918. Napis na obelisku głosił: NIE RZUCIM ZIEMI, SKĄD NASZ RÓD. Stanowił on dzieło rzeźbiarza Jana Raszki, wybitnego twórcy, związanego blisko z patriotycznym środowiskiem legionistów marszałka Józefa Piłsudskiego. W pierwszych dniach II wojny światowej pomnik został wysadzony w powietrze przez hitlerowskich żołnierzy.

U schyłku XX wieku na chodniku w sąsiedztwie miejsca, w którym stał monument, utworzono kompozycję plastyczną w postaci naturalnego cienia dawnego obelisku. Obok pojawiła się kamienna tablica memorialna z informacjami o unicestwionym obiekcie. A w 2018 roku, w przeddzień 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, odsłonięto w innym miejscu nowy obelisk nazwany Pomnikiem Wolności, dokumentującym ponownie patriotyczny wysiłek legionistów Piłsudskiego. Statua znajduje się na skwerze przy ul. Niepodległości, w bezpośrednim sąsiedztwie budynku Komisariatu Policji.

W tej samej części miasta usytuowano na innym skwerze kamienny pomnik

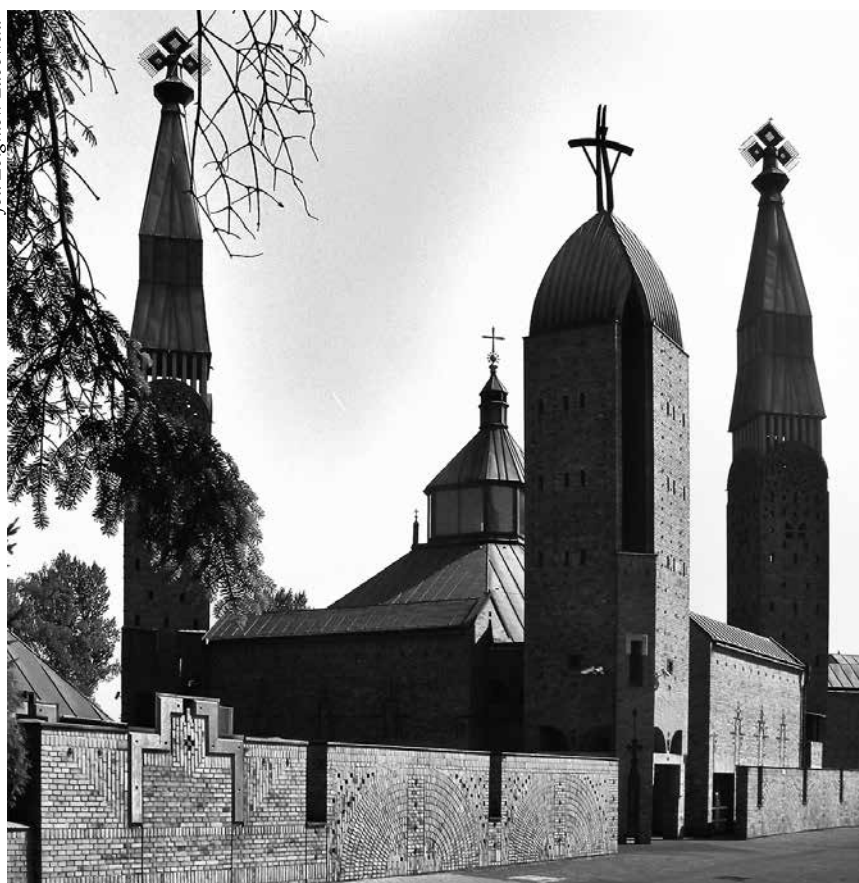


Cień przedwojennego obelisku na chodniku



Nowy Pomnik Wolności

for. Zbigniew Lubowski



Nowy kościół w Czechowicach

ofiar dramatycznego pożaru czechowickiej rafinerii ropy naftowej sprzed prawie pół wieku. Nocne uderzenie pioruna w tzw. kominiek oddechowy jednego ze zbiorników ropy doprowadziło pod koniec czerwca 1971 roku do gigantycznego pożaru całej rafinerii.

Słup ognia unosił się na wysokość 40 metrów. W kilkudniowej akcji gaśniczej wzięło udział 2610 strażaków z Polski i Czechosłowacji. Zginęło w sumie 37 osób. Cmentarna mogiła strażaków, którzy walczyli z pożarem, narażając własne życie, jest poruszającym świadectwem tamtej tragedii.

W mieście bywało niekiedy bardzo gorąco, ale zdarzały się też i okresy lodowatego chłodu. W miejscowych kronikach zachowały się np. opisy szczególnie srożej zimy w 1929 roku. W pierwszych dniach lutego temperatura na dworze sięgała nawet 40°C poniżej zera. Skrupulatnie zanotowano, że „ks. proboszczowi Karolowi Frankowi w dniu 11 lutego na mszy świętej o godz. 7 rano zamarzło wino w kielichu, a zapowiadany wcześniej strajk w kopalni SILESIA nie doszedł do skutku z powodu mrozu”. Takie relacje kronikarskie wydają się dziś

kompletnie zaskakujące w dobie ocieplenia klimatu i bezśnieżnych zim.

Architekt nieszablony

Twórcze piętno na architektonicznym wyglądzie współczesnego miasta odcisnął Stanisław Niemczyk (1943–2019), śląski architekt urodzony w Czechowicach-Dziedzicach, a nazywany niejednokrotnie „polskim Gaudim”. Dał się on poznać jako twórca oryginalnych obiektów architektury sakralnej. Jego dziełem był opracowany we współpracy z Anną Niemczyk-Wojtecką i Robertem Wojteckim projekt budynku czechowickiego kościoła katolickiego pw. Jezusa Chrystusa Odkupiciela. Niekonwencjonalny obiekt, nasuwający pewne skojarzenia wizualne z meczetem, został uhonorowany nagrodą marszałka województwa śląskiego i katowickiego oddziału Stowarzyszenia Architektów Polskich za „najlepiej zagospodarowaną przestrzeń publiczną w województwie w 1998 roku”.

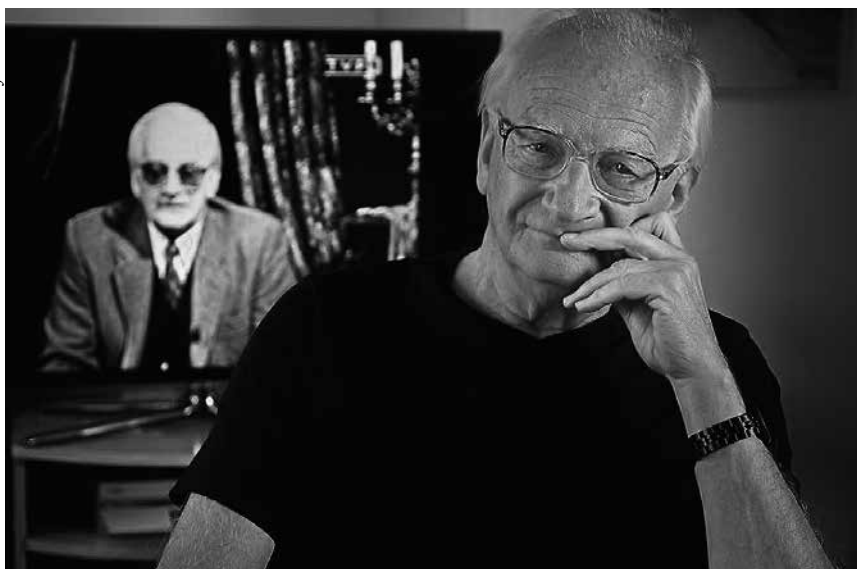
Kamienie i zapalki

W różnych punktach miasta można natknąć się na niezwykle kamienie. Są to m.in. głazy miłowe z czasów monarchii austro-węgierskiej, z zaznaczonymi na nich odległościami do Wiednia. Zachowały się też kilkusetletnie słupy graniczne z XVIII stu-



Mogiła ofiar pożaru rafinerii, fot. Zbigniew Lubowski





Stanisław Janicki

lecia. Wyznaczały one granice między osadami (dawnymi wsiami), które dały początek dzisiejszemu organizmowi miejskiemu.

Chlubą śląskiego „miasta z zapalem” (obowiązuje od 10 lat hasło wizerunkowe czechowickiego samorządu) jest zapalkownia. Popularna fabryka zapalek to jeden z najstarszych zakładów przemysłowych w mieście. Znawcy rynku przekonują, że „ogniste patyczki” z Czechowic-Dziedzic (używając starego chińskiego określenia) cieszą się dobrą opinią wśród odbiorców z wielu krajów.

Zapalkownia ze Śląska Cieszyńskiego jest dziś jedyną w Polsce fabryką tego typu. Pozostałe wytwórnie zapalek w Bystrzycy Kłodzkiej, Częstochowie i Sianowie k. Koszalina (znacznie starsze od fabryki czechowickiej) zostały zlikwidowane w XXI wieku. W przyszłym roku przypadnie setna rocznica uruchomienia w mieście produkcji zapalek. Z tej okazji nie obejdzie się zapewne bez widowiskowych fajerwerków.

Niestrudzony popularyzator starego kina

Przechadzka po przemysłowej dzielnicy rozciągającej się wokół czechowickiej rafinerii (niegdyś – Vacuum Oil Company) dostarcza również intrygujących obserwacji. Ta część miasta powstała na przełomie XIX i XX stulecia. Amerykanin John Rockefeller, jeden z najbogatszych ludzi świata, wybudował wtedy – jedyną na ziemiach polskich – rafinerię należącą do jego międzynarodowego imperium naftowego z główną siedzibą w Teksasie (USA). Dla potrzeb zakładu wzniesiono kompleks budynków mieszkalnych, przeznaczonych dla inżynierów,

pracowników i urzędników zatrudnionych w rafinerii.

Usytuowany w tym kompleksie dom przy ul. Łukasiewicza 2 spełnił w ubiegłym stuleciu ciekawą rolę w dziejach miasta. W mieszkaniu na drugim piętrze tej historycznej kamienicy przyszedł na świat 11 listopada 1933 (w piętnastym roku niepodległości przedwojennej Polski) Stanisław Janicki, późniejszy dziennikarz i krytyk filmowy, a zarazem ceniony historyk kina. Warto dodać, że jego ojciec pracował w tamtym okresie w Vacuum Oil Company.

Spółcznicy z Towarzystwa Przyjaciół Czechowic-Dziedzic podkreślają z dumą, że Janicki, mieszkający, co prawda, od lat w pobliskim Bielsku-Białej, nigdy nie zapomniał o swoich czechowickich korzeniach. Popularnego dziennikarza występującego przed kamerami zawsze w charakterystycznych ciemnych okularach znają chyba doskonale miłośnicy starych filmów fabu-



larnych z okresu przedwojennej Polski. W latach 1967–1999 Janicki był przecież ich niestrudżonym popularyzatorem. Przeszedł do historii TVP jako autor cyklicznego programu telewizyjnego „W starym kinie” (najdłużej nadawany magazyn filmowy w dziejach telewizji).

Podobnych osób ze sfery szeroko pojętej kultury i sztuki było w dziejach miasta znacznie więcej, a każda z nich (śpiewak operowy **Piotr Beczała**, kompozytor i wykładowca akademicki prof. **Józef Świder**, aktorka **Teresa Budzisz-Krzyżanowska**, piosenkarka i kompozytorka **Renata Danel** czy wreszcie piosenkarz **Jacek Stachurski**) przyczyniła się w niemałym stopniu do rozślawienia Czechowic-Dziedzic jako miasta żywej kultury. Jej trwałym komponentem od 15 lat wydaje się być także amatorski Czechowicki Teatr Muzyczny MOVIMENTO, funkcjonujący z niezłymi rezultatami w organizacyjnej strukturze Miejskiego Domu Kultury. ■



Kamień sprzed 300 lat

SZYFRY WYJŚĆ

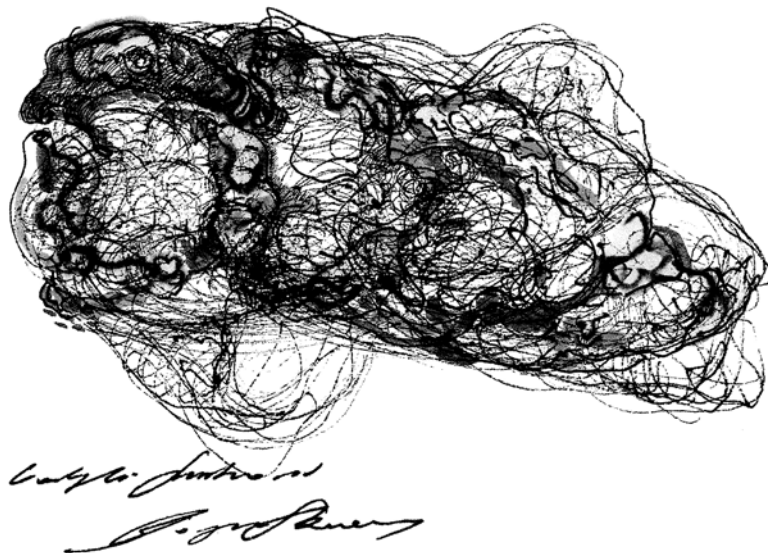
Szyfry danej wersji zatopione są w ile rozeschniętej jej treści o przejściu na martwy Tor dalszego wystawiania cienia, kiedy jednakowoż nikogo tu już nie ma, poza Tą ramą zbitą z żerdzi. Przechodzisz przez tę jamę niewykrywającą żadnych już Płynnych oznak metali śrubujących przechyl w ułamkowo swobodniejszy stan. Niezatrzymywalne, skancerowane teraz. Błotniste roztopy są cugłem. Rozkurcz Szramy w pojemniku zapadłej dali, gdy wchodziłeś w szpitalny zakręt korytarza, On jechał trzydzieści lat wcześniej na operacyjnym stole w swoje późniejsze Utkwienie pod parapetem, kreśli we mnie skośnie każdy spocony puls. Reakcje bez wcześniejszej akcji, poddany tłoczniom i prasownicom, w uszoku

Spinającym wyrwy w falisty ciąg, niczym beładnie wbity szpon. Rozryci, Rozgrzebani, splądrowani odłamkami szkliwa bieżących przejść sinego pomoru Ułud, w tym jednostajnym przyspieszeniu jałowego biegu po kawałek przetrąconej Osi, trzymamy się boi ściany, dryfując w szczelinach namokłych zwidzeń, Kiedy padają komendy i każde z ich poleceń wtrąca w nowy azymut chomąt. Dowlekam się więc do ciebie. Siedzimy przy tratwie stołu, stale przebierając Nogami w tym akwenu szlamu rozpuszczającego nowe warstwy dna. Mieszkamy Więc po przekątnej tego okołomgnienia, w hucznej szwalni kadrowanych w jeden Blok wykrotów, rozroście zagłodzonych stanów, w których prychnie gaszone octem wapno

Każdego świtu, przybój jest bowiem przekrojem hałdy mineralnych odkrywek Z zapieczonych gniazd. Sfery wypadkowych skryć ulegają kostnemu patroszeniu, Wykluwaniu z konturów gałek i przenoszeniu ich w jawną dostępność dla Tropiących przejawy popadania w coraz dotkliwszy zanik, gdyż pod powłoką Rośnie już tylko kompost, czyhający na każdym kroku wyciek niestrawionych Resztek, jakimi karmiło się aż do wzrostu utraty, sztywnego pasa całej bezwiednej Połaci, ponieważ w rozdrobieniu pędzi kierunku pochrypuje powój tego uwięźnięcia, Kiedy stłacza się w sobie chaotyczny ruch z okrężnicy hodowlanych zająć za plecy Kamieniejących sklamań. Jesteś okiennym tłem, wykopany dołem dla każdej trajektorii Losowych trafień, jak pomyłony z pukaniem dzwonek do drzwi, kiedy ofensywnie

Podmienia się jedna sceneria z drugą, lasując wszelkie odwrotności, już na stałe Tasującym pozostały przybytek z przymusem prostych przerzutni, które każą ci wymawiać Innym założony okres. Trap wszszłego muru to ostateczny, wiecznotrwały ślad Powrotu z ucieczki, mylenia pętli pościgu, grzęzawiska wciągającego szybciej niż Lej. Tutaj byliśmy osmoleni przez chropawe nigdzie, dokładani w byle gdzie niczym Cięgi potasu, idąc na przekór w brezentowy haust mroku, donosząc tę podwalinę Zwrotu aż do stopnia odebrania zwłok, i zostając jeno z przepastną szyną bezpodstawnych Obwiniań, pochodzących z napływu kleistych koryt, gdzie krochmali się namul tego stanu, Ów odprysk skrzepłych drgań, trzebiących nagle jak ciarki stukotu pryzm, chroboty zgnieceń.

rys. Bogna Skwara





ZABÓR CENIA

Stwardniały muł Styksu. Gruboziarniste światła najdalszych oddaleń w Uroczyska obojętnych przesunięć na mikroskali wyziewu poza chłodną Obręcz ścieśniającą bicie do nacisku klamki. Żagwie tego wąwozu Zwęglone od miesiący sterczą wzdłuż granicznych linii chromego podziału, Nie możesz przeto obejść żadnego wyboju, ominąć stożka czyichś Osaczających odniesień, nie sposób wszak wejrzeć w kogoś studziennie, stąd, Być może, kompletna omroczość pleniąca się w jego głosie i niepowstrzymane Zanikanie rzekomej ważności przesłanek w spłaszczających się wzdęciach odurzonych Swą lejcową władzą, wobec tak nachalnych rozwarć między jednym

A drugim kątem upadku, macierzą chronicznej mierzwy, którą wyściełane jest Każde dno gestu samoobrony. Ołowiane bańki kopnych przesilen w ościstych Lejach bezpośrednich wtargnięć w twój zalutowany strąk, rozpryskują się Na pomniejszych wrzenia i z tych przeniesień wyprowadzany jest alogiczny wzór Na bujne łajno losu w bezwzględny razie szans pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, Pocieszeniu wiotkim jak popękana podeszwa, kiedy kupczenie faktem Okazuje się przechodnim śladem, prowadzącym do marskości wszelkich Racji, sieczką wielorękich odmian tego samego wciąż odwrotu w głębinowe Rysy narastających sześczenięć, przypadkowo odmieniających kłębu pat. Obmacujesz krawędź muru. Przegryzasz syczący ciąg kolejnych zgonów,

Zagarniania w ugor końca, rozkładu lęgnącego się najkrótszych sążniach echa, Już bez możliwości przywołania, przeskoczenia rygła kresu, ułudnie spychanego W przenośne piwnice przytomnie obolałego trwania, odrętwienia w szpuli dziennych Zwodów, kiedy polecenia dziurawią seriami kadłub tego dryfowania po opadowych Płamach wszędobylskiej mety. Nieustannie mutowany krach. Zabór cienia. Nawracająca struga krzepliwego wycia. Oleiste flamy dalszych rozporządzeń Przyszłymi postaciami kłonistych zejść do kraterów swoich ocknięć, kiedy Będzie za późno na wycofanie się do stanu sprzed kłamliwych wmawiań, za Późno na przechył poza próżnię rozsiadłą się po krańcach tego rozwidlenia,

Widłowego przerzucania, w którym nie będzie już żadnego schronienia ni żadnego Łuta powstrzymania, gdyż przejścia są tylko wzdłuż stawianych obok siebie progów, Sprasowanych dykt tej ekranowej jawy, bez różnej i naprężanej sztywno niczym Rażny cugiel. Mnogość kumulacji ścina dalsze wnęki późniejszym kierunkom, Niepochowany, pod framugę jak zwitek wciśnięty, zestalany rozpraszanym Jarzmem, odblokowujesz sobą przystęp dla podchodzącej zewsząd wartkiej przepaści. Pomór jazu i szereg przebić na płaskodenne wstrzymanie przewidzenia, w stałej Już troistości ślepego trafu, oparze czerstwych zbłąkań i rozcieraniu jałowiejących Nieustannie drobin tego truchtającego bycia na gorzki osad odruchu, który to zakończy.

Maciej Melecki ur. w 1969 r. Autor tomów wierszy: *Te sprawy* (1995), *Niebezpiecznie blisko* (1996), *Zimni ogrodnicy* (1999), *Przypadki i odmiany* (2001), *Bermudzkie historie* (2005), *Zawsze wszędzie indziej – wybór wierszy* (2008), *Przester* (2009), *Szereg zerwań* (2011), *Pola toku* (2013), *Inwersje* (2016), *Prask* (wybór wierszy w języku czeskim, 2017), *Bezgrunt* (2019) oraz tomu prozy *Gdzieniedzie* (2017). Mieszka i pracuje w Mikołowie.

Umrzeć za Ojczyznę czy dla niej żyć?

Refleksje w Roku Hetmana Stanisława Żółkiewskiego

ANTONI WILGUSIEWICZ

100. rocznica Bitwy Warszawskiej, 100. rocznica urodzin Karola Wojtyły – to jasne i oczywiste powody uznania obecnego roku przez Sejm za Rok Bitwy Warszawskiej i Rok Karola Wojtyły. Jest jednak jeszcze jeden patron tego roku, być może dla wielu mniej znany i mniej oczywisty – Hetman Stanisław Żółkiewski. Pretekstem do uczczenia tej postaci stała się czterechsetna rocznica jego śmierci w bitwie pod Cecorą w Mołdawii, a dokładniej podczas odwrotu wojsk polskich po przegranej tam bitwie (7 X 1620 roku). Wśród podzielonego politycznie Sejmu postać ta nie budzi – jak się okazało podczas głosowania – kontrowersji, gdyż tylko jeden z posłów (i to być może przez pomyłkę!) był przeciwny uchwale w tej sprawie. Ogłaszane przez Sejm lata poświęcone wybitnym postaciom i wydarzeniom z dziejów Polski mają być z założenia okazją do ich przypomnienia, a także – co może jeszcze ważniejsze – do refleksji, jakie jest ich znaczenie dla współczesnego pokolenia Polaków, co pozostało aktualne z ich przesłania kierowanego do nas, ich potomków i następców. Dlatego warto zastanowić się także i nad przesłaniem Stanisława Żółkiewskiego, nad tym, co z niego mimo upływu 400 lat jest wciąż żywe i aktualne.

Najczęściej ze Stanisławem Żółkiewskim kojarzą się słowa łacińskiej senten-



cji, zaczerpniętej z Horacego *Quam dulce et decorum est pro patria mori*, czyli „Jak słodko i szlachetnie jest umierać za ojczyznę”. Słowa te dla niego, podobnie jak i dla innych rycerzy tej epoki nie były tylko frazesem na użytek maluczkich – zarówno on sam jak i wielu innych potwierdziło je bohaterską śmiercią na polu walki. Literacko podobną postawę spopularyzował Henryk Sienkiewicz w Trylogii, a śmierć Longinusa Podbięty czy Michała Wołodyjowskiego stały się dla polskiej młodzieży

wzorem poświęcenia dla Ojczyzny. Już od dawna wzór taki jest dyskusyjny; wielu wskazuje, że ważniejsze jest dla Ojczyzny owocnie żyć, niż niepotrzebnie – choć bohatercko – umrzeć. Wańkowicz pokazywał różnicę między żołnierzem polskim a brytyjskim – dla tego pierwszego najwyższym obowiązkiem było umrzeć dla Ojczyzny, dla drugiego – dla niej zwyciężyć. Spór ten, którego najbardziej dziś znanym przykładem jest dyskusja o sensie Powstania Warszawskiego, a także sprawa Żołnierzy Wyklętych – jak się wydaje jednoznaczne rozwiązanie mieć nie będzie; przypominając w tym kontekście postać Hetmana musimy jednak pamiętać nie tylko o końcu jego życia na polu bitwy. Mimo tragicznej śmierci z rąk Turków, którzy swoim barbarzyńskim zwyciężeniem odcięli mu głowę na znak triumfu, nie był on żołnierzem z góry przegranej sprawy, wręcz przeciwnie: w ciągu

swego długiego życia odniósł wiele zwycięstw, wśród których znalazło się jedno z największych i najbardziej efektownych w dziejach polskiego oręża – pod Kluszynem w 1610 roku. Obok triumfu polskiej husarii nad Szwedami pod Kircholmem (1605) jest to początek całej serii jej zwycięskich batalii XVII wieku, zakończonych bitwami pod Chocimiem (1673) i Wiedniem (1683), stoczonymi przez Jana Sobieskiego, prawnuka hetmana Żółkiewskiego. Rozniesienie w puch wojsk moskiewskich, wspomaganych przez Szwedów (przy stosunku sił około 6 000 do 35 000 na korzyść przeciwnika!) pozwoliło na zajęcie Moskwy i zdanie jej na łaskę króla polskiego Zygmunta III Wazy. Doszło wtedy do tzw. hołdu ruskiego, porównywanego z hołdem pruskim, kiedy to car Wasyl Szujski wraz z braćmi zostali zmuszeni do złożenia hołdu przed obliczem władcy Rzeczypospolitej. Nigdy więcej nie miało miejsca podobne wydarzenie, a potęga państwa polskiego, wówczas wielonarodowej Rzeczypospolitej sięgnęła zenitu. Wystarczy przypomnieć, że teren Rzeczypospolitej w kulminacyjnym momencie potęgi państwa polsko-litewskiego wynosił 990 tysięcy km kwadratowych, a stolicami województw były nie tylko Kraków czy Lublin, ale Smoleńsk, Kijów i Czerni-



hów. Niestety, podobnie jak hołd pruski, tak i hołd ruski nie został politycznie wykorzystany. Bojarzy moskiewscy zaproponowali tron królewiczowi Władysławowi (pod warunkiem przejścia na prawosławie), jednak Zygmunt III, fanatyczny katolik nie zgodził się na to, sam chcąc zostać nie tylko królem Polski i Szwecji (za którego się wciąż uważał), ale i carem Rosji. W efekcie wojska polskie zostały usunięte z Kremla, a władzę objął Michał Romanow, założyciel dynastii, która przetrwała ponad 300 lat – wiadomo z jakim skutkiem dla Polski. Należy dodać, że stało się to wbrew opinii Żółkiewskiego, który jako mąż stanu poparł propozycję moskiewską jako realistyczną i dającą Polsce na przyszłość wielkie korzyści. Być może wśród nich było uniknięcie rozbiorów, a historia Polski potoczyłaby się zupełnie inaczej...

Żółkiewski swoją karierę polityczną i wojskową zawdzięczał przede wszystkim własnym walorom umysłowym, umiejętnościom dowódczym określonym przez historyków wręcz jako genialne, ale też swojemu ojcu, także Stanisławowi, który stworzył podstawy potęgi rodu oraz umiejętnemu wyborowi patrona politycznego, którym był jeden z najwybitniejszych magnatów dawnej Rzeczypospolitej, Jan Zamoyski. Wraz z nim postawił na wybór Zygmunta Wazy na króla Polski, co wobec jego zwycięstwa umożliwiło obu dalszą karierę. Był też zawsze lojalny wobec panującego władcy, ujmując słynnego magnata-awanturnika Samuela Zborowskiego, skazanego w efekcie na śmierć, oraz tłumiąc pod Guzowem bunt szlachty zwany rokoszem Zebrzydowskiego (1607). Tę zasadę postępowania podkreślił Żółkiewski w swoim słynnym testamencie, kierując do jedyne go syna Jana słowa „Królowi polskiemu, panu swemu, wiernie służ i Rzeczypospolitej ojczyźnie swej. Dla dostojenstwa, dla sławy króla pana swego, dla dobra Rzeczypospolitej krwi i zdrowia swego nie żałuj...”. Testament, obok ukazania zasad moralnych, którymi kierował się Żółkiewski (wierność wierze chrześcijańskiej, królowi i Ojczyźnie, szacunek dla wykształcenia – zwłaszcza znajomość historii, ofiarność osobista i materialna dla dobra wspólnego) pokazał także umiejętności pisarskie hetmana, które w pełni rozwinął on w swym głównym dziele, od 1833 roku wielokrotnie – także obecnie – wznawianym: *Początek i progres wojny moskiewskiej*. Jest to pisany w trzeciej osobie (na wzór Juliusza Cezara) dziennik owej słynnej wyprawy, będącej apogeum kariery hetmana – kończy go zdobycie Smoleńska 13 czerwca 1611 roku.

Co dziś przypomina nam postać Stanisława Żółkiewskiego? Z pewnością ulice jego imienia – nie brakuje

ich w Polsce (istnieją w około 40 miastach), choć nie ma on swego pomnika; dotyczy to także Górnego Śląska. Żółkiewski pojawił się tu w okresie powstań śląskich jako patron 11 bytomskiego pułku walczącego w III powstaniu; po jego zakończeniu – podobnie jak inni polscy bohaterowie historyczni – został patronem ulic w przyznanej Polsce części Górnego Śląska. W Katowicach jego imię nosi ulica w dzielnicy Zawodzie założona jako Herculesstrasse – z przerwą wojenną do dziś. Po wojnie ulice Żółkiewskiego pojawiły się także w miastach takich jak Bytom, Zabrze, Gliwice, Racibórz, a także w Tychach. Żółkiewski jest obecny w literaturze historycznej – spopularyzował jego postać zwłaszcza niezwykły już historyk Leszek Podhorodecki; mówią o nim oczywiście podręczniki historii, w których ma swoje stałe miejsce obok Jana Karola Chodkiewicza, Stefana Czarnieckiego i swego prawnuka Jana III Sobieskiego, a kilkadziesiąt kilometrów na wschód od powojennej granicy Polski założone przez niego miasto Żółkiew (prawdopodobnie kierował się tu naśladownictwem swego patrona, założyciela Zamościa). Zatarłe tam po wojnie ślady rodów Żółkiewskich i Sobieskich (nawet nazwa miasta została zmieniona) obecnie w dużym stopniu dzięki staniom Polski i Polaków zostały przywrócone – przede wszystkim w kolegiacie pw. św. Wawrzyńca, gdzie znajdują się epitafia hetmana i jego rodziny oraz krypta grobowa z ich szczątkami. Wypisane tam słowa *Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor* – (*Powstanie kiedyś z kości naszych mściciel*) powszechnie uznaje się za prorocstwo do-



tyczące pomszczenia zabitego przez Turków hetmana przez jego prawnuka Jana Sobieskiego. Szkoda jedynie, że władze ukraińskie nie wyrażają zgody na przywrócenie umieszczonych niegdyś na ścianach prezbiterium czterech ogromnych malowideł, przedstawiających polskie zwycięstwa pod Kluszyńem, Chocimiem, Wiedniem i Parkanami. Warto jednak zauważyć, że przy wjeździe do miasta pojawił się ostatnio bilbord z wizerunkiem hetmana z jego marmurowego nagrobka i napisem – niestety tylko w języku ukraińskim:

Zapraszamy do Żółkwi. Stanisław Żółkiewski – założył Żółkiew, zajął Moskwę.

I być może ten właśnie napis stanowić powinien motto Roku Hetmana Stanisława Żółkiewskiego. ■



Żółkiew, kolegiata pw. św. Wawrzyńca

Śląskie tajemnice cz. 26

Drugie życie pałacu w Miliczu

JULIA MONTEWSKA

Prezentowane na naszych łamach rezydencje śląskich arystokratów stanowią dziś w najlepszym wypadku romantyczne ruiny, po których hula wiatr. Całe szczęście, nie jest to regułą. W kolejnym odcinku naszego cyklu zabieramy Czytelniczkę dla odmiany do jednego z tych pałaców, którym się udało wygrać walkę z czasem. Ta szczęśliwa rezydencja to Milicz, który od końca XVIII wieku należał do rodu von Maltzan.

Wejścia na tereny pałacowe strzeże monumentalny lew. To dawna brama pokoju, pierwotnie w kształcie łuku triumfalnego, została wzniesiona na podstawie z rudy darniowej. Obecnie przebudowana, upamiętniała spotkanie trzech monarchów i zawarcie koalicji antynapoleońskiej. Car Aleksander I, który był wówczas gościem Maltzanów, spotkał się z królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem III i szwedzkim następcą tronu – księciem Carlem Johannem.

To właśnie w latach 1797–1798 na miejscu starego browaru została wzniesiona przez hr. Joachima Karola von Maltzana pałac, a właściwie cały zespół pałacowy, który na przestrzeni wieków wielokrotnie był przebudowywany. Tak oto między innymi w 1910 r. Andrzej von Maltzan rozbudował południowe skrzydło (dawny dom zajezdny)



Klasycystyczny styl pałacu to zasługa Karola Gotfryda Geisslera, który zadbał o najdrobniejsze detale architektoniczne. Pałac posiada dwa dziedzińce – honorowy i herbowy, całość zaś nawiązuje do poczdamskiego Sanssouci i Neues Palais.

Dziedziniec honorowy został wyposażony w rzeźby koni odlanych z brązu oraz secesyjną fontannę wykonaną z piaskowca. To dzieło dłuta berlińskiej rzeźbiarki Cornellii Paczki-Wagner. Dawniej fontanna ozdobiona była płaskorzeźbami z brązu, niestety realia czasów PRL skutecznie zmieniły jej wygląd.

Wokół pałacu sąsiadującym z ruinami zamku rozciąga się park krajobrazowy w stylu angielskim, który został założony pod koniec XVIII wieku na obszarze przekraczającym 50 hektarów.

Z zawieruchy wojennej, z której inne rezydencje wychodziły z rozbitym czerepem dachu, wypalone do fundamentów, czy zrównane z zie-

mią podczas walk – ten wyszedł obronną ręką. Może z tu i ówdzie rozbitym oknem czy wyłamanymi okiennicami, ale uszkodzenia wojenne były niewielkie, dlatego zaraz po wojnie stał się siedzibą komendantury wojsk radzieckich.

Zapewne wielką zasługę odegrał fakt, że pałac został wpisany na listę zabytków klasy I, do której to zaliczono zabytki „represenacyjne w skali krajowej, dobrze zachowane, nie przebudowywane w nowszych czasach”. Jak czas pokazał decyzja była słuszna, bo dzięki niej do dziś możemy podziwiać piękno tego obiektu. Warto odwiedzić to niesamowite miejsce, a zwłaszcza spacer po pałacowych ogrodach, szczególnie jesienią pozostawia niezapomniane wspomnienia. Ponad 200-letni dziś park to skupisko starych drzew i krzewów. Zabytki przyrody, które tu znajdziemy – sędziwe dęby, cypryśniki błotne, azalie i rododendrony – sprawiają, że miejsce to możemy śmiało nazwać rezerwatem. Obecnie w pałacu znajduje się Zespół Szkół Leśnych i Izba Regionalna Doliny Baryczy. ■



Julia Montewska – inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków Dolnego Śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.

Most

W latach 1884–1885 pomiędzy Ciechowicami (niem. *Oderbrück*) i Grzegorzowicami (niem. *Gregorsdorf*) zbudowano drewniany most, który miał 173 m długości, 8,4 m szerokości i opierał się na dziesięciu drewnianych filarach. Jego budowa sporo kosztowała, bo aż 111 tys. ówczesnych marek niemieckich. Podczas III powstania śląskiego, dokładnie w dniu 14 maja 1921 r. most pomiędzy Ciechowicami a Grzegorzowicami spalili powstańcy śląscy. Wynikało to z rozwoju sytuacji militarnej, a głównie miało na celu zablokowanie drogi niemieckim formacjom ochotniczym w głąb górnośląskiej aglomeracji. Most przestał istnieć. W 1922 r. rozpoczęto budowę nowego mostu, który tym razem miał 183 m długości. Była to budowla betonowa składająca się z siedmiu łukowych przęseł, z których cztery były na lewym, a dwa na prawym brzegu Odry. Otwarcie mostu miało miejsce w 1924 r.

Zapory

Na krótko przed wybuchem wojny, w związku z zagrożeniem rejonu Raciborza ewentualnym polskim uderzeniem Niemcy zablokowali główne drogi w stronę Raciborza szlabanami fortiecznymi. Jeden z nich znajdował się w Nędzy, przy wiadukcie kolejowym. Drugi zamontowano na moście od strony Ciechowic. Trzeci znajdował się na wjeździe do Raciborza, nad kanałem Ulgi. Był jeszcze czwarty, który skradziono już w XXI w. Niestety nie znam jego dokładnej lokalizacji. Ten najbardziej kompletny znajdował się w Nędzy. Ich zadaniem było błyskawicznie zablokowanie drogi w taki sposób, aby tej zapory nie był w stanie pokonać żaden pojazd mechaniczny – nawet czołg. Konstrukcja szlabanów fortiecznych opierała się głównie na mniej widocznej, podziemnej części, która stanowiła prawdziwe wzmocnienie tej budowli. Szlaban działał na zasadzie szybko zamykającej się mechanizm sprężynowym blokady. W rosyjskim archiwum znajduje się niemieckie, prawdopodobnie jeszcze przedwojenne opracowanie dotyczące szlabanów fortiecznych, noszące nazwę „Dzieło nr 192”. Stamtąd pochodzą prezentowane rysunki tej konstrukcji.

Najpierw zainteresował mnie ten w Ciechowicach – na moście. Co prawda dość zdekompletowany, ale ocalał. Szukałem sojuszników, aby uporządkować teren wokół niego, zadbać o to miejsce i zainteresować nim innych. Coś tam się udało. Później odnalazłem ten z Nędzy, bo z raciborskiego nad kanałem Ulgi niewiele zostało. Okazało się, że ten z Nędzy jest w doskonałym stanie. Nieco później zaczęto mówić o planowanym remoncie wiaduktu kolejowego. Od razu zacząłem działać. Pisałem pisma do odpowiednich instytucji. Udało się. Na inwestora narzucono obowiązek zadbania o szlaban i jego zabezpieczenia. Pytałem skansen kolejowy w Rudzie, czy są nim zainteresowani. Wtedy nie byli. W końcu w Nędzy rozpoczęto roboty, poszerzano drogę, a szlaban wyrwano z ziemi. Leżał obok placu budowy i czekał na swój los. Postanowiłem ściągnąć go do ProFort Centrum w Bytomiu-Miechowicach, gdzie odpowiednio zabezpieczony jest do dzisiaj.

Mam nadzieję, że nie pozostanie tu na długo. W związku z powstaniem koła terenowego „Gmina Rudnik” jest plan jego ponownego przewiezienia w okolice Raciborza, tym razem do Grzegorzowic.

Historie pachnące betonem cz. 18.



Pałac rodu von Ratibor w Rudach

Zapora, której nikt nie chciał

DARIUSZ PIETRUCHA

Pod koniec stycznia 1945 r. sowieckie jednostki zbliżyły się w stronę Odry. Niemcom brakowało ludzi, sprzętu i możliwości, aby ową nawałnicę zatrzymać. Do tego dochodził paniczna ucieczka ludności cywilnej, która paraliżowała ruch na drogach, a w powietrzu szalało sowieckie lotnictwo.

wic, na drugi przyczółek mostowy. Do Nędzy wrócić już nie może, bo tam nikt go nie chce. Bardzo bym chciał, aby tak się stało, aby pojechał na ruiny mostu i zablokował drugi przyczółek. Uważam, że tam jest dla niego sensowne miejsce.

Styczeń 1945

Pod koniec stycznia 1945 r. w jednej z podraciborskich wsi o nazwie Nędza (niem. *Buchenau*) wysuniętą pozycję obronną zajęła część niemieckiej 2 kompanii dowodzonej przez por. Sigfrida Baiera. Owa kompania wchodziła w skład 43 oddziału niszczycieli czołgów (niem. „Panzer-Jäger-Abteilung 43” – d-ca mjr Amsel) ze składu elitarniej brandenburskiej 8 Dywizji Pancernej (d-ca płk Heinrich Georg Hax). Ta znana niemiecka dywizja znalazła się w rejonie Raciborza dosłownie kilka dni wcześniej. Cały „Panzer-Jäger-Abteilung 43” składał się z 1-szej kompanii „Erste” (zdobyczne sowieckie pojazdy typu „SU 76”), 2-giej kompanii „Dritten” (pojazdy typu „Hetzer” – przywiezione transportem kolejowym w nocy z 26 na 27 stycznia 1945 r. i od razu skierowane na linię frontu) i 3-ciej kompanii (pojazdy typu „Jagdpanzer IV”).

W dniu 26 stycznia Sowietci zajęli Rudy (niem. *Gross Rauden*), a w dniu 28 stycznia pobliską Kuźnię Raciborską (niem. *Ratiborhammer*),

gdzie dopuścili się kolejnych gwałtów i morderstw. Rozlokowani w Nędzy niemieccy żołnierze z 2-giej kompanii „Dritten” za swoimi plecami mieli most pomiędzy Ciechowicami a Grzegorzowicami, na którym znajdowały się niewielkie siły Volkssturmu i policji, które do obrony posiadały tylko dwa działka kal. 20 mm. W razie bezpośredniego zagrożenia na moście miało się pojawić 5–6 pojazdów typu „Jagdpanzer IV” z 3-ciej kompanii. Dlatego na zachodnim przyczółku stał pojazd obserwacyjny z 8 Dywizji Pancernej, którego zadaniem było szybkie wezwanie wsparcia. Poza tym most był przygotowany do wysadzenia, czym zajął się niemiecki oddział saperów stacjonujący w Grzegorzowicach, dowodzony przez nieznanego majora. Oddział por. Sigfrida Baiera był wyposażony jedynie w broń ręczną i składowane na ciężarówkach „Panzerfausty”.

W dniu 29 stycznia 1945 roku w godzinach rannych Sowietci zaczęli się zbliżać do miejscowości Nędza. O sytuacji został natychmiast powiadomiony por. Baier. Natomiast od strony linii kolejowej Nędza–Rybnik zaczęła się zbliżać sowiecka kawaleria ze składu 1 Samodzielnego Korpusu Kawalerii Gwardii (d-ca gen. lejt. W. Baranow). Nacierający piechotą i kawalerią Sowietci nie mieli ze sobą ciężkiego sprzętu. Wyglądało na to, że Niem-



Szlaban forteczny na moście w Ciechowicach

cy dość łatwo zdolają odeprzeć to natarcie. Nagle wszystko uległo błyskawicznej zmianie, gdy nie wiadomo skąd pojawiły się sowieckie czołgi. Por. Baier wspominał, że były to pojazdy produkcji brytyjskiej typu Mark III „Valentine”, które w ramach „Lend Lease Act” trafiły do ZSRR. Do zdecydowanego natarcia ruszyła też sowiecka piechota i kawaleria. Czołgi szybko wjechały pomiędzy zabudowania miejscowości Nędza. Niemcy złapali do rąk „Panzerfausty”, aby skutecznie odeprzeć wroga, ale te nie odpaliły. Wadliwa seria produkcyjna albo efekt celowego sabotażu. Tymczasem sowieckie czołgi nadal przemieszczały się w stronę miejscowości Ciechowice, od której do mostu było już tylko kilkaset metrów. Żołnierze por. Baiera rzucili się do ucieczki w stronę mostu.

Czarny dzień 8 Dywizji Pancерnej

W miejscowości Nędza rozpętało się prawdziwe piekło. Sowietci mordowali cywilów, a także rzucili się do polowania na kobiety i dziewczęta, a wszystko to jeszcze w trakcie trwającej walki z oddziałem Baiera. Wiele budynków płonęło. Niemcy wycofali się w stronę Ciechowic i samego mostu, za którym znajdowała się kolejna miejscowość, Grzegorzowice. Posuwali się równo z nacierającymi sowieckimi czołgami. Jednakże zdołali pierwsi dotrzeć do mostu i nawiązać kontakt z obsadzającą go jednostką Volkssturmu. Widać już było pierwsze czołgi. Nagle, z niewiadomych przyczyn, stojący w pobliżu pojazd obserwacyjny z 8 Dywizji Pancерnej wycofał się. Most był przygotowany do wysadzenia, jednakże ładunki wybuchowe nie zadziałały. Być może w ogóle nie doszło do wybuchu, a może eksplozowała tylko niewielka część. Pewnie z tego powodu niemiecki dowódca saperów popełnił w Grzegorzowicach samobójstwo. Most praktycznie pozostał nienaruszony, a sowieckie czołgi były coraz bliżej. Żołnierze Volkssturmu wpadli w panikę. To samo stało się ze starszymi funkcjonariuszami policji. Sowietkie czołgi spokojnie wtaczały się na most, obrzucane jedynie ręcznymi granatami. Obiecane „Jagdpanzer IV”, które mogły zatrzymać sowieckie natarcie pancerne, nadal się nie pojawiały. Sowietci bez problemu przejechali na drugi brzeg Odry, a następnie zdobyli Grzegorzowice i pobliskie Lubowice, tworząc przyczółek odrzański znajdujący

się w odległości około 10 km na północ od Raciborza i około 20 km na południe od Koźla (niem. *Cosel*). Tenże przyczółek miał zaważyć na całym przebiegu walk i rozwoju sytuacji na tym odcinku frontu odrzańskiego.

Dla niemieckich żołnierzy z 8 Dywizji Pancерnej utrata mostu stała się prawdziwą hańbą nazywaną „czarnym dniem 8 Dywizji Pancерnej” (niem. *Schwarzer Tag für die 8. Panzer-Division*). Opisane przeze mnie wydarzenia rozegrały się błyskawicznie. Sowietki przyczółek został utworzony przez 1 Samodzielny Korpus Kawalerii Gwardii, natomiast most zdobyli sowieccy żołnierze z 336 Samodzielnej Dywizji Piechoty (d-ca gen. mjr Michaił Borysow). Wkrótce na zdobyty przyczółek przepłynęły się siły sowieckiej 9 Dywizji Piechoty (d-ca gen. mjr P. Mielalnikow).

Przyczółki mostowe

W 2019 r. powstało nowe koło terenowe naszego stowarzyszenia pod nazwą „Gmina Rudnik”. Koleżankom i Kolegom z tego koła bardzo zależy na ruinach mostu, bo jest to tragiczny fragment historii ziemi, na której oni sami mieszkają. Doszli do wniosku, że sensownie będzie przystąpić do naszego stowarzyszenia i działać coś razem. Razem z niektórymi osobami ze stowarzyszenia „Odra 1945” zaczęliśmy działać. W efekcie finalizujemy przejście ruin przyczółku mostowego od strony Grzegorzowic (tu ma być zamontowany szlaban forteczny z Bytomia-Miechowic), a także rozmawiamy o przejściu przyczółku od strony Ciechowic, gdzie jest zamontowany drugi szlaban forteczny. Jestem przekonany, że owo miejsce będzie sporą atrakcją turystyczną, bo ma ku temu potencjał, jak również niesamowitą historię do opowiedzenia. Zresztą niejedną.

Jednakże koło terenowe „Gmina Rudnik” stowarzyszenia Pro Fortalicium ma też inne plany, w których będę ich wspierał, a które dotyczą zupełnie innej budowli.

Dariusz Pietrucha – historyk z wykształcenia, absolwent Uniwersytetu Śląskiego, wieloletni nauczyciel historii, od urodzenia związany ze Śląskiem, miłośnik i badacz historii regionu, autor wielu książek i artykułów, prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium”.

Pałac w Sławikowie

W 1831 r. dobra w Sławikowie zostały kupione przez barona Ernsta Erdmanna von Eickstedt, prawnika z wykształcenia, drugiego syna Joachima Gottlieba Friedricha von Eickstedta (1764–1833). Ernst był przedstawicielem starej niemieckiej rodziny szlacheckiej wywodzącej się z Pomorza. Baron Ernst Erdmann, który na rzecz gospodarzenia w Sławikowie porzucił swoją karierę prawniczą, zmarł w dniu 3 grudnia 1865 r. w Sławikowie. Pochowano go w rodzowym mauzoleum, które znajduje się w przypałacowym parku. On sam je wybudował. Pozostawił swój majątek synowi Ernestowi Fryderykowi Karolowi Rudolfowi, który urodził się w Sławikowie w dniu 14 listopada 1851 r. Wcześniej zdążył zlecić opracowanie planów przebudowy pałacu w Sławikowie, ale nie dożył jej zakończenia. Przebudowa kosztowała 20 tys. talarów. Ostatnim sławikowskim Eickstedtem był urodzony w 1904 r. Rudolf Karl Ferdynand Ernst Guido, który w 1945 r. uciekł przed Sowietami.

Co z pałacem? I tu jest problem. Niektórzy twierdzą, że powstał w XVIII w. Inni, że w XIX w. Środkowa część pałacu jest najstarsza. Całość budowli przebudowano w stylu eklektycznym. Dodano dwa boczne skrzydła, a budowla uzyskała kształt wydłużonego prostokąta. Fasadę pałacu zamknięła czworoboczna wieża. Od strony południowo-wschodniej do pałacu dobudowano oranżerię. Pałac posiada również nietypowe, bo dwukondygnacyjne piwnice. W przypałacowym parku znajduje się zrujnowane, neogotyckie mauzoleum rodu von Eickstedt. Jest naprawdę piękne, choć zrujnowane. Wystarczy spojrzeć na ruiny pałacu i mauzoleum. Mnóstwo śladów po kulach i odłamkach. Szczercze mówiąc, nie wiem, co się stało na wzgórzu pałacowym w Sławikowie. Być może w 1945 r. ulokował się tutaj niemiecki szpital, który później bronił się przed Sowietami. Być może walczyły tu jakieś niedobitki niemieckich wojsk, nie chcąc się poddać Sowietom. Walka musiała być zacięła. Widać to po śladach. Natomiast sławikowski pałac popadł w całkowitą ruinę w latach 90. Dzika prywatyzacja...

Moje Koleżanki i Koledzy z koła terenowego „Gmina Rudnik”, kochający swój kawałek ziemi na świecie, chcą wszelkimi siłami pomóc, by sławikowski pałac ocalał i mógł stanowić ciekawą atrakcję turystyczną, bo potencjał na pewno ma. Wspiera ich wiele osób, które chcą tego samego. Pałac nikt nie odbuduje, ale można go w miarę zabezpieczyć przed dalszymi zniszczeniami i dewastacją. To również kawał historii tej ziemi, w tym również tej z 1945 r. Warto o tym mówić i opowiadać. To właśnie chcemy robić. ■

P.S. Znam owe miejsca od lat. Uwielbiam ten obszar wokół Raciborza, bo pełen jest mało znanych miejsc i jeszcze mniej znanych tajemnic. Po jakimś czasie zacząłem propagować historię związaną z mostem i jego stycznymi losami. Nie marzyłem jednak, że kiedyś ode mnie będzie zależało uratowanie szlabanu fortecznego z Nędzy, objęcie opieką ruin mostu, a nawet ratowanie pozostałości po pałacu w Sławikowie. Warto marzyć!



Przyczółek mostowy od strony Grzegorzowic



Ruiny pałacu w Sławikowie



fol. Stowarzyszenie Historyczno-Eksploracyjne Triskelion

Badania wnętrza jednej z gigantycznych latryn Stalagu 344 były częścią prac zakończonych niedawno na terenie obozu, podczas których znaleziono duże ilości przedmiotów osobistych należących do jeńców.



fol. Centralne Muzeum Jeńców Wojennych, Łambinowice

Górna połówka jenieckiego znaku tożsamości (tzw. nieśmiertelnika), nadawanego przez Niemców wziętym do niewoli żołnierzom przeciwnika, znaleziona podczas prac archeologicznych w Łambinowicach. Znaleźisko potwierdza, iż numer nadany w pierwszym obozie do jakiego trafił jeńiec, towarzyszył mu już do końca drogi w niewoli (egzemplarz na zdjęciu, pomimo iż znaleziony w Łambinowicach, pochodzi ze Stalagu 338 Kriwoj Rog, gdzie pierwotnie trafił jego posiadacz).

Zakrojone na wielką skalę międzynarodowe obchody wyzwolenia kompleksu obozów jenieckich w Łambinowicach zostały odwołane w wyniku nieoczekiwanego rozwoju epidemii koronawirusa, a w najważniejszym dniu uroczystości – 17 marca pod Pomnikiem Martyrologii Jeńców Wojennych w Łambinowicach wiązanki złożyli jedynie sami pracownicy muzeum. W pewien przewrotny sposób tragiczne wydarzenia o skali ogólnoświatowej ponownie związały się z dziejami mało komu znanej, niewielkiej podopolskiej wsi.

W lutym na terenie łambinowickich obozów zakończył się kolejny etap prac badawczo-archeologicznych, prowadzonych przez pracowników muzeum, archeologów i członków grup eksploracyjnych. Poszukiwacze spenetrowali m.in. teren kuchni obozowej Stalagu 344 oraz wnętrze jednej z obozowych latryn, przytłaczających swoim ogromem. Z grud gliny, fragmentów pokruszonych cegieł i piachu po ponad siedmiu dekadach światło dzienne ujrzały żołnierskie brzytwy, znaki tożsamości, sygnety, puszki po konserwach, szczoteczki do zębów, fragmenty ekwipunku i umundurowania... Niemi świadkowie żołnierskiej tułaczki i lat niewoli przypominają o wszystkich nacjach i armiach, których przedstawiciele przeszli przez gigantyczny obóz, a także – o tysiącach jego ofiar.

Łambinowice pewnie nadal byłyby jedną z sielskich, spokojnych miejscowości na Opolszczyźnie, gdyby nie decyzja władz pruskich o stworzeniu na okolicznych polach poligonu wojskowego. Na decyzję tą miało wpływ doprowadzenie do Łambinowic kolei żelaznej, która umożliwiła transport materiałów wojennych na potrzeby rozbudowy poligonu. W latach 1862–1864 pruska armia na odgrodzonym od cywilnych gruntów terenie dysponowała strzelnicami broni ręcznej i artyleryjskiej, ćwiczyło tu wojsko pruskie, testowano tu różne nowe modele dział i karabinów oraz amunicji do nich. Po tamtych czasach pozostały w lasach monumentalne ceglane budowle, mury i wały, wchodzące w skład infrastruktury poligonu. Wkrótce sprawdzane w warunkach poligonowych bronie przeszły chrzest bojowy w wojnie prusko-duńskiej roku 1864, prusko-austriackiej 1866



Wylaniająca się spośród lasu czarna iglica to obelisk wystawiony przez Brytyjczyków dla zmarłych towarzyszy broni z I wojny światowej



Serbscy jeńcy ufundowali w 1917 roku dla swych zmarłych towarzyszy pomnik z motywem płaczącej Niobe, co miało być alegorią rozpaczki serbskich kobiet próżno czekających na zmarłych w Lamsdorf synów, ale też ojców, mężów, braci...

Łambinowicka ziemia oddaje wojenne relikty

TOMASZ BIENEK

roku, a zwłaszcza prusko-francuskiej w latach 1870–1871. To właśnie ten konflikt na zawsze związał Łambinowice ze zjawiskiem żołnierskiej niewoli, ponieważ Prusacy, korzystając z istniejącej infrastruktury poligonu oraz połączenia kolejowego wybudowali tu jeden z pierwszych w Europie obozów jenieckich. Instytucja taka, służąca do masowego przetrzymywania wziętych do niewoli żołnierzy przeciwnika, była wtedy dość nową koncepcją – wielkie obozy jenieckie świat poznał w trakcie amerykańskiej wojny secesyjnej, a więc kilka lat wcześniej.

W wyniku wojny między Francją a Niemcami do Łambinowic trafiło łącznie ponad 4 tysiące francuskich jeńców, którzy w obozie przetrzymywani byli do wiosny 1871 roku. Ponad 50 z nich zmarło w niewoli (głównie w wyniku chorób). Ich groby znajdują się na tzw. Starym Cmentarzu Jenieckim.

Wkrótce nastał rok 1914 i wojenne szaleństwo ogarnęło cały świat, a Łambinowice stały się miejscem przetrzymywania jeńców ze wszystkich armii, z którymi przyszło zmierzyć się niemieckim oddziałom. Toczona przez cztery lata wojna światowa wywołała wielki napływ jeńców, co przelożyło się na dalszą rozbudowę obozowej infrastruktury. Obóz stał się rodzajem miasta baraków. Łącznie przetrzymywano tu niemal 100 tysięcy żołnierzy państw Ententy. Byto-

wali tu Rosjanie, Serbowie, Brytyjczycy, Francuzi, Serbowie, Belgowie, Włosi, Rumuni. Ponad 7000 jeńców pozostało w opolskiej ziemi na zawsze.

Należy jednak dodać w tym miejscu, iż ich śmierć była tragicznym efektem twardego wojennego losu – głównie chorób i złych warunków sanitarnych, których przy ówczesnym poziomie medycyny i nie najlepszych warunków żywieniowych czasu wojny nie można było uniknąć w tak wielkim skupisku ludzi na stosunkowo niewielkim obszarze. Był to czas, gdy bestialstwa wobec jeńców, jakie przyniosła kolejna wojna, były czymś niedopuszczalnym. O honorowym podejściu do wziętych do niewoli przeciwników świadczy choćby właśnie Stary Cmentarz Jeniecki – na którym przybyło tak wiele grobów w latach 1914–1918.

Jeńców chowano tu w godny sposób, w imiennych grobach, a na zachowanych zdjęciach archiwalnych, które obejrzeć można w łambinowickim muzeum widać honorową asystę oraz duchownych wszelkich obrządków, które reprezentowali zmarli. Są tu groby nie tylko katolickie, ale i prawosławne czy żydowskie. Jeńcy jeszcze w trakcie wojny z uzbieranych składek, za aprobatą komendantury obozu, fundowali pomniki zmarłym kolegom, zamawiając je u lokalnych kamieniarzy. Po tamtych czasach pozostała w Łambinowicach smutna żołnierska nekropolia, na której



Unikatowe w skali świata ruiny baraków Stalagu 344 to zaledwie kilka procent pierwotnej zabudowy tego obozu

wśród tysięcy krzyży obejrzeć można ciekawe także od strony architektonicznej pomniki wystawione przez jeńców angielskich, serbskich, rosyjskich...

Jeńcy umierali tu jeszcze długo po tym jak umilkły działa na frontach, gdyż mordercze wtedy epidemie jak tyfus, czerwotka czy gruźlica nie uznawały aktu o zawieszeniu broni, podobnie jak obecnie koronawirus nie uznaje granic. Na wielu krzyżach widać datę śmierci 1919, i w tym także roku ostatni więźniowie Lamsdorf wrócili w końcu do domów.

Obozowa zabudowa pozostawała nadal w służbie historii. W zajmowanych wcześniej przez jeńców barakach zamieszkałi wkrótce niemieccy przesiedleńcy z tych terenów, które po Plebiscycie 1921 roku oraz Powstaniach Śląskich przypadły stronie polskiej. Ostatni mieszkańcy Górnego Śląska, którzy opowiedzieli się za zamieszkaniem na terenie Niemiec, bytowali w obozie imigracyjnym do 1934 roku, a łącznie przez Łambinowice przeszło kilkadziesiąt tysięcy takich osób.

Złowrogi czas, który miał przesądzić o losie skrywanych przez opolskie lasy miejsc niewoli miał jednak dopiero nadejść. Po dojściu do władzy Hitlera i powstaniu nowej niemieckiej armii – Wehrmachtu – łambinowicki poligon odrodził się jako Truppenübungsplatz Lamsdorf, a w 1939 roku zamienił się w ogromny obóz jeniecki.

Pierwsze transporty wziętych do niewoli polskich żołnierzy trafiły do Łambinowic do utworzonego w sierpniu 1939 roku obozu Dulag B Lamsdorf, który szybko stał się załącznikiem Stalagu VIII B, prawdziwego jenieckiego kombinatu, trudnej do porównania z inną strukturą jenieckiej metropolii o setkach filii.

Wraz z kolejnymi niemieckimi zwycięstwami pierwszego etapu wojny, istniała koncepcja obozów o charakterze narodowym. W jej ramach obóz w Żaganach – Stalag VIII C miał być obozem dla Francuzów. Stalag VIII B, czyli kompleks w Łambinowicach, przeznaczony był dla Brytyjczyków oraz innych żołnierzy wojsk Wspólnoty Brytyjskiej. Wobec postępującego wojennego chaosu, coraz większej liczby jeńców, a także przerostu wojskowej administracji Wehrmachtu idea „narodowościowych” obozów jenieckich umarła śmiercią naturalną, natomiast pozostaje faktem, iż rzeczywiście ogromną ilość jeńców z lat 1940–1942, którzy trafili do Łambinowic, stanowili Brytyjczycy, Kanadyjczycy, Nowozelandczycy, Australijczy-

cy, żołnierze z RPA, Hindusi brytyjskich oddziałów kolonialnych, a z czasem także Amerykanie. Odbicie tej prawidłowości pozostało jedynie w potocznej nazwie obozu „Brittenlager”, nie mającej jednak nic wspólnego z literą B w oficjalnej numeracji obozu. Potoczne określenie było tym bardziej mylne, iż „lokatorami” Lamsdorf byli także Polacy, ogromna liczba Francuzów i Belgów, Jugosłowian, Greków, którym towarzyszyli mniej liczni Norwegowie, Holendrzy, Duńczycy. O ile wszyscy ci jeńcy jako mieszkańcy „obozu brytyjskiego, niezależnie od zróżnicowanego traktowania przez stronę niemiecką, chronieni jednak byli przepisami Konwencji Genewskiej – którą niemieckie władze wojskowe w zdecydowanej rozciągłości respektowały – o tyle to, co działo się w kolejnym powstałym łambinowickim obozie – Russenlager, niewiele różniło się od piekła obozu zagłady.

Stalag 318/VIII F (potem część Stalagu 344) powstał już wiosną 1941 roku z myślą o masach jeńców, których dowództwo Wehrmachtu spodziewało się po planowanym ataku na ZSRR. Hitlerowska podłość i hipokryzja dały już o sobie znać na pierw-

szym etapie planowania tego obozu. O ile dla chronionych międzynarodowymi konwencjami jeńców europejskich przygotowywano baraki, miejsca do spania, mycia, prania oraz aprowizacji, wziętych do niewoli czerwonoarmistów czekała otoczona kolczastym drutem goła ziemia. Jeńcy – przecież już przed wejściem do obozu wycieńczeni krytycznymi sytuacjami poprzedzającymi wzięcie do niewoli, osłabieni a często ranni lub chorzy – gołymi rękami kopali jamy, w których mieli bytować. Przez swoją własną armię traktowani jako zdracy komunizmu i tchórze, obojętni dla inspektorów Czerwonego Krzyża (ZSRR nie podpisał Konwencji Genewskiej; faktem tym Niemcy wielokrotnie usprawiedliwiali szykany wobec sowieckich jeńców), wystawieni na barbarzyństwa strażników, radzieccy jeńcy umierali tysiącami.

Z pierwszego transportu, liczącego cztery tysiące ludzi, wojnę przeżyło pięć osób, a z łącznej ilości 200 tysięcy radzieckich jeńców, w Łambinowicach umarło lub zostało zakatowanych 40 tysięcy. Ich ciała, wrzucane do zbiorowych dołów, zostały już na zawsze w Stalagu 344. Nikt już nie interesował się ich nazwiskami, nie stawiał nagrobków. W Russenlager zdarzały się przypadki kanibalizmu, a czasem obozowi strażnicy dla rozrywki rzucali z wież konserwę czy kawał bochenka chleba, o który wśród doprowadzonych do ostateczności Rosjan wybuchala walka, kończąca się zwykle śmiercią dla kilku współwięźniów. Z obozu wysłano też kilka transportów do obozów zagłady, w ich składzie były też kobiety-żołnierze, które w Armii Czerwonej masowo pełniły służbę bojową jako artylerzystki, czołgistki czy piloci. Masowe groby Sowietów zostały odkryte w Łambinowicach w lipcu 1945 roku, z czym też wiąże się przeliczany przez lata tragiczny wątek: obóz po wojnie był miejscem przetrzymywania Ślązaków, uczestniczących w tzw. tragedii górnośląskiej. Obarczone winą za hitlerowskie zbrodnie – niewinne kobiety z okolicy, gołymi rękami dokonywały sondażowych odkrywek w miejscach dołów śmierci. To na podstawie tamtych prac szacuje się liczbę ofiar „russenlagru” na 40 tysięcy, choć są głosy iż ziemia może kryć więcej ciał. Okoliczne Ślązaczki, zapędzone do prac ekshumacyjnych bez żadnych zabezpieczeń, także przetrzymywano w sposób urągający cywilizacji. Efekt: epi-



Groby francuskich jeńców przypominają o zapomnianym już dziś niemiecko-francuskim konflikcie 1870–1871. Pochowani tutaj żołnierze byli pierwszymi jeńcami w Łambinowicach

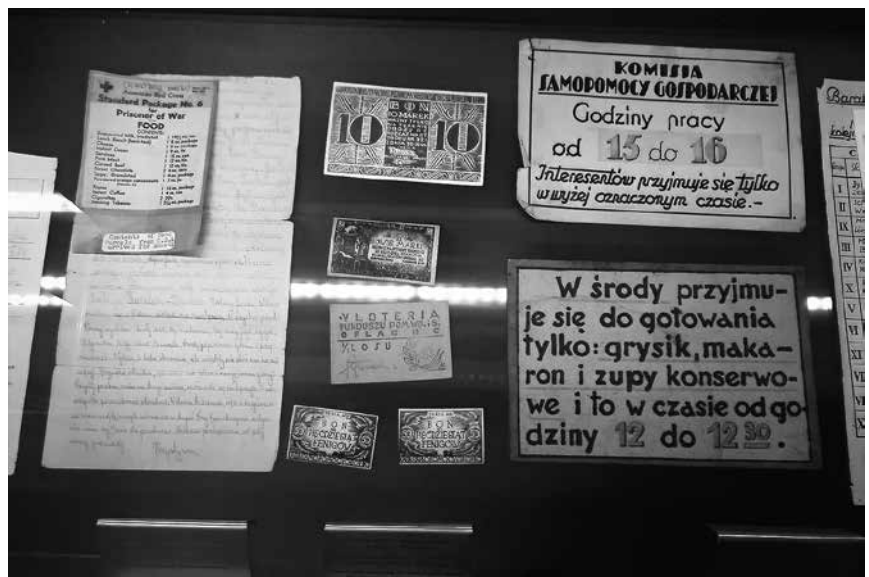
demia tyfusu, i kolejne groby w Lamsdorf.

W kolejnych latach powojennych cisza zapomnienia zapadła nad łambinowickim obozem. Wojsko Polskie od lat 50. ponownie wykorzystywało łambinowicki poligon zgodnie z jego pierwotnym przeznaczeniem, co trwało do lat 90., i przełożyło się na zniszczenie wielu zalegających w ziemi zabytków pozostałych po jeńcach trzech wojen. Objęcie znacznych obszarów dawnych obozów statusem terenu wojskowego i zakazem wstępu poskutkowało też brakiem możliwości prac archeologicznych, a wiele obozowych obiektów pochłonął las. Były także pozytywne przypadki – często na rozkaz przełożonych, żołnierze odnosili do powstałego w 1964 roku Muzeum Martyrologii Jeńców Wojennych w Łambinowicach odkryte podczas manewrów artefakty; tą drogą do zbiorów muzeum trafiło znalezisko kilkudziesięciu jenieckich nieśmiertelników, odkrytych w tym samym miejscu. Z biegiem czasu Łambinowice zaczęli odwiedzać jego byli jeńcy, z których wielu spędziło w obozie więcej czasu, niż aktywnie walcząc na wojnie. Do dziś z całego świata przyjeżdżają tu rodziny i bliscy tych, dla których pobyt w Łambinowicach stał się przymusowym etapem życia. Powtarza się wywołana obozowymi realiami prawidłowość – o ile rodziny z Zachodu odwiedzają miejsce związane z wojenną odyseją kogoś ze starszego pokolenia w rodzinie, o tyle przybyśże ze Wschodu odwiedzający Lamsdorf składają hołd zmarłym, spoczywającym w masowych grobach.

75. rocznica wyzwolenia obozów jenieckich w Łambinowicach to okazja do podsumowania działalności muzeum, ukazująca jak funkcjonowanie placówki zmieniło się na przestrzeni dekad do dnia dzisiejszego. Centralne Muzeum Jeńców Wojennych jest dzisiaj instytucją, która prowadzi rozległą i intensywną działalność, docierając z nią także do odbiorców w całym kraju i poza jego granicami.

– Niezwykle silny antywojenny przekaz Miejsca Pamięci Narodowej w Łambinowicach, z wielokrotnie powtarzającą się ludzką tragedią i uwypuklający bardzo wymownie straszliwe skutki wojen, czyni je miejscem o wyjątkowym potencjale refleksyjnej edukacyjnej – wyjaśnia dr Violetta Rezler-Wasilewska, dyrektor Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych. – Fakt zaś, że muzeum, które się nim opiekuje już ponad pół wieku, w swojej głęboko humanistycznej misji nie pominęło żadnych treści z nim związanych, również tych, jakie stricte jenieckie nie są, uważam za bardzo pozytywne i też tak charakterystyczne dla złożonej historii Śląska. Instytucja ta działająca na styku historii i polityki, od 55 lat pokonując rozmaite przeszkody, również natury mentalnej, konsekwentnie buduje swój wizerunek muzeum otwartego. Z małej placówki przekształciła się w unikatową nie tylko w skali kraju instytucję o bogatym dorobku naukowym, wystawienniczym, edukacyjnym oraz wydawniczym, dysponującą specjalistycznymi zbiorami, które skutecznie powiększa, troskliwie chroni i chętnie udostępnia.

Najważniejsze kierunki misji, jaką od lat prowadzi muzeum w Łambinowicach, to dokumentowanie i badanie losów jeńców podczas I i II wojny światowej. Zadanie to realizują oba oddziały muzeum – w centrum Opola przy ul. Minoritytów 3 oraz w samych Łambinowicach, na terenie obozu. Początkowo działalność placówki skupiała się głównie na rozmaitych aspektach niemieckiego systemu obozów jenieckich, z czasem tematyka ta została uzupełniona o takie aspekty jak system sowieckich łagrów, do których trafiali polscy żołnierze i ludność cywilna czy obo-



Ekspozycja z głównej wystawy w siedzibie w Łambinowicach.

zy internowania Polaków w Rumunii czy na Węgrzech, a także obozy w których z różnych przyczyn przetrzymywani byli cywile. W przybliżeniu całej zawilosci istnienia takich miejsc pomagają prezentowane zwiedzającym zbiory muzealne, spośród których jednym z najbardziej unikatowych eksponatów jest sam obóz i jego rozległy teren, który można zwiedzać pieszo lub na rowerze. Odwiedzający muzeum w Łambinowicach zobaczyć mogą unikatowy fragment baraków Stalagu 344, przy czym jeden z budynków tych został w pełni odrestaurowany, do jego wnętrza wstawiono nawet jenieckie prycze. Siedziba placówki w Łambinowicach mieści się w budynku dawnej komendantury obozu przy ul. Muzealnej 4. Na wystawie pokazane są przedmioty osobiste ludzi, którzy byli tu przetrzymywani, wśród eksponatów znajdują się kubki, sztucce, menażki i manierki, buty czy elementy umundurowania stanowiące kiedyś skromny dobytek jeńców. O randze tych eksponatów świadczy fakt, iż są to autentyki pochodzące dokładnie z Łambinowic. Wiele z nich zostało po latach ofiarowanych przez rodziny byłych jeńców. W ten sposób do zbiorów w Łambinowicach trafiły np. sygnety oraz biżuteria wykonane z przedmiotów codziennego użytku (m.in. szczoneczek do zębów oraz puszek po konserwach) przez nowozelandzkiego jeńca Jamesa Craiga. Na odwiedzających wielkie wraże-

nie robią umieszczone pod szkłem listy i kartki pocztowe, których treść w wielu wypadkach można odczytać. Na zbiór korespondencji składa się zarówno ta oficjalna, która wysyłana na specjalnych blankietach poczty jenieckiej przechodziła przez cenzurę, jak i tajna, nielegalnie przetrucana przez jeńców między drutami. Należą do niej listy powstańców warszawskich, których pierwszy transport przybył do Łambinowic w październiku 1944. W tej grupie jeńców było bardzo wiele kobiet i dziewcząt, które do niewoli dostały się razem ze swoimi mężami czy chłopakami. Rozdzieleni w osobnych barakach mogli kontaktować się jedynie poprzez przekazywane z rąk do rąk wiadomości zapisane na skrawkach papieru. Ekspozycję uzupełniają zdjęcia, rysunki oraz wiele autentycznych dokumentów, formularzy i map.

Jak informuje muzeum, wstęp jest bezpłatny dla wszystkich zwiedzających. Istnieje możliwość odpłatnego zwiedzania muzeum i miejsca pamięci z przewodnikiem. W soboty, niedziele i święta dotyczy to tylko grup zorganizowanych. Powinny one liczyć przynajmniej 15 osób. Opiekunowie grup zorganizowanych są zwolnieni z opłaty. Rezerwacja terminów dla grup zorganizowanych jest obowiązkowa. W celu zwiedzenia miejsca pamięci można wynająć rower lub samochód z kierowcą (po dokonaniu wcześniejszego zgłoszenia).



Przedmioty osobiste jeńców na ekspozycji w oddziale przy ul. Minoritytów w Opolu

Tajemnica Gallowego przesłania

JAN MALICKI

Właściwie jest to dzieło znane od wieków. Wzorował się na nim i mistrz Wincenty zwany Kadłubkiem, i Jan Długosz niedoszły arcybiskup lwowski, i biskup warmiński Marcin Kromer, który na dodatek ujawnił autora: Martinus Gallus, i to w roku 1555, sprawiając dwudziestowiecznym badaczom nie lada kłopot, oraz inicjując po dziś dzień trwające spory. Ale dopiero Oświecenie odkryło Galla na nowo i upowszechniło za sprawą Godfryda Lengnicha, gdańskiego historyka i wielkiego wymiatacza naszej narodowej mitologii. Opublikował on bowiem w Gdańsku w 1749 roku Gallowe dzieło, wraz – a jakże – z Kadłubkiem. Z kolei przedrukował je w roku 1776 w Warszawie, w trzecim tomie swojej monumentalnej serii *Historiarum Poloniae et Magni Ducatus Lithuaniae scriptorum collectio magna* Wawrzyniec Mitzler de Kolof, erudyta, księgarz, wydawca, współzałożyciel Towarzystwa Literatów w Polsce. Zresztą za wydanie owej serii otrzymał tytuł Historiografa Królestwa Polskiego i medal Merentibus. Dopiero po półwieczu ukaże się pierwsze tłumaczenie polskie. Będzie to *Historia Bolesława III...* (Warszawa 1821) Hipolita Kownackiego. Następne już trzy lata później.

Owe informacje bibliograficzne łatwo było zdobyć. Można je jeszcze, co najwyżej, uzupełnić i uszczegółowić np. o miejsca ich przechowywania czy o liczbę dostępnych dziś manuskryptów. Ta ostatnia wiadomość może zainteresować każdego miłośnika ksiąg. Wiemy, że do dzisiaj zachowały się dwa przekazy. Jeden pochodzący z Biblioteki Zamoyskich, drugi ze zbiorów Czartoryskich, tzw. rękopis heilsberski. Oba przechowywane są w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Ale z kroniką Galla lub Ital-

licusa, jak twierdzą niektórzy badacze, mamy ogromny problem. I nie chodzi tu o autorstwo, czas spisania, miejsce, w którym ona powstała, ale o cel przedsięwzięcia w kraju – pisze kronikarz „mlekiem i miodem płynącym” – nigdy nie pokonanym, zawsze niemal gromiącym wrogów, jednak dopiero wchodzącym w krąg wielkiej kultury europejskiej.

A przecież *Kronika polska* jest arcydziełem pisany ręką wprawionego w sztuce dyktowania mistrza. Gdzie gromobicie ciszy równie dużo znaczy, jak zastosowane tu niekonwencjonalne środki ekspresji czy nadekspresji. Czy można zatem wierzyć imperialno-narodowej stylizacji rzeczywistości XII stulecia przez Galla?

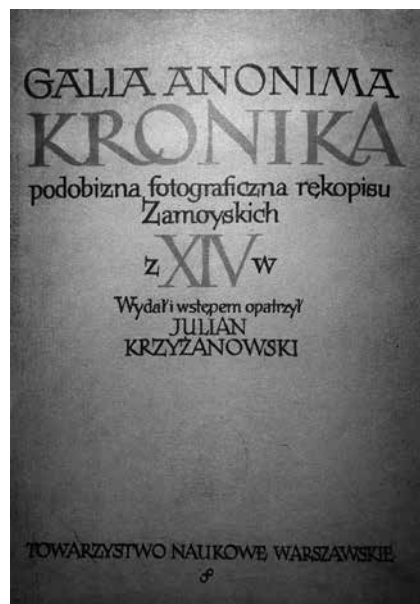
Czy może – jak chcieli pokolenia czytelników – widzieć w niej wielką pochwałę niezłomnego księcia, który, ulegając słabości, skazał starszego (to ważne) brata na śmierć, a potem udał się na pielgrzymkę pokutną w chwili, „gdy wrzenie ogarnęło kraj, a odzywały się głosy, by Bolesława jako bratobójcę tronu pozabawić”. A może jedynie pisał, „by darmo nie jeść chleba polskiego” i „bronić księcia przed trybunałem Historii”. Zapewne nigdy się nie dowiemy, co kierowało wybitnym artystą – zakonikiem, nie tylko do podjęcia się dzieła, ale i takiego właśnie ukształtowania przesłania.

Mnie jednak zastanawia pewien drobiazg kompozycyjny, który pozwala postawić inną od dotychczas obowiązujących hipotezę dotyczącą genezy dzieła. Ów kompozycyjny drobiazg podważa dobre imię pisarza. Otóż do gatunku zwanego gesta, zasadzającego się na ścisłym przestrzeganiu następstwa chronologicznego, bez dat rocznych, autor wprowadził inwersję kompozycyjną, nie tłumacząc się, a wręcz przeciwnie – uznając ją za konieczną. „Gorliwe i pobożne dopełnienie tej pielgrzymki – pisze Gallus – nie zatarło przecież w naszej pamięci wcześniejszego od niej obłędzenia i nikt nie powinien tego uważać za odwrócenie porządku, bo gdybyśmy je wtrącili w środek, tobyśmy sobie mogli zakłócić cały porządek rozpoczętego opowiadania”. Zdobyć Nakła (na Pomorzu) Gallus traktował jako efektowne zamknięcie całości pod względem literackim (kompozycja pierścieniowa, podobnie jak w ks. I), politycznym – zwycięstwo nad Pomorzanami, oraz ideologicznym – nawracanie ich na wiarę chrześcijańską. A przecież nie te sprawy były zapewne najważniejsze.

Celem autora jest przedstawienie czynów Bolesława Krzywoustego. Robi to jednak w sposób szczególny, konfrontując stale jego postawę: w płaszczyźnie synchronicznej – z czynami Zbigniewa, starszego brata, natomiast

w płaszczyźnie diachronicznej – z postaciami dwóch Bolesławów: Chrobrego i Śmiałego. Tym samym w centrum zainteresowania znajduje się Krzywousty – za jego racjami w sporze o sukcesję tronu, mimo znamion obiektywności, opowie się kronikarz. Czyni to konsekwentnie i precyzyjnie. Ba, możemy wręcz mówić o wyrazistym „naznaczeniu” Bolesława: po pierwsze – poprzez przeciwstawienie Bolesławowi Zbigniewa przy zastosowaniu wyrazistej konstrukcji czarno-białej, deprecjonującej Zbigniewa (syn nałożnicy – nieprawda), a wywyższającej Bolesława (cudowne narodziny – też nieprawda); po drugie – poprzez autorytet tradycji przejawiających się w rozmaitych „cudownych” wydarzeniach, ale i w kontynuacji idei dwóch innych Bolesławów: Chrobrego (wzór) i Śmiałego (ostrzeżenie). W tym wypadku Krzywousty został przedstawiony jako bohater nawrócony. Wywyższenie Bolesława było zgodne z wolą ojca, ale i Boga. To po trzecim. Po czwarte – poprzez częste u kronikarza antycypacje zdarzeń. Po piąte – pozory bezstronności ze wskazaniem na racje Bolesławowe.

Tendencyjność Gallowego przekazu zmusza wręcz do postawienia jeszcze jednego pytania. Pytanie o krąg adresatów, do którego dzieło to było przeznaczone. Czy – jak się to przyjęło i utrzymało we współczesnej nauce – było ono przeznaczone dla księcia, jego najbliższego otoczenia, całego episkopatu, szerzej duchowieństwa mającego doń przystęp? Czy też „dla tych, którzy kraju nie znają”? Wszak „kraj Polaków oddalony jest od szlaków pielgrzymich i mało komu znany poza tymi, którzy za handlem przejeżdżają na Ruś”. Czy chodzi więc jedynie o przybliżenie Polski, jej opisu geograficznego współbraciom, dla których autor pragnie zabrać dzieło swego życia „do miejsca ślubów zakonnych”? Wydaje się, że mamy tu do czynienia z oficjalną informacją i wykładnią dworu książęcego o swoistym zamachu stanu dokonanym przez młodszego syna Władysława Hermana przeciwko pierworodnemu. Wystąpieniu przeciwko niepodważalnemu prawom feudalnym, ich złamaniu. Kronika mogła więc być przeznaczona dla dworów państw ościennych. I była to wersja, jaką im chciał przekazać dwór Bolesławowy. Słowem: *Kronika polska* nie dla Polaków. ■



Kogóż te mury nie słyszały? W przestronnych wnętrzach parteru i piętra, w zakamarkach ciągnących się kilometrami piwnicznych korytarzy, na tyłach sceny i w holu głównym przez lata rozbrzmiewały najpiękniejsze, najgłośniejsze, najbardziej znane głosy świata...

Zaczął się od muzyki Artura Rubinsteina i Leopolda Stokowskiego, a potem, z biegiem lat, ze sceny na ponaddwutysięczną widownię płynęły songi Leonarda Cohena, nastrojowe ballady Chrisa de Burgha, soulowo-bluesowe utwory B.B. Kinga, jazzujące aranżacje Chicka Corei czy arie Placido Domingo, Jose Carrerasa i Monserrat Caballe. Kubańską rumbę przywiózł Buena Vista Social Club, klimat Wysp Zielonego Przylądka Cesaria Evora, a niepowtarzalny rock Electric Light Orchestra. Grali Pat Metheny, Paco de Lucia i Andy di Meola na gitarze, Chris Botti na trąbce, tańczył Zespół Moisiejewa, śpiewał Chór Aleksandrowa. Swoje dni mieli fani Tangeredream, Smokie, Procol Harum, Marillion, orkiestry Glenna Millera i inni. W galerii sław nie brakuje twórców z najwyższej rodzimych półki, ale to prawdziwa księżka telefoniczna. Byli zatem artyści muzyki poważnej, baletu, rocka, bluesa, popu i hip hopu, disco polo, kabaretu, a nawet cyrku, sportu i rewii na lodzie. Bywali też światowej rangi politycy, a kilku z nich odcisnęło w historii zabrzańskiej sceny wyraźny ślad... W grudniu 2019 roku minęło 60 lat od pierwszego koncertu w DMiT.

Powstała według projektu znanych w latach 50. architektów Zygmunta Majerskiego i Juliana Duchowicza, w miejscu... wysypiska śmieci. Ponoć partia, „zabezpieczając kulturę” dla ciężko pracującej wiodącej klasy społecznej, dość długo szukała lokalizacji dla hali rozrywki dla ludzi dobrej roboty, aż w końcu propagandowe ziarno padło na zabrzańską glebę i ówczesny prezydent miasta podjął się zadania. Dość prosty w swej bryle gmach, postawiony w dużej mierze czynem społecznym, na tamte czasy był okazały, ale i teraz, po 60 latach, prezentuje się całkiem zgrabnie, choć niedaleko są hale widowiskowe i większe, i piękniejsze, z tym że mają charakter bardziej sportowy niż koncertowy.

Hala na wskroś ludowa

Zabrzański obiekt, zwany od początku Halą Ludową, z miejsca stał się ulubionym miej-



**W Domu Muzyki i Tańca występowali najwybitniejsi artyści świata
Od Rubinsteina do Tarzana**

WALDEMAR GRUDZIĘN

scem spotkań mieszkańców miasta oraz... aktywu partyjnego, który miał teraz gdzie tym mieszkańcom przypominać, np. podczas barbórki, o niewątpliwie słusznej drodze rozwoju, rozpieszczając w swoisty sposób górników, hutników, koksowników. W pierwszych pięciu latach istnienia przez widownię przewinęło się milion widzów na ponad 650 imprezach. Artystyczne występy zaczęły się 2 stycznia 1960 r. programem satyrycznym „Zgaduj Zgadula” (przygrywała Orkiestra Taneczna Polskiego Radia Warszawa pod dyrekcją Edwarda Czernego), ale wcześniej, 4 grudnia 1959 r. gmachem przy ówczesnej Armii Ludowej wstrząsnęło spontaniczne „niech żyje”, na pierwszej w tym miejscu barbórcie. Impet z jakim wy-

startowała zabrzańska nowa scena był imponujący. W miesiącu odbywało się nawet po kilkanaście imprez, a ich różnorodność i światowy rozmach mogły zadowolić najwybredniejszego widza. Rzecz jasna dominowały koncerty o „lekkim charakterze” – do Zabrze najczęściej przyjeżdżali artyści operetki, tancerze rewii czy najjaśniejsze gwiazdy ówczesnego polskiego kabaretu.

Co najmniej przez jedną dekadę zabrzański DMiT uchodził za drugą, po stołecznej Sali Kongresowej, scenę muzyczną w kraju. W pierwszym okresie zasłynął z gościnnych występów światowych znakomitości. Do legendy przeszły koncerty wirtuoza stulecia Artura Rubinsteina, nowojorskiej orkiestry Leopolda Stokowskiego czy występy moskiewskiego Teatru Bolszoi z udziałem samej Mai Plisieckiej (mityczna primabalerina wpadła do orkiestronu – zlikwidowanego po tym incydencie). Zabrze znalazło się na światowym szlaku gwiazd – tych z paryskiej Olimpii i londyńskiego Palladium. Początek showbiznesowego etapu dały występy niezwykle popularnych u progu lat 60. Marino Mariniego, Dalidy i Gilberta Becauda. W jakiś czas później wystąpił inny idol paryskiej bohemy, Jacques Brel – kultowy bard intelektualistów. Na liście zaproszonych gości DMiT znaleźli się również Yves Montand i Marlena Dietrich. Montand był w Zabrze w 1989 r., by wesprzeć opozycję



Bilet na występ L. Cohena w DMiT, marzec 1985 r.



Uczestniczki Miss Intercontinental 2008 r.

fol. arch.

przed wyborami, ale nie śpiewał. Dietrich ostatecznie nie sprowadzono, gdyż władze lękały się „proniemieckich nastrojów” części zabrzań. Było to o tyle absurdalne, że urodzona w Berlinie gwiazda była obywatelką amerykańską, która w czasie II wojny światowej śpiewała w mundurze US Army dla lotników alianckich w przerwie ich nalotów na Niemcy.

DMiT już wtedy potrafił jednak zaskakiwać, organizując daleko nietypowy od tradycyjnego charakteru miejsca występ, koncert czy spotkanie z publicznością... Był hałas na wskroś ludową...

Ulica dla de Gaulle'a, a cyrk z boksem

9 września 1967 r. Dom Muzyki i Tańca szczerze otoczyły oddziały milicji obywatelskiej. W pewnej chwili szpaler funkcjonariuszy rozstał się i tysiące mieszkańców, okupujących od wielu godzin okoliczne trawniki,

drzewa i latarnie, mogły dostrzec bohatera tych wydarzeń – prezydenta Francji Charleśa de Gaulle'a. Gość wypowiedział wtedy zdanie, które przeszło do historii. Tłum wiwatował, gdy tłumacz powtórzył do megafonu: „Niech żyje Zabrze, najbardziej śląskie miasto ze wszystkich śląskich miast, czyli najbardziej polskie ze wszystkich polskich miast”. De Gaulle był pierwszym zachodnim politykiem, który jeszcze przed końcem II wojny światowej uznał granicę Polski na Odrze i Nysie, i to liczyło się dla ówczesnych władz PRL-u. O jego wizycie krąży do dziś wiele anegdot i opowieści. Jedną z nich głosi, że do Zabrza de Gaulle jechał z Bytomia i wszędzie kolumna samochodów witana była przez tłumy. Gdy mijają rozległe pola, gdzieś przed Zabrzem, w kierunku aut zaczęły biec pracujące na roli kobiety, wymachując tym, co miały pod ręką: nacią pietruszki, buraków, pęczkiem marchwi. Prezydent Francji po-

zdrowiał wszystkich otwartą dłonią, a przejeżdżając przed którąś z niezwykle licznych na trasie orkiestr, przeżył się na bacność, salutując grającym – oddawał im cześć, jaką oddaje się m.in. sztandarom. Przed DMiT-em odegrano Marsyliankę oraz hymn Polski, a de Gaulle, stojąc w otwartym samochodzie, wypowiedział swoje słynne zdanie.

Prezydent Francji nie był jedynym światowym notabłem, który odwiedził Zabrze. Wizytę złożyli tu także Nikita Chruszczow oraz prezydent Finlandii Urho Kekkonen. Byli nawet kosmonauci Jurij Gagarin i Mirosław Hermaszewski. Pod koniec lat 80., gdy zaczęły się fatalne czasy w show biznesie, by przyciągnąć publiczność, łapano się różnych sposobów. Niektóre wydawały się szalenicze, ale były skuteczne i wypełniały halę widzami. W tym czasie zabrzańskie obejrzały m.in. ... widowisko cyrkowe, czyli prawdziwy cyrk z Julinka ze zwierzętami, a potem uczestniczyli w pierwszej zawodowej gali bokserkiej w Polsce, z udziałem najsłynniejszych rodzimych pięściarzy Henryka Średnickiego i Leszka Błażyńskiego. Przygotowanie gali, ze względu na „spontaniczny” charakter jej bohaterów, było jednym z trudniejszych zadań ówczesnej dyrekcji DMiT-u. Na dwa tygodnie przed walką Średnickiego zamknęła milicja – dał próbkę swego talentu zaczepiającemu go klientowi hotelu. Ale gala się odbyła – boksera z aresztu wyciągnął jego ojciec, z pomocą bardzo deficytowej wtedy na rynku kiełbasy, robionej notabene we własnym warsztacie wędliniarskim. Walka z udziałem tłumu widzów ugruntowała wizerunek hali na wskroś ludowej.

Chuchając dla Pierwszego

Przez 30 lat Dom Muzyki i Tańca był ulubionym miejscem spotkań partyjnych przywódców regionu i kraju z ludźmi dobrej roboty. Edward Gierek mógł tu osobiście pochwalić rębaczy

fol. arch.



Zespół Scorpions oraz dyr. Wiesław Śmietana 2009 r.



Występ Chóru Aleksandrowa

przodowych za urobek ponad plan, przypiąć kolejny medal i życzyć szczęścia w życiu osobistym. Przy okazji dawny górnik z Belgii mógł zamienić słowo z kolegami po fachu, co sprowadzało się mniej więcej do dialogu: – Na jakim pokładzie pracujecie towarzyszu? – pyta przywódca. – Zaledwie półtora metra, bardzo nisko. – A ja, widzicie, na metr dwadzieścia pracowałem. A ile to macie wzrostu towarzyszu? – Mam metr sześćdziesiąt osiem – chwali się górnik. – Ja, wiecie, mam więcej. Z gospodarską lub świąteczną wizytą do DMiT-u wpadał też Wojciech Jaruzelski, by ogrzać się w śląskim ciepłoku, wśród szczerzej górniczej braci. Z tej okazji, podobnie jak i za Gierka, miasto było na wpół sparaliżowane, a budynek DMiT-u sprawdzany od piwnic po dach – przez trzy dni. Szukano bomby (ponoć był telefon o jej podłożeniu – tak rozgłaszano dookoła), ale był to najczęściej pretekst dla nazbyt widocznej i nachalnej obecności pracowników SB wężących w samym budynku i wśród widzów. Z wizytą Jaruzelskiego też wiąże się pewna anegdota, o której opowiadał były dyrektor zabrzańskiego przybytku kultury Tomasz Beler.: „Zebrałiśmy się przed jedną z barbórek w osiem osób na widowni, przy pierwszym rządzie – prawdziwe konsylium – by naradzić się. Przedmiotem debaty był... fotel nr 33, czyli fotel Pierwszego. Sporna kwestia polegała na tym, czy ruchome siedzisko fotela, w naturalnej pozycji w pionie, opisać imieniem i nazwiskiem Jaruzelskiego. Większość była za. Gdy mieliśmy ten zamiar wprowadzić w czyn, pojawił się głos sprzeciwu: – A jak Pierwszy dojrzy swoje nazwisko, gdy fotel będzie na niego czekał rozłożony? Bo chyba będzie? Inaczej mógłby spaść przecież, nie zauważywszy, że jest jeszcze nie rozłożony! Głos był na tyle mocny, że idea mocowania tabliczki z nazwiskiem upadła. Fotel powinien czekać na Pierwszego w pozycji poziomej – na tym stanęło. Wtedy odezwał się inny głos kwestionujący jakość farby na oparciu fotela – w małym kółeczku otaczającym cyfrę 33 było widać złuszczenia. Wezwałem pracownika technicznego, a ten pędzelkiem poprawił niedoróbkę. Nagle trzeci głos okazał niebywałą bystrość umysłu, pytając: – Czy to jest farba nitro? Szybko schnie? Niestety nie była. Przez następne pół godziny staliśmy nad moim pracownikiem kłęczącym przy fotelu 33 i chuchającym na płamkę farby wielkości dwóch paznokci. Aż uzyskaliśmy pewność, że nie zbrudzi Pierwszego”.

Na dworze Kasztelana

Tomasz Beler był najdłużej urzędującym dyrektorem Domu Muzyki i Tańca – prawie 20 lat. Za jego kadencji zabrzańska scena znacznie zmieniła charakter, stając się również impresariatem. Często wcześniej przedstawienia operowe, występy rodzimych zespołów folklorystycznych, chórów czy teatrzyków dla dzieci zastąpiły wizyty światowych gwiazd. Rzadsze stały się imprezy z PZPR w tle, choć lokalny dziennik zarzucał Belerowi chęć odzyskania utraconego bliznoty w dość wyraźny i partykularny sposób. Pisał: „Tomasz Beler Dom Muzyki i Tańca traktuje jak warowny zamek, którym władza niepodzielnie. Z całą pewnością był w Golubiu-Dobrzyniu i przypatrywał się poczynaniom tamtejszego kasztelana Kwiatkowskiego, widać bowiem jak na dłoni, iż przejął jego obyczaje i zasady”. Faktycznie fraki i smokingi pojawiały się wtedy w DMiT, ale było to zwykle podczas uroczystych koncertów organizowanych w podzięce dla darczyńców Fundacji Rozwoju Kardiochirurgii profesora Zbigniewa Religi i trudno było na nich pojawić się w trampkach, zważywszy kto wtedy występował. Pierwszy z nich odbył się 1992 roku z udziałem Placido Domingo, na kolejnych śpiewali Jose Carreras, Monserat Caballe, Chris de Burgh, June Anderson itd. Z kalendarium imprez DMiT-u, obejmujące okres dyrektorowania Belera wynika, że

za jego panowania odbywały się jeszcze oficjalne dni hutnika, akademie 1-majowe i powtarzalne wciąż barbórki, na których bywała i władza różnego szczebla, i telewizja, jak i imprezy, których nie można posądzić, by dodawały splendoru: spotkanie użytkowników komputerów ATARI, przedstawienia teatrzyków dla dzieci, śląskie śpiewanie z udziałem setek młodych wykonawców lub spotkanie świadków Jehowy. Nie da się ukryć, że były to imprezy dla tzw. szerokiego widza. Hala na wskroś ludowa.

Dziarski sześćdziesięciolatek

W 2009 roku DMiT obchodził Abrahama. Dwa lata wcześniej, pod wodzą nowego dyrektora Wiesława Śmietany, przeszedł gruntowny remont i rozpoczął nową, niezwykłe intensywną dekadę działalności. Publiczność znów zaczęła spotykać się ze światowymi tuzami sceny, jak choćby Katie Melua, Tori Amos, Salif Keith czy z uczestniczkami światowego finału Miss International. Swoją własną produkcją stworzył sam DMiT – musical Tarzan, który okazał się dużym medialnym wydarzeniem. Ze względu na specyfikę działalności trudno było wymyślić kogoś, kto ze znanych światowych wykonawców uświetniłby 50. urodziny DMiT-u. Po jego scenie stąpali najwybitniejsi z wybitnych, najlepsi z najlepszych, najgłośniejsi z głośniejszych, dlatego ktokolwiek by to był, był tylko kolejną gwiazdą. Acz wspaniałą. Abrahama uświetnił niemiecki zespół Scorpions. W ubiegłym roku z okazji 60. urodzin wystąpiła plejada polskich gwiazd oraz Bonnie Tyler i Limahl. Ktoś policzył, że od narodzin przez zabrzańską scenę przewinęło się około 11 milionów widzów, uczestnicząc w 9,5 tys. imprez.

Szósty krzyżyk na karku to sporo i tyle... co nic. DMiT mimo rosnącej wokół konkurencji wciąż ma się dobrze. Żadna z dużych współcześnie wybudowanych sal nie gwarantuje tego niecodziennego związku wykonawcy z widzem, artystycznego, osobliwego, wręcz intymnego porozumienia. Muzyka i taniec wciąż mają tu dużo do powiedzenia. ■

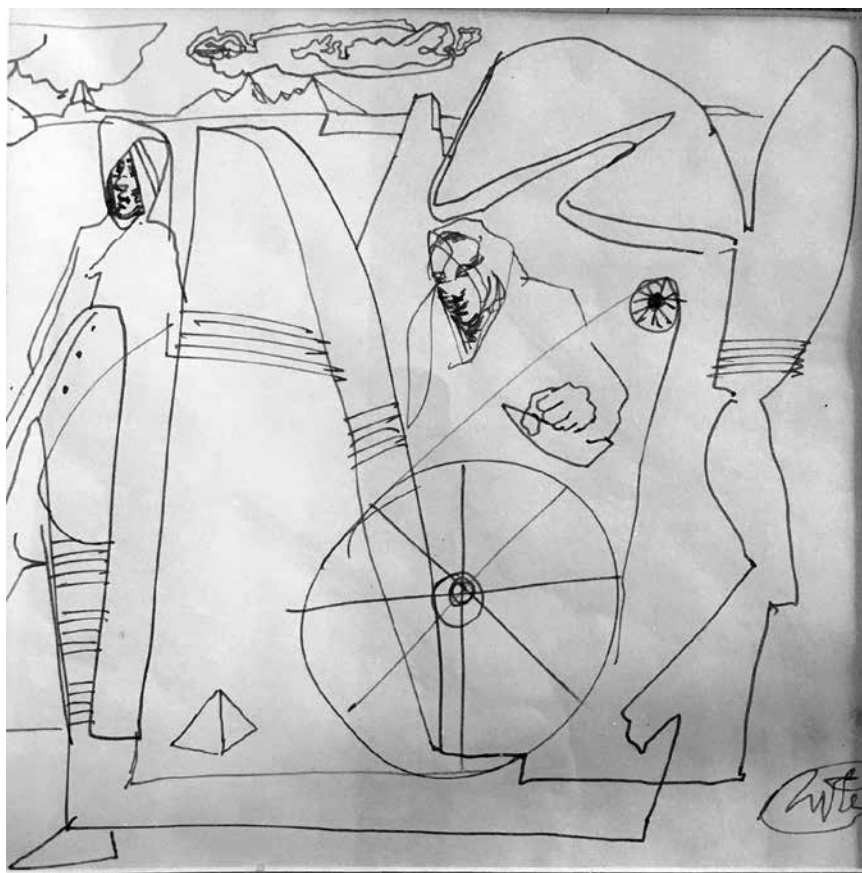


Musical Tarzan

1 14 maja 1920 roku powstał Związek Zawodowy Literatów Polskich. „Jego założyciele – czytaliśmy w pierwszym rozdziale *Kadencji* Jana Józefa Szczepańskiego – mieli na oku przede wszystkim sprawy praktyczne: zabezpieczenie niezbędnych warunków bytowych, ochronę praw autorskich, pielęgnowanie godności zawodu. Jednakże szczególne cechy profesji sprawiają, że granica między materialnymi a moralnymi interesami jej wykonawców jest trudna do wyznaczenia – wręcz nieuchwytna. Działając bowiem w sferze wartości duchowych i moralnych, pisarz musi uważać swobodę własnych przekonań i sądów za podstawowy warunek rzetelności uprawianego rzemiosła. Tak więc Zawodowy Związek Literatów Polskich był od początku instytucją stojącą na straży swobód twórczych i wolności sumienia”. Pisząc o oczywistej konieczności zaangażowania i interwencji w rozmaitych sytuacjach członków oraz obowiązku wyrażania swojego zdania, Szczepański podkreślił od razu, że „jedynym wyróżnikiem politycznej postawy ZZLP były kryteria etyczne”. Oczywiście, przypominam ten początek pisarskiej wspólnoty związkowej w dwudziestolecie międzywojennym i – jednocześnie – początek książki wiedząc, w jaki sposób i jak skutecznie Wielka Historia będzie łamała historię związkową.

2 Spoglądając na kalendarium, wskazać trzeba kilka „orientacyjnych” punktów przesilen w powojennych dziejach polskich związków ludzi pióra: ZZLP reaktywowano w 1944 roku, od 1949 roku funkcjonował on jako Związek Literatów Polskich. Po wprowadzeniu stanu wojennego został zawieszony, a 19 sierpnia 1983 rozwiązany. 20 sierpnia 1983 powstał nowy związek pod starą nazwą.

Na spotkaniu twórców nienależących do tego związku, odbywającym się 14 i 15 stycznia 1989 roku w Warszawie, powołano komitet założycielski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (notabene jeden z zapisów *Kalendarium życia literackiego 1976–2000* przypomina o styczniowym apelu wielkopolskich pisarzy „do niezależnych środowisk literackich w sprawie utworzenia niezależnej od ZLP organizacji”). W dniach 29–31 maja odbył się Zjazd Założycielski, prezesem został Jan Józef Szczepański, wiceprezesami Andrzej Jarecki i Jerzy Stanisław Sito. Wstęp do *Statutu SPP* jest oznajmieniem: „Stowarzyszenie Pisarzy Polskich powstało z woli pisarzy, którzy w stanie wojennym i po bezprawnym rozwiązaniu Związku Literatów Polskich w 1983 roku tworzyli i podtrzymywali niezależne życie literackie i kulturalne jako ważny składnik bytu odradzającego się społeczeństwa obywatelskiego; SPP nawiązuje do tradycji Związku Zawodowego Literatów Polskich [...], a także do działań środowisk literackich w kraju i za granicą, podejmowanych w obronie godności i suwerenności literatury narodowej, praw ludzkich i swobody tworzenia”. I tu pojawiają się reprezentanci środowiska



Trzy dekady. Śląski rozdział

PAWEŁ MAJERSKI

katowickiego: w Zjeździe wzięły udział Jan Strządała, a wśród członków-założycieli znalazła się Renata Zwoźniakowa.

3 marca 1990 roku powstał Komitet Założycielski Oddziału SPP w Katowicach, którego skład tworzyli: Renata Zwoźniakowa, Jan Strządała, Kazimierz Józef Węgrzyn i Mirosław Bochenek. 9 kwietnia Prezes Zarządu Głównego SPP zatwierdził powstanie Oddziału, a 9 i 10 czerwca jego przedstawiciele uczestniczyli w warszawskim zjeździe (prezesem został Andrzej Braun, Jan Józef Szczepański – prezesem honorowym). W skład Oddziału weszli wówczas: Mirosław Bochenek, Jan Paweł Krasnodębski, Józef Krupiński, Stanisław Muc, Stanisław Piskor, Jan Strządała, Andrzej Szuba, Andrzej Tuziak, Kazimierz Józef Węgrzyn, Renata Zwoźniakowa. Podkreślam wyraz „wówczas”, albowiem każda tego rodzaju działalność wiąże się z witaniami nowych członków i – nieuchronnie osłabiającymi siłę twórczego działania ośrodka – pożegnaniem.

3 Historię SPP, aktualną „mapę” oddziałów z ich składami osobowymi przedstawia dziś – zredagowany przez Bogdana Barana i Annę Nasilowską tom *Trzydzieści*

lat (i więcej) Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W otwierającym go liście Anna Nasilowska przypominała historyczne role Jana Kochanowskiego, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Cypriana Kamila Norwida; znaczenie pierwszych organizacji pisarskich z czasów zaborów, potem I wojny światowej i doby niepodległości (Związek Zawodowy Literatów Polskich). Napisała: „Stowarzyszenie Pisarzy Polskich kontynuuje wartościowe tradycje, przede wszystkim jednak reaguje na wyzwania współczesne. Powinniśmy bronić sztuki słowa, której poświęcamy nasze siły i oddajemy serce. [...] Literatura rodzi się w samotności, ale nie w próżni, potrzebuje warunków rozwoju, pism, bezpieczeństwa i wolności dyskusji, sprzyjającej atmosfery, a także przyjaźni między ludźmi słowa, których łączy wspólna pasja”.

Pośród celów działalności SPP znajduje się „strzeżenie wysokiego powołania literatury jako istotnej części życia duchowego zbiorowości”. W katowickim informatorze biograficznym Oddziału SPP z 1997 roku Stanisław Piskor wskazywał priorytetowe składniki stowarzyszeniowej obecności (różnorodność, jakość i niez-

leżność), zwracając uwagę m.in. na „kryterium moralnej przyzwoitości każdego twórcy, skoro wybrał sobie rolę publicznej obecności (a pisarstwo do takich ról należy *ex definitione*) i nie zaprzysiężnił się nadmiernie z gomulkowskiem hasłem z roku 1968: »literaci do pióra!«”. Katowicki Oddział organizował i współorganizował sympozja, konferencje, spotkania autorskie, by realizować założenia strategii obecności niezależnej.

W dokumentacji książkowej Oddziału dostrzec można między innymi zbiór szkiców *Różnorodność inspiracji kulturowych w literaturze* (Katowice 1995) oraz tom *Ponowoczesność a tożsamość* (Katowice 1997). W *Dwugłosie wstępnym* do tej drugiej publikacji przeczytamy: „Tożsamość stanowi zagadnienie centralne dla myślenia ponowoczesnego, które w różny sposób jest podejmowane przez literaturę, telewizję, film: od relatywizmu postaw i kultur do względnego relatywizmu i nadużywania tego terminu jako manipulacji. W większości rozpraw wskazane perspektywy oglądu przenikają się wzajemnie” (Bożena Tokarz), „[...] był to sprawdzian stanu świadomości wobec nadchodzących wyzwań europejskiego partnerstwa kultur” (Stanisław Piskor). Zatem: wielogłosowość. Swego rodzaju suplementem stała się książeczka *Geny*, dokumentująca *Konfrontacje polsko-morawskie* (Katowice 2000). Potem wydano dwa zbiory serii *Dialog w środku Europy* (Katowice 2001, Czerwionka-Leszczyny 2002). Wymieniam właśnie te książki, gdyż tworzą one – objętościowo większe i mniejsze, ale dobrze dopasowywane – fragmenty debat prowadzonych właśnie w „środku Europy”, uwzględniających analizy zagadnień narodowych (regionalnych) samookreśleń, dialogów prowadzonych oraz projektowanych, kwestii geokulturowych i geopolitycznych. W spotkaniach uczestniczyli pisarze i badacze z Polski, Czech, Słowacji, Słowenii – kontakty pozostały.

W 1992 roku zostało wznowione pismo „Studio” – forum prezentacji interdyscypli-

narnych, na którym (w latach 1981–1986 ukazało się osiem tomów), uwzględniając perspektywę teoretycznych i „praktycznych” reinterpretacji, podejmowano zagadnienia nowatorskich doświadczeń artystycznych XX wieku w literaturze, sztuce, muzyce. Przez lata w naszym katalogu autorskie tomiki sąsiadowały z prezentacjami antologijnymi: najpierw zbiorem przekładów poetyckich *Geografia z wyobraźni* (Katowice 1991), później antologiami *Próba oddechu* (Katowice 1995) oraz *W swoją stronę* (Katowice 2000).

15 lutego 1993 roku zawarte zostało *Wstępne porozumienie* między Zarządem Regionu Śląsko-Dąbrowskiego „Solidarności” i Oddziałem SPP w Katowicach. Zarząd objąć miał mecentem działalność Oddziału, a istotny punkt dotyczył „ustanowienia Literackiej Nagrody »Solidarności« *Książka Roku*” (Korzystam z dokumentów Archiwum Oddziału). Nagroda stała się faktem: po raz pierwszy otrzymał ją w tym samym roku Stanisław Piskor za książkę *Na moście Europy*; 1994 – Stanisław Krawczyk za *Droge*; 1995 – Andrzej Tuziak za *Wariackie papiery*; 1996 – Andrzej Szuba „za twórczość poetycko-przekładową i edycję *Wierszy zebranych Stephana Crane’a*”; 1997 – Renata Zwoźniakowa za *Liście laurowe i bobkowe*; 1998 – piszący te słowa za *Układy sprawdzeń. W kręgu Nowej Fali* oraz Jan Strządała za całokształt twórczości; 1999 – Krzysztof Uniłowski za *Skądinąd. Zapiski krytyczne*; 2000 – Maria Szczesniak „w kategorii dokumentu” za *Idź i zabij!*, wyróżnienie za debiut prozatorski *Czas do namysłu* Krystyna Szubowa; 2002 – Stefan Szymutko za *Nagrobek ciotki Cili* oraz Włodzimierz Paźniewski za *Europę po deszczu*; 2003 – Tadeusz Sławek za całokształt twórczości oraz Wydawnictwo WAM „w kategorii dokumentu” za *Pamiętnik górnik* Edwarda Jelenia.

Wskazać przy tym trzeba dwa rozdziały środowiskowej aktywności: w latach 1993–2005 organizowany był cykl spotkań *Pisarze w szkole*, a w latach 2009–2012 (m.in. we współpracy z katowicką Akademią Sztuk Pięknych reklamowana „city-light-posterami” i kończona spotkaniami autorskimi w chorzowskim Teatrze Rozrywki) *Akcja Literacka*.

4 Antologia *Trzy dekady* ukazuje się w trzydziestolecie istnienia Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddziału Śląskiego w Katowicach. Nie jest wynikiem arbitralnych decyzji – autorzy wskazywali utwory, ich zdaniem, szczególnie ważne w przypadku tego projektu. Nie chodziło, rzecz jasna, wyłącznie o jubileuszowe okoliczności, choć były one impulsem istotnym, zachęcającym do krótkiego postoju i rekapitulacji. Jak wiadomo, „epoka nasza jest epoką antologii” (to słowa Władysława Tarkiewicza z *Antologii współczesnej estetyki francuskiej*), powiedzmy więc wyraźnie, iż zbiór nie rości sobie pretensji do ustalania jakichś kanonów czy udziału w potencjanych bataliach. Pojawia się

w odpowiednim momencie ze swoim znakiem firmowym.

Zasady prezentacji? Mogliśmy pokazać „wizytówki” ważne dla całego dotychczasowego dorobku współuczestników działań Oddziału SPP, lecz mogły pojawić się prezentacje aktualne (świadczenie obecności, odsłonięcie mojego pisarskiego „tu i teraz”), nawet te już „narodzone” lecz publikacyjnie w obiegu czytelniczym jeszcze nieobecne. Każdą prezentację literacką poprzedza nota o autorze zawierająca podstawowe informacje faktograficzne. Ponieważ poeci, prozaicy, eseści, krytycy, literaturoznawcy – skłonni przecież do artystycznych debat – mieli świadomość wydawniczych, „limitowych” ograniczeń, po prostu zapraszają do wspólnej lekturowej wyprawy. Utwory pisarzy nieobecnych były wybierane z myślą o reprezentatywności tekstów, tematach i charakterystycznych motywach.

Przedstawiane „wizytówki” pisarzy różnych generacji sygnalizują istnienie rozmaitych konwencji literackich, dykcji poetyckich i form (granic? możliwości?) narracyjnego zapisu. Nie można śledzić tutaj linii ewolucji, ale zestawienia wierszy z różnych lat pozwalają dostrzec zmiany lub strefy bezpiecznych „postojów”. Aleksander Wat zanotował w *Dzienniku bez samogłosek*: „W poezji dzisiejszej, w odróżnieniu od dawnej, jeden wiersz, choćby najlepszy, niewiele albo i nic nie znaczy! Trzeba iść za swoim poetą od wiersza do wiersza i od cyklu do cyklu. Czy warto sobie zadawać tyle wysiłku? – zapyta czytelnik. Bezwarunkowo warto: niezależnie bowiem od wyniku, jeżeli poeta jest autentyczny, sama droga, sam wysiłek staje się dla czytelnika pracą nad sobą, pokazuje mu inne horyzonty, przeobraża go wewnętrznie w procesie »indywiduacji«, jaką C.G. Jung dostrzeża w praktyce alchemików”. Pisarz zatem, tworząc, odkrywa w swym tekście – wyjaśniał Wat – pewien „nieuświadomiony tajemny nabytek”, a (p)oddający się lekturze czytelnik – uzupełni – dociera do swoich odkryć i samopoznawczych olśnień. Czyba jednak bywa i tak, że jeden wiersz czy narracyjny koncept pozostają z nami, zatrzymujemy je ze świadomością ich osobności, „przyklejają się” natomiast teksty innych autorów.

5 Współtwórcy antologii *Trzy dekady* nie poddawali się schematom, normom, unifikacyjnym kategoryzacjiom. Etyczny wymiar ich (naszej) twórczej obecności, konsekwencja oraz aktywna praca pamięci są oczywiste – kolejne teksty będą świadectwami. Trzydzieści lat minęło, bynajmniej nie „jak jeden dzień”, a rozdział kolejny, podczas tego spotkania, już zapisujemy. ■

Pełna wersja szkicu ukaże się w antologii Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddziału Śląskiego w Katowicach *Trzy dekady*, którą w kwietniu br. opublikuje Biblioteka Śląska.



Słowo po słowie aż po postłowie

O stylu prozy Olgi Tokarczuk

JERZY PASZEK

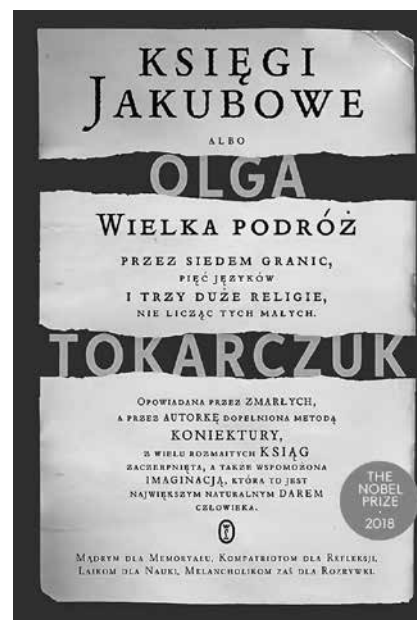
W powieści z roku 2014, czyli w *Księgach Jakubowych albo Wielkiej podróży*, dwa razy przywoływane są cenne definicje zadań pisarzy i celów literatury: poecie Oświecenia, Elżbiecie Drużbackiej, przypisano słowa o tym, że aby „samą płochosć świata” wyrazić językiem, „nie można używać słów zbyt jasnych i oczywistych ani jednoznacznych [...] A słowa i obrazy muszą być giętkie i wieloznaczne, muszą **migotać**, muszą mieć w sobie wiele sensów” (O. Tokarczuk: *Księgi Jakubowe...*, Kraków 2015, s. 564, podkr. J.P.). Fragment pochodzi z paragrafu „Pani Elżbieta Drużbacka do księdza Chmielowskiego, czyli o doskonałości form nieprecyzyjnych”, do którego pod koniec utworu nawiązuje polsko-niemiecki powieściopisarz, Aleksander Bronikowski, w rozmowie z Marią Szymanowską: „Literatura to szczególny rodzaj wiedzy, to... [...] doskonałość form nieprecyzyjnych” (KJ, 28). O polisemii „wszystkich ksiąg, które studiowaliśmy”, a które „były o świetle”, wspomina też autor perseweryującego w całym dziele Olgi Tokarczuk serialu pamiętnikarskiego pt. „Resztki”, Nachman Samuel Ben Lewi z Buska, czyli Piotr Jakubowski: „Prawdą świata jest nie materia, lecz wibracja iskień światła, to nieustanne **migotanie**, które znajduje się w każdej rzeczy” (KJ, 45, podkr. J.P.). Cytowane dzieło jest pięknym przykładem ukazania opalizacji, polifoniczności i **migotania** zdań, zdarzeń i wyrażań w świecie przedstawionym utworu! Chcę zademonstrować owo zjawisko w trybie alfabetycznym.

Na początek powiem o **anachronizmach**. Tekst Tokarczuk zadziwia nas takimi słowami, jak: ranking (KJ, 112), smutas (KJ, 515), tampon (KJ, 135), alert (KJ, 345; nb. jest to palindromiczny anagram nazwiska Trela). Doliczyłbym tu także aluzję do filmu o obżarstwie, czyli do *Wielkiego żarcia*: „Lud będzie zjadał Lewiatana tak długo, aż nasyci swój wielusetletni głód. Będzie wielkie żarcie, niezapomniana ucztą” (KJ, 210; chodzi o film Marco Ferreriego z roku 1973). Czas akcji *Wielkiej podróży* obejmuje przede wszystkim lata życia Jakuba Franka, twórcy ruchu antytalmudystycznego, czyli drugą połowę XVIII wieku, a dopiero na samym

końcu powieści pojawia się wycieczka aż po okres II wojny światowej. Stąd wymienione wyrazy – alert, ranking, smutas, tampon – zdumiewają Czytelników, którzy nie pamiętają o ulubionych celach literatury, propagowanych w omawianym dziele.

Drugim takim zadziwieniem dla tychże Lektorów będą **barbaryzmy**, czyli słowa obce, nieczęsto bawiące w potocznej polszczyźnie. Są to głównie wyrazy z języków: hebrajskiego, jidysz, ladino. Bez objaśnień czytamy więc o adomitach (KJ, 637: „We wsi Lanckorun talmudyści pobili tych swoich heretyków i wnieśli przeciw nim sprawę do sądu o »grzech adomitów«, a sami obłożyli ich klątwą”), o bimie (KJ, 691: „W jakiejś wielkiej bóżnicy wszedł na bimę”), o czulencie i kuglu (KJ, 571: „Aszer pamięta z domu – smakowity kugel, czulent, gdzie zamiast wołowiny są grzyby”), o cheremie (KJ, 625: „trzeba mu pogrozić cheremem”), o chazace (KJ, 574: „dorobili się majątku na swojej chazace”). A to tylko wybrane przykłady z ABC barbaryzmów!

Chiński język także jest wspomniany w *Księgach Jakubowych!* Oto Moliwda, czyli Antoni Kossakowski, „Mówi też na przykład, że imię nadali mu chińscy kupcy, których spotkał w Smyrnie, a którzy handlowali tam jedwabiem i laką. Nazwali go moli-hua, Kwiat Jaśminu” (KJ, 521). Ale najbardziej karkołomna jest szahada, czyli muzułmańskie wyznanie wiary, które spróbuję oddać zgodnie z arabską, stosowną transkrypcją: „Lā ‘illāha ‘illā-llāh, Muhammadun rasūlu-llāh” (KJ, 550; w tłumaczeniu: nie ma Boga prócz Boga, Mahomet jego prorokiem). Tak więc powstaje kwestia, do jakich konkretnych języków odnosi się tytułowe stwierdzenie o podróży „przez siedem granic, pięć języków”; może się wydawać, iż Jakub Frank znał turecki, grecki, polski, niemiecki i hebrajski (ale w trzech wersjach!), więc to te języki (w liczbie od 5 do 7) wchodzą tu w grę. Ale bohaterowie mówią też po francusku, angielsku, rosyjsku, włosku, a na Podolu pewnie po ukraińsku (rusińsku). W południowych partiach dawnej Polski był taki zgiełk dialektów, iż polski ginął w tym tygł, a kasztelanowa kamieniecka Katarzyna Kossakowska



w Rohatynie mogła sobie krzyknąć: „Czy ktoś tu mówi po polsku?” (KJ, 883).

Tokarczuk z talentem lingwisty wyzyskuje to ówczesne mieszanie języków. Dochodzi do makro – i mikrostrukturalnych **dwuznaczności** poszczególnych słów. Zaczę od barchanu. Jest to gruba materia bawełniana, jak to widać w zdaniu: „przyłożył haftowany jedwab o pięćdziesięciu kolorach do szarego barchanu” (KJ, 470). Ale wcześniej w tekście utworu pojawia się Jakub z żydowskiemi przysiewkami, „jakie na weselach wykonuje barchan, dowcipniś, żeby rozbawić gości” (KJ, 702). Niekiedy są wątpliwości, czy autorka zapisuje wyraz zgodnie z polską ortografią: „Włosy przewiązane barwną szmatą” (KJ, 645); „Ciemne włosy splecione w warkocze przewiązała gałgankiem, szmatą” (KJ, 416); „Żadna z jego pacjentek nie mieszka już we wspólnej izbie, nie nosi na głowie szmatę” (KJ, 135–134). Ta konsekwencja zapisu przekonuje Czytelnika, iż mamy tu demonstrację pogranicza dwóch języków, polskiego i jidysz (ale tego musi się sam domyślić!). Podejrzewam również, iż Tokarczuk bawi się onomastyką, pisząc o Międzybożu i o tym, gdzie leży to kresowe Międzyboże, tak dalekie od dolnośląskiego miasteczka Międzybórz! Gdy przedstawia rabina Besza, to w tle migają nam czasownik beszać! A co ma migać przy nazwisku Mordechaja, reb Mordke (KJ, 733)? To są te makrostrukturalne, podspodnie czy subwersyjne opalizacje semantyczne dwu bliskich przestrzennie języków!

Wszak bywają i inne **ekwiwoki**. Dla mnie najciekawsza jest gra słów, polegająca na tłumaczeniu z polskiego na polskie i wykorzystaniu faktu, iż wyraz „duma” może być jednocześnie rzeczownikiem i czasownikiem: „Spczywa na nas ciężar milczenia, masa duma” (KJ, 752); „To jest ciężar milczenia. Masa duma” (KJ 647). Przepiękny kalambur! Gdy na niebie pojawia się ko-

meta, we Lwowie i w Iwaniu nie widać zamieszania. „Horyzont kończy się gdzieś za Lublinem, za Krakowem, na Prucie” (KJ, 470). Dla Jenty „Kometa? Cóż, to pojedyncza jaskrawa nitka” (KJ, 471). Kobiety zajmują się jedwabiem i barchanem, nie myślały o jakowymś „pęknięciu” czy „ciętej ranie”. Nie podejrzewają jakiegos „prucia czy nadprucia”, nie w głowie im „naprucie”, do którego może upoważniać fraza „na Prucie” w wygłoszeniu zdania i akapitu! Nb. *Słownik* Lindego zna czasownik napruc i napruc się. Jakub Frank, choć mieszka nad Menem, to „uparcie mówi na [niego]: Prut” (KJ, 103). Ale czy to tylko taki sentymentalny powrót do rzeki dzieciństwa, czy też aluzja do wieloznacznego określenia „na Prucie”?

Jeśli ktoś uważa, iż poważna autorka tak się nie bawi, to co powie na obraz pożaru: „Od gorąca pękają struny gitar i strzelają napięte skóry bębnów – ogień gra piekielną muzykę, której przysłuchują się przechodnie, do czasu aż z wielką pompą przyjedzie straż pożarna” (KJ, 108). Pompa jest tu oczywistym homonimem: raz jest to „maszyna do tłoczenia cieczy”, a innym razem może też być składnikiem **frazeologizmu**, czyli idiomu „robić coś z pompą”, czyli ‘okazale, wystawnie, pompatycznie’. W *Słowniku współczesnego języka polskiego* Bogusława Dunaja (Kraków 1999, t. 2, s. 95) mamy piękne wyliczenie cech tej drugiej pompy: przesadna wystawność, okazałość, przepych, także napuszoność, sztuczność, ceremonialność. Czy Tokarczuk bierze to wszystko pod uwagę? Uważam, że tak!

Z literą „g” łączy się w *Księgach Jakubowych* przede wszystkim – moim zdaniem – sztuka kabalistyczna, czyli **gematria**. *Wielki słownik wyrazów obcych* Mirosława Bańki (Warszawa 2003, s. 438) informuje, że jest to metoda interpretacji Biblii i wróżenia, [...] opierająca się na przypisywaniu literom odpowiednich liczb i obliczaniu wartości poszczególnych słów tekstu. Tokarczuk cytuje pouczający wykład metody: „Każda litera ma swój równoważnik liczbowy. Alef ma jeden, bet ma dwa, gimel – trzy [...] Ojciec to po hebrajsku »aw«. [...] Matka to »em«, czyli alef-mem [...] ojciec ma wartość liczbową 3, bo alef ma 1, a bet 2. »Matka« ma wartość 41, bo alef to 1, a mem to 40. I teraz: jeżeli dodamy do siebie oba słowa, »matka« i »ojciec«, to wyjdzie nam 44, a to liczba słowa »jeled«, czyli dziecko!” (KJ, 586). Taka kabała jest nierzadko przywoływana w omawianej powieści, gdy toczą się zażarte dyskusje religijne, a jedni polemisić innym adwersarzom grożą „cheremem”, czyli straszną klątwą (np. „obysy szczeł!”). O ile mnie pamięć nie zawodzi, to ani Zdzisław Kępiński (*Mickiewicz hermetyczny*, Warszawa 1980), ani Wiktor Weintraub (*Gematria w funkcji chwytu literackiego. Mickiewiczowskie „czterdzieści i cztery”*. „Pamiętnik Literacki” 1980, z. 4) nie brali pod uwagę wartości liczbowych „ojca” i „matki” w dociekaniu prawdy o tym, „co Poeta chciał powiedzieć”. Nb. Poeta ten jest ukryty we frazie „bard w jednym z nadbałtyckich krajów” (KJ, 31).

Hebrajszczyzna jest bardzo skomplikowana w zapisie, bo notuje się spółgłoski, a pomija samogłoski, dodając lub pomijając kropki, mające ułatwić odgadnięcie, o co chodzi. Tu najlepiej będzie przytoczyć znów pokretny wywód antytaalmutysty: „Krysa [...] zawiśle udowadnia, że Talmud domaga się krwi chrześcijańskiej, gdyż słowa »jain udy« rabinowie tłumaczą jako »wino czerwone«, tymczasem w hebrajskim piśmie tymi samymi literami (alef, dalet, wow, mem) zapisuje się [...] słowo »udy«, czyli czerwony, jak i słowo »edy«, czyli »chrześcijanin«. Oba słowa różnią się tylko u spodu pierwszej litery alef kropkami, zwanymi sygiel i kumec, z których powodu raz czyta się udy, a raz edy” (KJ, 430–429). Nawet gdy papież wysłał do Polski bullę w obrobie ortodoksyjnych żydów, oznajmiając, iż oskarżenia o zabijanie niemowląt katolickich są bezpodstawne, to i tak – jak widać – kabalisci „wiedzą lepiej”!

Ilustracje w *Wielkiej podróży* najczęściej pokazują mapy opisywanej części Europy, ale mogą przedstawiać również dobrze portrety bohaterów (Jakuba Franka i jego córki Ewy), schematy kabalistyczne, podobizny dzieła *Nowe Ateny* Benedykta Chmielowskiego z lat 1745–1746 (nb. tę polską encyklopedię zestawiła autorka z wielotomowym dziełem Johanna Heinricha Zedlera [powinno być: Zedlera] pt. *Universal Lexicon*, KJ, 140–141) czy *Orbis Pictus* Comeniusa (wydanie polskie pt. *Świat zmysłowy w obrazach*, 1667), gdzie mamy pod nagłówkiem paragrafu „Upupa dicit” wyjaśnienie, iż to ptaszek ‘dudek duda’ (KJ, 296).

Jenta. Bardzo interesująca postać utworu, bo staje się uosobieniem nieśmiertelności. Jest córką Majera z Kalisza, brata Zalmana Naftalego Szora (KJ, 765, 867). Na weselu w Rohatynie w 1752 roku jest najstarszą uczestniczką uroczystości, ale i tak przeżyje wszystkich gości weselnych, patrząc na nich pilnie – chociaż z powodu jej letargu umieszczono ją w tajemnej jaskini, gdyż nikt nie chciał się nią opiekować – z mrocznego miejsca spoczynku. Trzeba powiedzieć, iż temat nieśmiertelności pojawia się również we wcześniejszej powieści Tokarczuk, a mianowicie *Domu dziennym, domu nocnym* (1998). Kobiety zjadają tu muchomor, a nawet wypiekają z tych grzybów torty, a owe delikacje im nie szkodzą! Narratorka wspólnie ze swoją sąsiadką, Martą, zjadają się „słodkim deserem z purchawek” (O. Tokarczuk: *Dom dzienny, dom nocny*, Wałbrzych 1999, s. 210). Czytamy ze zgrozą: „A ja jadłam wszystkie grzyby. [...] I nigdy nie umarłam, nigdy nie zdarzyło mi się umierać od grzyba” (ib., 209). Czyli kobieta jako siła kosmiczna (a nawet Bóg; zob. słowa Paschalisa, mnicha piszącego żywot legendarnej świętej Wilgefordis: „Bóg jest kobietą, która nieustannie rodzi. Istnienia wysypują się z niej bez przerwy. [...] To jest istota Boga”, ib., 211). Zresztą Marta na zimę tajemniczo znika, by pojawić się na wiosnę. Jest to tajemnicze i tajne; nb. **tajne** to anagram imienia **Jenta**!

Konstrukcja *Ksiąg Jakubowych* jest zadziwiająco przemyślana i misterna. Mamy, po pierwsze, barokowy, staroświecki tytuł całości, zajmujący całą stronicę! Zalotnie autorka aluduje do formuł księdza Benedykta w tym złośliwym przypomnieniu tomu poprzednika: „Mądrym dla memoriału, kompatriotom dla refleksji, laikom dla nauki, melancholikom zaś dla rozrywki” – „Mądrym dla memoriału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki” (KJ, 844). Po drugie, jawią się u dołu stron kustosze, czyli zapowiedzi inicjalnych słów następnej karty. Po trzecie, paginacja jest „wsteczna”, czyli zaczyna się od 912 (ściślej: 903–902), a kończy na 5–4, bo 3, 2, 1 są nieliczbowane! Po czwarte, wyczuwam aluzję strukturalną do *Finnegans Wake* Jamesa Joyce’a w tym, iż sam środek powieści, stronica 456, przypadkowo (sic!) poświęcony został paragrafowi „O Dwójni, Trójcy i Czwórcoy”!!! Czyli druga część utworu – i wte, i wewte – zaczyna się analizą boskiej symboliki liczb: „Bo czymże jest w istocie nasze zadanie, jak nie ustalaniem równowagi między jednością Boga a wielością świata przezeń stworzonego, i my sami, ludzie, czyż nie jesteśmy porzuceni w tym »między« – między Jednym a światem podziałów. To nieogarnione »między« ma swój punkt krytyczny: Dwójnię” (KJ, 456). Jeśli u Joyce’a chodziło o obraz globu, południki i równoleżniki, o kulistość narracji, to u Tokarczuk mamy podjęty jeszcze bardziej uniwersalny temat: początku i końca świata, roli sił boskich w tym kosmicznym porządku. Narracja *Ksiąg Jakubowych* oparta jest na słowie „tikkun” (także „tikun”), czyli na cudzie i „znaku, że każdego dnia świat powstaje od nowa i daje nam nową szansę na tikkun” (KJ, 677). I nie przeszkadzają nam laptopy, kreujące kalambur o zwierzęcych odruchach! To już wolę anagramy typu NUTKI TUNIK. Nb. rabin z Bohorodczan ma na imię Nutka (KJ, 436). A czy **Bohorodczany** nie spoglądają tajemnie na **Międzyboże**? O dalszych literach alfabetu (L–Ż) trzeba będzie napisać w innym czasie.

Postówie

Żeby nie odstawać od przedmiotu badań (nieucukrowanego, bo Autorka jest jeszcze dość młodą Kobieta!), pokuszę się o kodę, nawiązującą do nagłówka eseju. Otóż napisałem tam: po postówie. Jak to rozumieć? Że na końcu będzie to właśnie „Postówie”. Ale może i tak, by wyzyskać całą tę frazę, z migocącym podolskim popem (a taki też bywa w *Księgach Jakubowych*): pop + osłowie? Któż oni? Adeptci frankizmu? Lepiej: Pop o Słowie (Bożym)! A migotający neologizm „popostówie” (jak wielosłowie, pustosłowie) chyba jest w tym miejscu pomysłem niepolitycznym, czyli nieostrożnym. ■

Spod znaku Księżyca

KSIĄŻKI

MARIAN KISIEL

Marek Lobo Wojciechowski urodził się w roku 1959. Przez długi czas drukował swoje wiersze na portalach internetowych, potem w prasie literackiej. Związał się z Robotniczym Stowarzyszeniem Twórców Kultury w Gorzowie Wielkopolskim. Tam wydał w roku 2006 dwa zbiory wierszy *Z wędrówek po okolicy* i *Suplement* (nominacja do Wrocławskiej nagrody Poetyckiej Silesius). Trzeci tomik *Ektoplazma* (2009) został nagrodzony Lubuskim Wawrzynem Literackim.

W roku 2017 poeta wydał *Krwioobieg*. Karol Maliszewski tak pisał o tej książce: „Każdy wiersz w tej książce wydaje [...] naznaczonym koniecznością jednoznaczowym aktem prawdy. Prawdy, która powstaje na przecięciu spontaniczności wyrazu i konieczności formy. Surowości i »wychodzenia na miękko«, bo każda foremka jakoś jednak zniekształca. Te wiersze mówią o możliwości opowiadania własnego życia bez zniekształceń i zmiękczeń, o drapieźności, którą trzeba zachować do końca – ze świadomością korygującej wszystko formy i wbrew niej. Stąd siła tej poezji, jej budowana na spięciu i sprzeczności dynamika. I choć w końcówce pada zdanie »sztuka jest umiejętnością wiarygodnego kłamstwa«, to brzmi obco w tak nacechowanym, męskim, rozliczeniowym, gorzkim krajobrazie”.

Teraz poeta wydał *dzień kreta*. Czytając tę książkę, stajemy wobec kogoś, kto mierzy się z rozpaczą i nie chce o tym powiedzieć wprost. W świecie wierszy Marka Lobo Wojciechowskiego bohater liryczny (a czasem podmiot) „wygrzebuje z siebie siebie” (*dzień kreta*, s. 5). „Wygrzebuje” w świecie społecznym i świecie prywatnym. Wszystko jest tutaj „także”, czyli – samozwrotne. Bohater (podmiot) jest tym, który patrzy i tym, który doznaje. Obserwując to, co wokół niego, sam jest przedmiotem obserwacji. „To tylko my, coraz dalsi” (*szkic, przestrzenny*, s. 48). Doświadczając bliskości drugiej osoby, czuje jej (swoją) zblednięcie (*ultima thule*, s. 18). Bohater (podmiot) „bywa w miejscach, pomiędzy” (*dzień kreta*, s. 5). Nic nie jest mu obce, albo – wydaje nam się, że nie jest mu obce.

Wypowiada się w swoim i nie swoim imieniu. Dlatego raz jest bohaterem, a raz podmiotem, lirycznym „ja”. Ustawia się w różnych sytuacjach, zmienia sposoby mówienia. Niekiedy przyjmuje pozycję mentora (*no dobra, wchodzisz*, s. 10), kiedy indziej zaś kogoś złamanego przez życie (*rozdanie*, s. 11). Czasem wystarczy mu samo oglądanie (*starów*

ka, s. 12), w czym przypomina Marka Hłasę z *Pierwszego kroku w chmurach*, czasem dodaje do tego swój – milczący – komentarz (*zderzenia*, s. 15).

W tym świecie – mówi podmiot – „Coś się jawi nagle / i nie wiem, czy ja piszę, czy jestem pisany” (*z Kołakowskim, w urodziny*, s. 17). W stanie rozszczepienia obrazu rzeczywiste i literackie nakładają się na siebie, wiążą z sobą i nie mogą się bez siebie obejść. „Całość robi wrażenie małej dbałości / o szczegóły, ale jest w miarę wiarygodna” (*skrawki*, s. 39). Co stanie się, gdy coś się skończy i zaczniesz inne? Gdzie będą ci, których wciąż określamy zaimkami osobowymi? „Jak się czują inni bez nas?” (*coraz mniej*, s. 49). „Gdy jesteś komuś światem / całym i ten świat zabierasz – cóż zostanie / po tobie?” (*wychodzisz, drzwi za sobą zamykając*, s. 23).

Wrzuceni w świat, znamy jego przestrzeń i doświadczamy w nim czasu. Przestrzeń nas ogarnia, nawet jeśli nie zawsze uwodzi. Czas nas uwodzi, ale nie chcemy, by nas ogarnął. Jesteśmy tu, byliśmy tam, gdzie będziemy? To pewne: „przeszłość / umiera rzadko, a do końca / nigdy” (*balans*, s. 28). Czy rzeczywiście jednak „nie dowiesz się nigdy, / co będzie” (*wychodzisz, drzwi za sobą zamykając*, s. 23). „Śnieg zasypuje drogi, liże / stare rany splekanego asfaltu” (*next, more next*, s. 29). „Z tą wiedzą / jakby trochę łej” (*korozja*, s. 46).

Rozszczepienie jest stanem bytu, przedmiotem refleksji. Bohater/podmiot poezji Marka Lobo Wojciechowskiego nie wchodzi w rolę – jakby powiedział Søren Kierkegaard – „ulubięca etyki”, czyli bohatera tragicznego. Nie sięga po otwartość piętnującą los. Nie jest też bohaterem estetycznym, zatajającym prawdę egzystencjalnych zdarzeń. Nie sięga po środki ostre, choć powie w odruchu rezygnacji: „wyszło jak zwykle, / pospolicie, do wyrzucania” (*skrawki*, s. 39); nie zaśnania się zbędną metaforą, choć i po nią sięgnie, pisząc o nieuchronnym oddaleniu: „Twoja koszula – / plama na płótnie nocy” (*szkic, przestrzenny*, s. 48). Balansuje na granicy stylów. Będąc współczesny (rzeczywisty), chce być poetycki.

Wojciechowski pragnie intelektualnie opanować żywioł istnienia, wyzbyć się zbędnych emocji. Choć jest to poezja o człowieku i jego doczesności, nie pokazuje jednostki jako bytu cielesnego, zmysłowego, widzianego od trzewi. Uczucia – choć ujawniane – chowane są pod podszewką słów. Poeta jest kulturalny, bo rzeczywistość jest brudna. „I choć spa-



MAREK LOBO
WOJCIECHOWSKI
DZIEŃ KRETA

dają gwiazdy, / do Betlejem nie dojdzie nikt” (*zsyłka*, s. 47); „i koniec pieśni nie jest eufemizmem, lecz / pojedynczym, piękniwym dźwiękiem” (*przejście*, s. 52).

W wierszu *atlantyna* przeczytamy: „straciłem dwie rzeczy: / cel i sens (s. 31), ale w tym wyznaniu podmiotu nie ma ani otwartości, ani zatajenia. Jest natomiast coś, co można nazwać zabłąkaniem, nieświadomością rozpacz. „Jeżeli rozpacz jest zabłąkaniem, to nawet jeżeli się o tym nie wie, zabłąkanie pogarsza stan błędzenia” – pisał Kierkegaard o człowieku w jego doczesności. „Nie ma tego złego, co na dobre? / A jak było dobre – kiedyś – co teraz?” – pyta Wojciechowski (*afazja*, s. 44). Odpowiedzi poszukuje w rozmyśleniach nad doczesnością i wiecznością.

W *dniu kreta* wieczność nie budzi lęku, a doczesność nie spotyka się ze złorzeczeniem. Pytaniu: „Na kim się wesprzesz, gdy odejdziesz?” (*coraz mniej*, s. 49), towarzyszy pewność, że zawsze „pójdziesz sam, boso, na ślepo” (*przejście*, s. 52). Chciałoby się powiedzieć, że bez balastu i z ufnością, bo choć „jutro nas zje” (*zwierzę*, s. 42), to przecież stale wędrujemy w stronę bramy, która jest „nieuchwytnie znajoma / jak coś, co masz na końcu języka” (*przejście*, s. 52).

Poezja Marka Lobo Wojciechowskiego jest mądrą próbą szukania odpowiedzi na pytania, które są stawiane zawsze tak samo, choć przez wciąż innych ludzi. Są to pytania wyobrazni w bezustannym napięciu. Poszukując jasności, spotkają się z ciemnością. Noc wciąż i noc oczyszcza. „Nikt nie wgląda / do końca, ciemność jest łaskawa, tylko księżyc – / po trosze obojętny, po trosze bezradny” (*sawanny*, s. 22). Wiersze w *dniu kreta* są spod znaku księżyca. ■

Marek Lobo Wojciechowski: *dzień kreta*. Wydawnictwo Kwadratura, Łódź 2019, 54 s.

Opowieści z krainy nadodrzańskiej

KSIĄŻKI

GRAŻYNA BARBARA SZEWCZYK

Opracowana przez Renatę Dampc-Jarosz i Hannelore Scholz-Lübbering antologia tekstów niemieckich autorów z obszaru Środkowej i Dolnej Odry, jest zbiorem kilkudziesięciu ludowych podań, legend i baśni oraz kilku literackich utworów, połączonych historią, tradycją i duchową kulturą regionu. W historiografii niemieckiej nosi on nazwę Oderbruch, w polskiej Kotlina Freienwaldzka i jest dzisiaj częścią zarówno kraju związkowego Brandenburgii, jak i dwóch polskich województw: lubuskiego i zachodniopomorskiego. Jak większość lokalnych opowieści, tak i te zaprezentowane w zbiorze związane są tematycznie z historycznymi i społeczno-obyczajowymi wydarzeniami, upamiętnionymi przez kronikarzy i przechowywanymi w pamięci potomnych. W przekazie faktów nie sięgano poza najbliższe otoczenie. Relacje anonimowych autorów i tych, którzy publikowali pod własnym nazwiskiem, opowiadają o zasłużonych w obronie swoich wiosek, osad i miasteczek bohaterach (np. *Komendanci twierdzy Kostrzyn*), o miejscowych bitwach stoczonych w latach wojny trzydziestoletniej czy w czasie wojen napoleońskich, niekiedy i o cudach towarzyszących zwycięstwom. W galerii postaci, przeważnie wyższych rangą wojskowych, pojawiają się także „walczące w męskim mundurze kobiety”, spośród których „żołnierka spod Dobroszyna” została uwieczniona legendą.

Można przyjąć, iż zasłyszane i opowiedziane przez kolejne generacje narratorów „historie nadodrzańskie” były przetwarzane i zmieniane w zależności od kontekstu kulturowego i potrzeb adresata. Ten zaś nie zastanawiał się, które z nich oparte były na prawdzie, a które na zmyśleniu, ponieważ to, co wydawać się mogło niezrozumiałe i niewiarygodne, wyjaśniano językiem prostym i sugestywnie, wplatając w fikcyjną opowieść informacje rzeczywiste, np. nazwy miejscowości czy nazwisko bohatera. Ponieważ odbiorca opowieści był zainteresowany historią swojej okolicy, opisywano zdarzenia, które były dla niego najważniejsze, np. klęski, pożogi, epidemie, napady obcych wojsk, wszystko co zmieniało codzienność małych społeczności. Można więc z zgodzić się ze zdaniem wybitnej polskiej etnologiki Doroty Simonides, która uważa, iż „mikrohistoria wyznaczała tematykę podań historycznych”, ponieważ „mało ważne dla obiektywnej wiedzy historycznej opowieści były dla konkretnej społeczności wyrazem jej historii lokalnej”.

W korpusie wybranych przez autorki podań historycznych uwagę zwraca otoczona uwielbieniem i szacunkiem narratorów postać króla pruskiego Fryderyka Wielkiego. W wyidealizowanym wizerunku władcy podkreśla się jego cnoty, np. męstwo, bohaterstwo, umiłowanie poezji i muzyki czy poczucie sprawiedliwości – cechy, które charakteryzują go również w śląskich anegdotach i w niemieckiej prozie „polsko-niemieckomorawskiego pogranicza”, gdzie nazywano go żartobliwie „Starym Frycem”. Nie da się jednak ukryć, iż historyczna postać panującego traci w lokalnych opowieściach na wyrazistości, stając się kliszowata i ahistoryczna. Fragmentaryczna wiedza o panującym, a jednocześnie stała jego obecność w ustnych przekazach ludowych, sprzyjały powstawaniu mitów. Regionalni twórcy chcieli w nim widzieć kreatora systemu praw i wartości, z którymi się identyfikowali i które rządziły życiem społeczności w pruskiej części Śląska czy w Brandenburgii. Prezentowane w antologii teksty z postacią króla (niekiedy w tle) pokazują, jak obrazowy i emocjonalny był charakter wyobrażeń niemieckich autorów o Fryderyku Wielkim i jak bardzo różnił się od ocen i sądów polskich opowiadaczy.

Z innymi tematami zaznajamiają „opowieści nadodrzańskie” niemieckich pisarzy 19. i 20. wieku, np. poety epoki romantyzmu Ludwiga Tiecka, autora powieści mieszczańskiego realizmu” Theodora Fontane czy znanych autorów dwudziestego wieku Bertolta Brechta, Gottfrieda Benna i romanisty Victora Klemperera. Fontane zaprasza czytelnika do odbycia wycieczki do „historycznego miejsca” Dobroszyna, sławiąc jego piękne otoczenie, park krajobrazowy, przede wszystkim zaś architekturę zamku, wystrój wewnętrzny i imponujące, dobrze zachowane zbiory sztuki. Brecht natomiast upamiętnia w wierszu pt. *Sonnenburg* (w polskim przekładzie zachowuje rymy, zaciera jednak krytyczną polityczno-społeczną wymowę oryginału) postacie więźniów politycznych niemieckich przeciwników Hitlera osadzonych w sonnenburskim więzieniu karnym. Opublikowany w antologii fragment biografii Gottfrieda Benna, utrzymany jest już w zupełnie innej konwencji i można go odczytywać nie tyle jako wspomnienie szczęśliwego dzieciństwa spędzonego w Czelinie koło Mieszkowa, ile raczej jako hołd złożony ziemi rodzinnej i „starym pruskim rodem”, których „nazwiska, jak pisze autor, noszą ulice i aleje w Berlinie”.



W kręgu opowieści autobiograficznych znalazły się również fragmenty wspomnień opowiedziane przez zapomnianych dzisiaj autorów z terenów Nadodrza, miejscowych nauczycieli i regionalistów. Współpracując z popularnymi w pierwszej połowie XX wieku kalendarzami, np. z wydawanym w Chojnie „Königsberger Kreiskalender”, starali się zapisywać zdarzenia z własnego życia i z dziejów okolicy i wyjaśniać także pochodzenie nazw miejscowości.

Najciekawszy dla polskiego czytelnika jest wybór podań, legend i baśni, zamieszczony w ostatniej części antologii, zatytułowanej *Światy fantastyczne*. Odnaleźć w nim można opowieści ilustrujące świat ludowych wierzeń nadodrzańskich społeczności, wypełniony wątkami, wartymi transformacji literackich. Przeważa w nich narracja w trzeciej osobie, obudowana różnorodnymi środkami stylistycznymi uwiarygodniającymi to, co niemyślnie. Przeważnie mamy do czynienia z relacjami zaczerpniętymi z jakiegoś niezidentyfikowanego źródła (dawno, dawno temu, dawniej) przypominającymi opowieść baśniową o spotkaniach człowieka z istotami demonicznymi, z diabłem, koboldem, wilkołakiem, południcą, rusałką, ze złem i jego personifikacjami. Podobnie jak w śląskich przekazach ludowych, tak i w nadodrzańskich opowieściach najczęściej pojawia się diabeł, pozostawiając w otoczeniu ślady swojej niszczycielskiej działalności. Moralna nauka płynąca z opowieści ma kształtować postawy ludzi i pokazywać jaka jest kara za tolerowanie zła.

Natomiast w grupie demonów wodnych nie ma śląskiego utopca. Jego miejsce zajmują „wciągające do zimnej toni” rusałki, np. rusałka Gula czekająca na młodych chłopców, czy przebiegły i wszechmocny bóg rzeki Odry Viadrus oraz jego ulubiona, tragicznie zmarła rusałka Odrasine. W podaniach pojawiają się demony domowe (koboldy), ludzie o nadprzyrodzonych właściwościach, niekiedy dziwne, zaczarowane przez diabła postaci i zwierzęta (np. pani z głową osła, księżniczka ze świńskim ryjem, czarny koń.). Opisy nadzwyczajnych wydarzeń rozgrywających się w róż-

nych miejscowościach, przeplatane są historiami o rozbójnikach, walkach rycerzy ze smokiem, legendami o zjawach, zaczerpniętych księżniczках, zaklętych chłopcach czy skłóconych braciach. Niektóre z nich wymagają komentarza, by móc zrozumieć stosunek autorów, pochodzących z grup o różnym statusie społecznym do dziedzictwa przeszłości, do podłoża historycznego, tradycji i mitów. Autorki antologii z myślą o polskim odbiorcy (poprzednie jej wydania, niemieckie oraz dwujęzyczne adresowane były przede wszystkim do niemieckich czytelników) dołączyły do wybranych tekstów indeksy miejscowości i wyjaśniające przypisy, pozwalając poruszać się w gąszczu obcych nazw miejscowości, nazwisk postaci i historycznych wydarzeń, jednak krótki wstęp pozostawia pewien niedosyt. Refleksja o kulturze symbolicznej, języku i wartościach łączących członków nadodrzańskich społeczności we wspólnotę pozwoliłaby odczytywać podania i opowieści lokalne nie tylko tekstocentrycznie,

lecz także w wielu innych, np. społeczno-antropologicznych, kontekstach.

Można ubolewać, iż brak odpowiedniego materiału polskiego, a przede wszystkim wspólnego usystematyzowania czy wspólnej koncepcji jest przeszkodą do podjęcia studiów porównawczych nad polskimi i niemieckimi podaniami wierzeniowymi i historycznymi z nadodrzańskiego obszaru. Historie lokalne prezentują bardzo dużą różnorodność i odwołują się najczęściej do dziejów regionu, jego kultury duchowej. Sytuacja społeczna i kontekst wierzeniowy w regionie Środkowej i Dolnej Odry w poszczególnych etapach historii niemieckiej i polskiej są jednak nieporównywalne.

Antologia Renaty Dampc-Jarosz i Hannelore Scholz-Lübbering zasługuje niewątpliwie na uwagę polskiego odbiorcy. Po pierwsze zaznają ją z bogactwem tematów i wątków podaniowych, z legendami i historiami lokalnymi usytuowanymi w niemieckiej tradycji piśmienniczej począwszy od średniowiecza do końca drugiej wojny

światowej, po drugie pokazuje, iż określone wartości nadodrzańskiej kultury np. pielęgnowane zwyczajnie, sposoby przekazu tradycji i objaśniania obrazu świata oraz wierzenia, można postrzegać jako wyznaczniki jej odrębności i tożsamości mieszkańców regionu. Kategorie folkloru nie można jednak zamykać w określonych ramach historycznych. Otwartym pozostaje pytanie, czy zebrane w tomie niemieckie podania mogą dzisiaj odzywać w innej formie, nabierając, jak ma to miejsce we współczesnej śląskiej kulturze ludowej, nowych znaczeń i pełniąc inne niż dawniej funkcje. ■

Renata Dampc-Jarosz, Hannelore Scholz-Lübbering: *Nadodrzańskie opowieści. Antologia tekstów niemieckich autorów z obszaru Środkowej i Dolnej Odry przed 1945 rokiem*. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2019, 173 s.

Rzeczywistości „nowej sztuki”

KSIĄŻKI

PAWEŁ MAJERSKI

Wsygnowanym przez Jerzego Malinowskiego wstępie *Od redakcji* pojawia się informacja, iż otrzymujemy tom pierwszy serii „projektowanych antologii i opracowań światowej sztuki” – od XIX wieku do współczesności. Trafiają zatem do czytelników *Manifesty polskiej awangardy artystycznej: Formiści – Bunt – Jung Idysz 1917–1922* w postaci „Źródeł do Dziejów Sztuki” (polskiej podserii A).

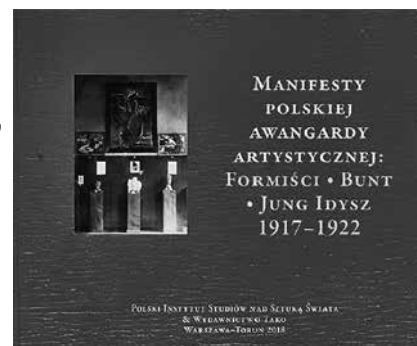
Trzy właściwe części publikacji to: *Formiści* (napisana przez Małgorzatę Geron), *Bunt* (autorstwa Jerzego Malinowskiego), *Jung Idysz i żydowskie środowisko „nowej sztuki” w Warszawie* (tego samego badacza). Poprzedzone są one studium o manifestach, które staje faktograficznym, encyklopedycznym przeglądem najważniejszych ośrodków artystycznych „swojego czasu”, z ogromnym rejestrem nazwisk, wydarzeń, projektowanych i realizowanych przedsięwzięć. Paryż, Monachium, Berlin, Wiedeń, Kraków, Lwów, Poznań, Warszawa, Łódź, Wilno – tu działo się wszystko to, co mogło pozwolić na zaistnienie nowych koncepcji, zmierzanie się konwencjami, które już „pękały” i, bardziej lub mniej opornie, pozwalały na awangardowe gesty.

Działalność Formistów zamykana jest w latach 1917–1922 (pokaz Grupy Formistów F9 oraz Ekspresjonistów/Formistów Lwowskich). Małgorzata Geron rekon-

struuje dzieje formacji, w przedsięwzięciach której działało „ponad trzydziestu artystów”. W te dzieje wpisane są, między innymi, czasopismo „Formiści”, krakowskie Wystawy Niezależnych, publikacje Leona Chwistka, Tytusa Czyżewskiego, Leona Chwistka, Konrada Winklera, Stanisława Ignacego Witkiewicza. Połączenie plastyki i sztuki słowa wiązało się z koncepcjami (i konceptami) artystów formy, teoriami wielopłaszczyznowymi.

Pierwszą wystawę Buntu można było oglądać 1 kwietnia 1918 roku. W swojej części książki Jerzy Malinowski zwrócił uwagę na ówczesną „interpretację historii sztuki jako walki dwóch ponadczasowych tendencji – impresjonizmu i ekspresjonizmu”. Tu przywołany został Stanisław Przybyszewski z *Powrotną falą...* oraz Jerzy Hulewicz z tekstem *My*. W obszarze zainteresowania współautora książki sytuują się rozmaite teksty zamieszczone na łamach „Zdroju” i rozmaite zagadnienia, choćby te związane ze sztuką abstrakcyjną czy „motywami rewolucyjnymi”.

Trzecią częścią książki jest szkic Jerzego Malinowskiego o Jung Idysz – grupie, która najprawdopodobniej uzyskała swój „kształt ostateczny” w 1919 roku, w Łodzi. Malinowski sięga po teksty Jankiela Adlera i Mojżesza Brodersona, dla których „Nowa sztuka XX wieku ma charakter symboliczny”, dla których ważny



okazywał się ekspresjonizm i futurizm, a najogólniej rzecz ujmując: tendencje nowatorskie, modernizujące formy przekazu i wyrazu. W skład grupy wchodził, między innymi, Henryk Barciński, Wincenty Brauner, Ida Braunerówna, Marek Szwarz. Co ważne, dzięki lekturze tekstu Malinowskiego powracamy do kwestii miejsca obecności artystów młodego pokolenia żydowskiego, kulturowych relacji, wyborów i samookreśleń.

Właściwie zawarty w tytule recenzji wyraz rzeczywistość, podobnie jak „nowa sztuka”, mogłby znaleźć się w cudzysłowie. „Nowa Sztuka” uokreśla historyczność pewnego zjawiska, a zbliżenia do rzeczywistości kazały odbywać drogę ku niereczywistościom, myśleć o twórczych transpozycjach. ■

Małgorzata Geron, Jerzy Malinowski: *Manifesty polskiej awangardy artystycznej: Formiści – Bunt – Jung Idysz 1917–1922*. Wrocław–Toruń 2019. [Seria: *Źródła do dziejów sztuki*. Red. Jerzy Malinowski. T. VI, A. Wyd. Polski Instytut Studiów nad Sztuką Świata & Wyd. Tako].

Morcinek jako poseł

KSIĄŻKI

KATARZYNA TAŁUĆ

Listy, autobiografie, pamiętniki, dzienniki od zawsze fascynowały. Siegamy po tego typu dokumenty z pewnym dreszczem emocji, mając nadzieję, że dowiemy się z nich czegoś, co powstawało w ukryciu, czegoś fascynującego, wstydliwego, nawet obrazoburczego, a co ostatecznie pozwoliłoby nam lepiej poznać nadawcę, ale też adresata listu, autora autobiografii lub pamiętnika. Socjologia społeczna, psychologia głębi, psychoanaliza starają się odkrywać zarówno złożone przyczyny tworzenia owych dokumentów osobistych, jak i tłumaczą powody, dla których człowiek kreuje swój obraz i uwiecznia go na kartach papieru czy współcześnie w formie zapisu elektronicznego. Obraz ten niejednokrotnie daleki jest od tego utrwalonego w pamięci innych ludzi lub tego, jaki wyłania się z lektury dokumentów *stricte* historycznych. Gdzie zatem poszukiwać prawdy o człowieku? Czy w dokumentach urzędowych pozbawionych pierwiastka intymności, opracowaniach badaczy starających się bezstronnie zaprezentować portret danej osoby, a może w zapiskach osobistych, indywidualnych będących świadectwem prywatnej strony życia? Czy próby uchwycenia czasu przeszłego lub teraźniejszego w autobiografii, pamiętnikach, listach naznaczone subiektywizmem ich autora należy inaczej odczytywać, z większą dozą podejrzliwości, z przeświadczeniem, że ów utrwalony w tekstach obraz rzeczywistości nie jest odbiciem, a tylko rekonstrukcją – tworem tak naprawdę istniejącym wyłącznie w umyśle piszącego? Na te pytania musi sobie odpowiedzieć każdy, kto sięga po edycje listów, wydania pamiętników lub autobiografie. Lektura zwłaszcza korespondencji mnoży te pytania, ponieważ listy w większości mają konkretnego adresata. Zatem obraz utrwalony w takiej wypowiedzi świadczy nie tylko o jego autorze. Nadajemy bowiem korespondencji formę, mając na uwadze osoby, do których piszemy. Dobieramy słowa, kreślimy odpowiedni nagłówek, zastanawiamy się nawet nad rodzajem papieru, a współcześnie w zapisie komputerowym dobieramy czcionkę, jej wielkość. Rozważamy wreszcie, czy nie dołączyć do listu dodatkowych elementów, artefaktów. Nadawca zatem wpisuje w swój list wizerunek adresata, a później czytelnik jako osoba „trzecia” rekonstruuje owe wizerunki, tak samo jak obraz rzeczywistości utrwalony w treści.

Gustaw Morcinek pisał dużo listów. Jego korespondencję czyta się jak dobrą literaturę. Dodatkowo, pozwala ona na poznanie go nie tyle jako pisarza, ile jako człowieka: ze wszystkimi jego wątpliwo-

ściami, troskami, lękami i traumami. Wystarczy wymienić *Listy spod morwy*, *Listy z mojego Rzymu* pisane po wyzwoleniu z obozu koncentracyjnego i stanowiące swoistego rodzaju rozrachunek z tym mrocznym czasem. Pisarz, będąc w obozie w Dachau, także utrzymywał kontakt listowny ze światem zewnętrznym. Korespondencja ta świadczy o wyjątkowej więzi łączącej autora *Wyrąbanego chodnika* z siostrą Teresą, o jego woli przetrwania i nadziei na koniec koszmaru, w jakim się znalazł.

Epistolografia dotycząca pisarza ze Śląska powiększyła się o kolejny tom. Tym razem czytelnik otrzymał listy pisane do Gustawa Morcinka i to wyjątkowe, bo adresowane do pośła Gustawa Morcinka. *Działalność poselska Gustawa Morcinka, czyli katalog ludzkiej biedy* odsłania kolejny fragment oblicza pisarza i to istotny, ponieważ w powszechnej opinii, nadal krzywdzącej autora *Czarnej Julki*, jest on przedstawiany przede wszystkim jako ten, który przemianował Katowice na Stalinogród. Gustaw Morcinek był posłem na sejm w latach 1952–1956, chociaż wcale nim zostać nie chciał, jak pisał do Jana Kuglina w sierpniu 1952 roku, na 2 miesiące przed otrzymaniem legitymacji poselskiej: „Pomyśl sobie, w okresie gdy się zapowiada dla mnie największa robota, trzy powieści zamówione, to zaczyna krążyć pogłoski, że będę posłem do sejmu z ramienia Stronnictwa Demokratycznego. O horror! Ja, a poseł! Będę się bronił mocno, bo nie mam ochoty, aczkolwiek to zaszczyt i tak dalej” (s. 11). A jednak zgodził się posłować, a o okolicznościach tej decyzji piszą we wstępie do niniejszej edycji listów Krystyna Heskaj-Kwaśniewicz i Lucyna Sazdikowska. Ta książka, bardzo starannie przygotowana edytorsko przez Instytut Pamięci Narodowej, Oddział w Szczecinie, zawiera 93 listy wybrane z zasobów Muzeum imienia Gustawa Morcinka w Skoczowie. Listy są reprezentatywne dla całej zachowanej korespondencji kierowanej do Morcinka pośła. Nadawcy zwracają się do pisarza w różnych sprawach. Proszą o interwencje, będąc przekonanymi, że tylko Morcinek może im pomóc, na przykład uzyskać przydział na lokal; nabyć prawa do renty lub emerytury; uwolnić aresztowaną bliską osobę; rozsądzić długoletni spór sąsiedzki; zdobyć pracę. Dobrana przez redaktorki tomu korespondencja roztacza przed czytelnikami cały wachlarz problemów ludzkich: małych i wielkich, błahych i tragicznych, wywołujących zdziwienie, ale i grozę – proble-



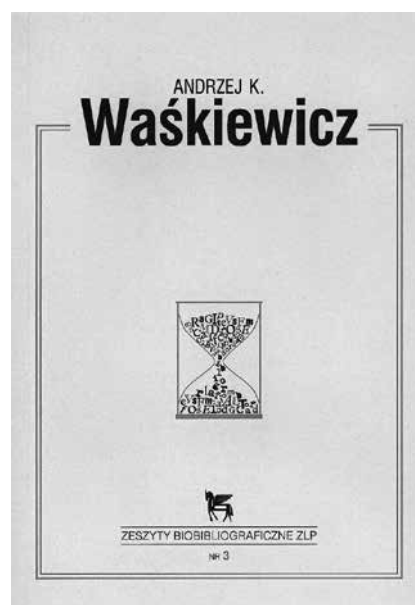
mów składający się, jak w tytule zaakcentowano, na „katalog ludzkiej biedy”. Nie można być obojętnym, czytając pisma dotyczące osób pozbawionych środków do życia za to, że w czasie II wojny światowej przymusowo zostały wpisane na volkslistę. Brak znajomości przez nowe władze komunistyczne realiów historycznych na Śląsku doprowadził do nie tylko sytuacji kuriozalnych, ale wiele osób wpędził w skrajną nędzę. Owi skrzywdzeni właśnie u Morcinka Ślązaka szukali zrozumienia i pomocy. Wśród zamieszczonych w książce listów są także podziękowania za skuteczne interwencje, co z kolei wyraźnie przesuwają akcent na adresata korespondencji. Listy te, przynajmniej częściowo, pozwalają poznać Morcinka pośła, który, przypomnę, nie chciał nim być, a praca ta, jak wynika z korespondencji do przyjaciół, wpędzała go w depresję. Pisarz starał się jednak pomagać, o czym świadczą nie tylko owe podziękowania, ale także notatki urzędników na konkretnych pismach, dowodzące podejmowania decyzji przychylnych petentom. Trudno nakreślić, o czym redaktorki tomu piszą, pełny obraz działalności poselskiej Gustawa Morcinka. Mimo wysiłków nie udało się bowiem odszukać w archiwach dokumentacji odzwierciedlającej szerszy zakres interwencji poselskich autora *Wyrąbanego chodnika*. Opublikowane zatem dokumenty stanowią zbiór unikatowy, który, wraz z rzetelnym opracowaniem, dopełniają już znane fakty z biografii śląskiego pisarza i jednocześnie są istotnym wkładem w wiedzę na temat społeczno-politycznej aktywności twórców w czasie PRL-u. ■

Działalność poselska Gustawa Morcinka, czyli katalog ludzkiej biedy. Dokumenty w opracowaniu Krystyny Heskaj-Kwaśniewicz i Lucyny Sazdikowskiej, IPN – Oddział w Szczecinie, Szczecin-Warszawa 2019, 248 s.

Adresy Waśkiewicza

KSIĄŻKI

PAWEŁ MAJERSKI



się futurystyczną fonizacją, Jakub Fazan patografią Peipera, Beata Lentas obecnością Peipera w Hiszpanii, Marta Rygielska Przybosiem czytającym Norwida, Marta Baron-Milian napisać książkę o „ekonomicznym” Waciu. To kilka przykładów – Waśkiewicz byłby dumny, teraz widzimy to w metodologicznych zawieruchach, ale to on, myśląc o natłoku systemów, wskazywał interpretacyjne „szczeliny”.

W ostatniej części opracowań pojawił się wykaz utworów Waśkiewiczowi dedykowanych (poświęconych) – m.in. pierwodrukowo umiejscowione wiersze Jerzego Koperskiego, Janusza Żernickiego, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Eugeniusza Kurzawy, Janusza Kryszaka, Bogusława Kierca, Mirosławy Szott; były publikowane w książkach autorskich, wspomnianym tomie *Andrzej*, „Autografie”. Wiersz funeralny funkcjonuje w innym wymiarze naszego doświadczenia, emocji i wyrażenia, wymiarze przeżycia – poza. „I jak ci tam jest, gdzie cię nie ma? / Jak sobie radzisz w tym niebyciu / siebie, gdy jesteś samym byciem? – pytał Bogusław Kierca. I niech ten fragment wystarczy.

Z publikacji Andrzeja K. Waśkiewicza nie trzeba zdmuchiwać bibliotecznego kurzu, nie musimy penetrować mrocznych zakamarków archiwalnych zbiorów. Są obecne w czytelnym (przede wszystkim literaturoznawczym) obiegu. Przypomnę *Rygor i marzenie*, *W kręgu Futurystów i awangardę*, *Historię, poezję, los*. W 1968 roku, na łamach „*Twórczości*”, Waśkiewicz zamieścił tekst *O potrzebie bibliografii*. Bibliografia jest zawsze punktem wyjścia i oczywiście – tu ukłon w stronę Stefana Themersona – biografią. Jest znakiem obecności. ■

Andrzej K. Waśkiewicz (22 czerwca 1941 – 11 lipca 2012). Oprac. A. Sobeczka. Związek Literatów Polskich, Zielona Góra 2019, 496 s. [Zeszyty Biobibliograficzne ZLP, nr 3, red. E. Kurzawa].

„Nie byłem badaczem »uniwersyteckim«. Znaczący to tyle, że prace historyczno-literackie nie stanowiły mojego zawodu” – napisał Andrzej K. Waśkiewicz (1941–2012) we wstępie do swojego zbioru studiów *W kręgu futuryzmu i awangardy* z 2003 roku. Waśkiewicz: poeta, historyk i socjolog literatury, krytyk, edytor, dziennikarz, bez którego rozpoznania faktograficznych, interpretacyjnych, świadectw lektur z parnasowego kanonu oraz tych bytujących zupełnie marginalnie lub całkowicie zapomnianych, trudno byłoby dziś prowadzić badania nad dwudziestowieczną awangardą. To nie truzimy – opublikowana właśnie bibliografia obejmuje prawie pięćset stron. Był także regionalistą (wskazmy geograficznie Ziemię Lubuską, Suwalszczyznę, Gdańsk) i konsekwentnym promotorem „poetów wstępujących”.

Powiedział w jednym z wywiadów: „wszystko u mnie zaczęło się od poezji i poezja jest dla mnie najważniejsza”; „cała moja działalność jest podporządkowana poezji”. A w innym: „Działalność krytycznoliteracka, a także to, czym się zajmowałem – pogranicza historii i socjologii literatury, to także twórczość, tyle że odmienna. Gdy byłem bardzo młody pisałem też prozę, słuchowiska, nawet teksty kabaretowe. Dotąd, dokąd nie sprawiało mi to trudności. A potem zdałem sobie sprawę, że to nie moje gatunki, że – owszem – mogę być coraz bardziej sprawny, ale niczego szczególnego tu nie zrobić. Więc przestałem się tym zajmować. A krytyką literacką zajmowałem się od zawsze”.

Spoglądam teraz na wstęp do *Rygoru i marzenia*. (*Szkiców o poetach trzech awangard*) – książki z 1973 roku, uznanej przez niego za „dokument krytycznoliterackiej świadomości autora”, widzę wprowadzenie do *Form obecności »nieobecnego pokolenia«* z 1978 roku, które sam określił mianem „dzieła skrzyżnego dokumentalisty”, książką „kronikarza życia literackiego” sytuującego się pośród „bibliotecznych moli”. To nie były, oczywiście, rzeczy spełniające się w rolach izolowanych, one – bez najmniejszych wątpliwości – efektywne współistniały.

Wspomniana biobibliograficzna dokumentacja realizacji Waśkiewicza nie jest archiwistycznym rejestrem adresów odsyłających nas do artykułów, recenzji, szkiców, książek, wierszy, pozwalającym odtworzyć mapę dociekań badawczych i konkretnych odkryć filologicznych. Tom, opublikowany w serii redagowanej przez Eugeniusza Kurzawę, opracowała Anna Sobeczka. Materiałów tak uporządkowanych „systemowo”, poręcznych i podręcznych, nigdy nie będzie za dużo (oj, Waśkiewicz był dhubaczem perfekcjonistą, i nie pozostawiał „roz-

grzebanej” roboty, a – co istotne – te okazują się znakomitym uzupełnieniem dwóch książek: *Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca opuszczone Kurzawy* oraz *Andrzej. Andrzej K. Waśkiewicz we wspomnieniach*, zbioru również opracowanego przez żonę akw (recenzowałem go na łamach „*Słaska*” 2018, nr 4). Przywołuję ten kryptonim, gdyż – co zaznaczył w szkicu *Literatura, czyli świat* Marian Kisiel – jest on jednym z „najbardziej czytelnym »znaczków« w krytyce literackiej ostatniego pięćdziesięciolecia” (różne warianty odnotowane są w tomie ósmym *Współczesnych polskich pisarzy i badaczy literatury*). Znaczek krytyka zobowiązywał.

Publikacja składa się z części zawierającej przedruki dwóch wywiadów (przeprowadzonych przez Krzysztofa Szymoniaka dla „*Nowego Nurtu*” i Andrzeja Dębkowskiego dla „*Gazety Kulturalnej*”), szkice Kisieła i Leszka Żulińskiego, życiorys, wykaz nagród i wyróżnień oraz – prezentowanej w działach *Twórczość* i *Opracowania* z lat 1961–2019 – bibliografi. Uwzględnione są wydawnictwa zwarte, scenariusze, słuchowiska, utwory sceniczne, publikacje w antologiach i pracach zbiorowych, czasopismach, redakcje, recenzje książek. „Najważniejsze w twórczości Andrzeja – pisze Anna Sobeczka – są oczywiście teksty o poezji, życiu literackim, społecznym funkcjonowaniu literatury, instytucjach i mechanizmach życia kulturalnego, o czasopismach, o książkach – literackich, ale nie tylko”. Ważne jest owo „nie tylko”: Waśkiewicz był biblioteką, gotową do natychmiastowego uruchomienia biobibliograficznych zasobów. Jako edytor kojarzony jest przede wszystkim z Tadeuszem Peiperem i Anatolem Sternem, seriami *Generacje* oraz *Pokolenie, które wstępuje*, z „*Orientacją*” (opracował bibliografię zawartości z lat 1965–1973), „*Integracja*mi”, „*Autografem*”.

W książce poświęconej Tadeuszowi Peiperowi, Julianowi Przybosiowi, Janowi Brzękowskiemu, Jalu Kurkowi, Adamowi Ważykowi, Mili Elin Waśkiewicz podkreślił, że „*Lekcja awangardy* (jej zwycięstwa, ale i klęski) jest zbyt doniosła, zbyt ciężka na naszym pojmowaniu zobowiązań i funkcji literatury, byśmy ją mogli »załatwić i mieć z głowy«” (*W kręgu »Zwrotnicy«*, 1983). W ostatnim zdaniu zawarł oszczędnie dziś oczywiste: „Spór o Awangardę jest sporem o naszą literacką współczesność”. W tym samym czasie wydał wspomniany już, dedykowany Mistrzowi Peiperowi, *Rygor i marzenie*. W tym wyliczeniu brak jeszcze na przykład *Szkiców z lat 1963–2012*, *Fenomen gdańskiego*. I jeszcze – *Poezji wciąż dwudziestego wieku...* Metodologiczne reorientacje pozwoliły na ukonkretnienie interpretacji aktualizujących – Beata Śniecikowska mogła wnikliwie zająć



Made [in] Ready – oprowadzanie kuratorskie



Made [in] Ready – wernisaż



Made [in] Ready –ekspozycja



Made [in] Ready –ekspozycja



Made [in] Ready –ekspozycja



Made [in] Ready –ekspozycja



Made [in] Ready - Performans Dariusza Fodczuka „Nic”



Made [in] Ready - Performans Uladzimira Pazniaka

W Galerii Bielskiej BWA wystawa studentów, absolwentów i pedagogów Pracowni działań audiowizualnych i performatywnych Akademii Sztuki w Szczecinie

Jak zmieniać znaczenia przypisane przedmiotom

KAMIL KUSKOWSKI

for. arch.

Wystawa „Made [in] Ready – rzeczy, symbole, działania”, jest pierwszą z cyklu sześciu wystaw organizowanych z okazji dziesięciolecia Pracowni działań audiowizualnych i performatywnych, założonej przez niżej podpisanego, działającej na Wydziale Sztuki (do 2019 roku na Wydziale Malarstwa i Nowych Mediów) Akademii Sztuki w Szczecinie. Na bielskiej ekspozycji zgromadzono obiekty, filmy, fotografie i wideoklipy ponad sześćdziesięciu autorów. Wystawa poświęcona jest trzem głównym, zapowiedzianym w tytule wystawy, wątkom – rzeczom, działaniom i symbolom. Zwiedzanie rozpoczynamy od sali dolnej, gdzie zobaczyć możemy archiwum „rzeczy” – prace wykonane przez studentów, głównie w czasie

pierwszego i drugiego roku studiów. Ta część wystawy jest kluczową dla rozumienia zarówno problematyki podejmowanej w „działaniach” i „symbolach”, jak i dla metodyki pracy dydaktycznej w pracowni w ogóle. „Rzeczy” ilustrują fundamentalną dla pracowni praktykę, mającą swoje źródła w działaniach dadaistów, a także w sztuce konceptualnej. Jej sednem jest zmiana znaczeń przypisanych przedmiotom poprzez zmianę kontekstu będącą wynikiem działań dekonstrukcyjnych. Praktyka ta wyrabia w studentach umiejęt-

ność patrzenia na rzeczywistość z równoczesnym uwzględnieniem różnych perspektyw. Rezultaty tej umiejętności prezentowane są w sali górnej, gdzie zobaczymy prace o bardziej złożonej problematyce, podejmujące tematy związane z naszą tożsamością, dotykające aktualnych kwestii społecznych. Są to prace wykonane przez studentów wyższych lat, absolwentów, jak też przez pedagogów, którzy współprowadzili pracownię – dr. hab. Andrzeja Wasilewskiego oraz dr. hab. Zorzę Wollny. ■



Bielska premiera wystawy „Made [in] Ready– rzeczy, symbole, działania” nie jest przypadkowa, obaj prowadzący obecnie pracownię pedagodzy, prof. dr hab. Kamil Kuskowski i dr Dariusz Fodczuk, są artystami związanymi od wielu lat z Galerią Bielską BWA. Kamil Kuskowski jest laureatem Grand Prix 39. Biennale Malarstwa Bielska Jesień 2009, prezentował w Bielsku-Białej swoją wystawę indywidualną „Szczęście w nieszczęściu” w 2011, zasiadał w jury konkursu Bielskiej Jesieni w 2013 roku, był też współkuratorem, wraz z Jarosławem Lubiakiem, wystawy „Obrazy jak malowane” w 2006 roku. Dariusz Fodczuk, artysta wywodzący się z Bielska-Białej, brał udział w wielu wystawach zbiorowych w Galerii Bielskiej BWA, był pomysłodawcą Bielskiego Festiwalu Sztuk Wizualnych, tutaj też, przez wiele lat prowadził bielską edycję Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Interakcje, jest także autorem stojącej w parku przy Ratuszu rzeźby „Akrobata”. Kolejne odsłony wystawy odbędą się w galeriach w Polsce i Republice Czeskiej: GAFU w Ostrawie, TRAFU w Szczecinie, BWA w Gorzowie Wielkopolskim i BWA w Jeleniej Górze oraz Galerii EL w Elblągu.

Niepokoje artysty

WOJCIECH LIPOWSKI

Refleksja nad artystą i sztuką w dawnym i dzisiejszym świecie to nic nowego. Chodzi nie tylko o sztukę, a także zobowiązania, które spoczywają na niej i tych, którzy ją uprawiają. Teatr jako działalność subiektywna nie poddaje się obiektywizacji, odrzuca narzędzia poznawcze, trwa tylko chwilę i żyje w procesie oglądania. Za każdym razem otrzymujemy pewną deklarację intencji ze strony twórców. Co z nią uczynimy, zależy od nas samych, naszych doświadczeń lekturowych, skojarzeń, otwarcia na propozycję spotkania intelektualnego z tekstem, bo teatr jest tekstem, opowieścią. I choć często zdajemy sobie sprawę z pułapek, jakie w nim tkwią, podążamy śladem zdarzeń, czasem jedynie przeczuć, bowiem dopiero na scenie uzyskują one przybliżone znaczenie, stanowiąc poniekąd odbicie myśli autora. Co w takim razie zostaje w pamięci widzów? Po spektaklu, aktorze, scenografie, reżyserze, wszystkich twórcach skoro ich każda wypowiedź publiczna żyje tak krótko?

Może wielość odczytań, co w przypadku teatru nie stanowi rzeczy osobliwej i niezwykłej, może udział w pasjonującej grze, której zrozumienie przybliży jej mechanizm, odkryje sens i założenia, chociaż każdy spektakl jest inny, inni są widzowie, po-

rzątek znaczeń, a więc i tu brak pewników. Zawsze jednak zabieg teatralizacji, obecny przecież nie tylko w sztuce scenicznej, ale też innych rodzajach tekstów, przynosi korzyści dla odbiorcy, włącza go we wspólnotę doświadczenia sztuki, uświadczenia, że jej odbiór odbywa się wedle reguł komunikacji, a zatem wymaga rozmowy dwóch stron, uzmysławia, że nawet w niezrozumieniu tkwi jakaś epifania. Kto wie, być może właśnie artysta w akcie twórczego wysiłku pomoże odkryć jej część, ugasić niepewność, niewiarę, dotrzeć do istoty rzeczy i zdarzeń.

Powyższe wątpliwości przedyskutowano dogłębnie w pięknym, ascetycznym spektaklu Teatru Śląskiego *Czy pan się uważa za artystę?* Autor tekstu Artur Pałyga i reżyser Anna Augustynowicz na Scenie w Małarni zaproponowali nam udział w procesie tworzenia bardzo specyficznego spektaklu. Specyfika polega tu na tym, że artysta mający go tworzyć nie jest do tego przygotowany. Aktrzy na scenie domagają się tekstu, gotowego materiału, on zaś popadł w niezdolność, bezruch, stan zawieszenia, który paraliżuje jego zdolności sprawcze. Augustynowicz podjęła próbę ukazania rzeczy niemożliwej: wewnętrznych rozterek twórcy, jego onieśmienia, braku gotowości do realizacji swojego zapotrzebowa-

nia na działalność artystyczną. Sprawy nie ułatwi zaczerpnięte z *Wyzwolenia* pytanie, skierowane do Konrada: Czy jest jaka sztuka? Wszyscy czekają, jednocząc się w akcie współlistnienia sceny i widowni, czekają na spektakl, który nie może się dokonać. Nie może, bo artysta jest niegotowy. Nie może, bo publiczność zapomniała, że sztuka teatralna nie ma prawa bytu, jeśli nie wyzwoili jakiejś energii po stronie odbiorców, nie zmusi do aktywności. W tym ujęciu – przekonują twórcy spektaklu – każdy z nas siedzący po drugiej stronie jest także artystą. Od nas samych zależy czy wejdziemy w grę wzajemności i podejmimy wysiłek, stworzymy sztukę.

Augustynowicz i Pałyga, w wielkim uproszczeniu, zapraszają do udziału w surrealistycznej grze, zabawie, którą inicjują aktorzy, odwołując się do dyskursu językowego, ale też tworząc przestrzeń, w której mogą spotkać się z odbiorcą, wciągając go w proces budowania wypowiedzi artystycznej, pełnej pytań, wątpliwości. Nie ułatwią zadania obiegowe definicje i opinie na temat artysty wypowiedziane przez głos płynący z offu. Przeciwnie, oddalą nas od odpowiedzi na pytania postawione artyście w spektaklu. Te najczęstsze dotyczą statusu, roli, sensu jego pracy, czasem brzmia-

fot. Przemysław Jendroska



jak oskarżenie, innym razem kwestionują pozycję, sprawność twórczą, odsłaniają kondycję, weryfikują umiejętności. Co ciekawe, artysta nie broni się przed stawianymi zarzutami, krąży niespokojnie, szuka punktu zaczepienia, próbuje uchwycić rytm, jakim pulsuje scena w sensie dosłownym. Ruchem kieruje na niej choreograf i tancerz Zbigniew Szymczyk. Jest właściwie reżyserem rozproszonej narracji, nieustannej dialogiczności wszystkich aktorów. Bardzo zgrany wielość tworzą, pełni dystansu, wyczuleni na każdy szczegół, znakomici artyści: Alina Chechelska, Ewa Kutynia, Wiesław Sławik, Marcin Szaforz i Andrzej Warcaba. Przestrzeń sceny, symboliczna scenografia Marka Brauna sprawiają, że widzowie skupiają uwagę wyłącznie na grze aktorów, których ekspresja składa się w system znaków, skojarzeń, możliwych odwołań do tekstów kultury. Porozwieszane na ścianach puste ramy mają tu znaczenie symboliczne, jakby czekały na moment, kiedy zostaną wypełnione treścią. Jeśli ten zamiar w ogóle się powiedzie.

Aktorzy występują w miejscu szczególnym, dawnej teatralnej malarni, miejscu pracy artysty, scenografa, postaci ikonicznej dla twórczości teatralnej – Wiesława Langego. To jemu poświęcony został ten spektakl. Obcowanie z jego dorobkiem stało się dla reżysera oraz dramaturga pretekstem do stworzenia opowieści o sensie i celowości pracy każdego twórcy.

Wiesław Lange (1914–1988), dziś już chyba już nieco zapomniany scenograf, od 1951 roku do końca życia był związany z Teatrem Śląskim w Katowicach. Choć współpracował z wieloma innymi scenami, jego twórczość umiejscowiona była głównie na Śląsku. W ciągu 40 lat pracy stworzył imponujący dorobek, przygotowując scenografie do blisko 300 spektakli teatralnych, operowych i telewizyjnych. W samych Katowicach zaprojektował dekoracje do około 100 przedstawień. Zestawiano jego dokonania artystyczne z twórczością plastyczną Józefa Szajny, podkreślano inspiracje nowymi zjawiskami w malarstwie tamtego czasu jak tasyzm czy hiperrealizm, akcentowano nowatorskie rozwiązania plastyczne, linię surrealistyczną, wykorzystywaną w oprawach plastycznych dziś już historycznych spektakli, by wspomnieć tylko *Ludzi i cieni*, czy *Fantazego* – oba przygotowane we współpracy z Gustawem Holoubkiem. Nie sposób przywołać liczne realizacje teatralne Langego, który przez długie lata działalności miał niemały wpływ na kształt artystyczny Teatru Śląskiego, tworząc niepowtarzalny styl i język wypowiedzi artystycznej, co ciekawe trafiający, mimo pozornej hermetyczności, do szerokiej publiczności.

Artur Pałyga w swoim tekście, odnosząc się do twórczości Langego, zaproponował widzowi zawołany przegląd wybranych sztuk, do których scenografie stworzył ten wybitny plastyk. Widzowie, którzy podejmą trud odgadnięcia, do



jakich tytułów nawiązują twórcy spektaklu, będą mieli okazję do bardzo zajmującej identyfikacji poszczególnych tropów. Od pierwszej scenografii do *Niemego kanarka*, zrodzonej z fascynacji Teatrem Cricot poprzez *Bal manekinów* z okresu głośniejszych spektakli jak *Śmierć Dantona*, *Krzesała czy Zbrodnia na Wyspie Kóz* po *Balladynę* i *Wyzwolenie*. Ten ostatni tytuł zrealizowany w roku 1957 stanowi, jak można przypuszczać, najważniejszy cytat w spektaklu Augustynowicz, bowiem wzmiankowane już pytanie konradyczne pojawia się w nim wielokrotnie. Dodajmy, że autorzy przedstawienia, chociaż odwołują się do projektów Langego, zmierzają do konkretnych prac, nie ilustrują cytowanych fragmentów jego twórczości plastycznej. Nie ma takiej potrzeby, bowiem chodzi w tym wypadku o próbę nawiązania do perspektywy mentalnej, projektu intelektualnego nie zaś prostej ikonografii.

Powyższe odniesienie znajduje swój wykładnik w ciągle ujawnianych wątpliwościach, od czego w zasadzie powinna zaczynać się teatralna historia. W jakim zdaniu, zdarzeniu czy geście artysty po-

winna mieć swój punkt wyjścia. Czy ktoś podejmujący trud, zadanie wypowiedzi publicznej ma do tego prawo, co nim kieruje, gdzie szuka inspiracji?

Anna Augustynowicz i Artur Pałyga proponują nam niezwykle interesującą wędrówkę, podczas której teatr staje się dziełem dokładnie na oczach widza i dla widza gotowego do wyruszenia na to wyjątkowe spotkanie ze światem artystów. Podczas tej peregrynacji każdy otrzyma możliwość zgłębienia jego tajemnic, odczytania nieoczywistych tropów, poruszania się w gęstwinie aluzji oraz kontekstów. Warto podjąć to zadanie, bo płynie z niego wielka przyjemność teatralnego doświadczenia. Nie ma w tym wielkiego ryzyka, co najwyżej wszystko skończy się dla odbiorcy pozbyciem niepokoju, niepewności, a w efekcie opuszczeniem przystani niewiedzy.

A. Pałyga
Czy pan się uważa za artystę?
 reż. Anna Augustynowicz
 Teatr Śląski w Katowicach
 Premiera 25.01.2020



Joanna Trafas i Krzysztof Korwin-Piotrowski

Czy ktoś z państwa słyszał kiedykolwiek o *Żółtym kaftanie* – spektaklu muzycznym Franza Lehara, znanego i popularnego twórcy operetkowego? Pytanie postawione publiczności przez reżysera, a zarazem konferansjera widowiska scenicznego *Wiedeń moich marzeń* zaskoczyło wielu widzów zgromadzonych w sali Wodzisławskiego Centrum Kultury. Już po chwili wszystko było jednak jasne.

Widzowie dowiedzieli się, że nieznanie dziś prawie w ogóle i zupełnie nieudane pod względem artystycznym dzieło Lehara z 1922 roku poniosło kompletną klęskę frekwencyjną i zostało w szybkim czasie zdjęte z afisza. Kompozytor przerobił je znacząco po kilku latach, tworząc w 1929 roku *Krainę uśmiechu* – jedną z najsłynniejszych i najbardziej podziwianych operetek w dziejach tego gatunku.

Zaskakujące, barwne, a momentami wręcz liryczne opowieści **Krzysztofa Korwina-Piotrowskiego**, dyrektora artystycznego ORFEO Fundacji im. Bogusława Kaczyńskiego, były atrakcyjnym uzupełnieniem występów zaproszonych artystów – śpiewaków i tancerzy reprezentujących impresaryjną Scenę Or-

feo z Warszawy. Scenarzysta i reżyser widowiska przyjął w Wodzisławiu sympatyczną rolę gawędziarza, odsłaniającego publiczności tajemnice świata wiedeńskich operetek.

Mówił jednak nie tylko o muzyce i spektaklach scenicznych, ale również o zwyczajach wiedeńskich, o urokach tamtejszej architektury, a nawet o kuchni wiedeńskiej. Przebieg imprezy, zorganizowanej w ostatnią sobotę lutego, stanowił zatem wiernie odwzwierciedlenie jej tytułu. Z kronikarskiego obowiązku warto jeszcze odnotować, że sala widowiskowa WCK na 340 miejsc była wypełniona w stu procentach.

Kolekcja szlagierów operetkowych

Zaprezentowano popularne i powszechnie znane utwory oraz arie operetkowe z kompozytorskiego dorobku Karla Zeller (*Ptasznik z Tyrolu*), Johanna Straussa (*Baron cygański*, *Zemsta nietoperza*, *Wiedeńska krew*), Oscara Straussa (*Czar walca*), Franza Lehara (*Wesoła wdówka*, *Kraina uśmiechu*) oraz Jacquesa Offenbacha (*Opowieści Hoffmana*). Śpiewakom i tancerzom towarzyszył 5-osobowy Zespół Straussowski pod kierownictwem skrzyp-

Wiedeń moich marzeń

ZBIGNIEW LUBOWSKI

ka Adama Zajęca i z udziałem znakomitego pianisty Adama Mazonia, wywodzącego się z orkiestry uśmierconego w 2016 roku Gliwickiego Teatru Muzycznego.

Traf chciał, że i większość pozostałych artystów, uczestniczących w lutowym wieczorze nostalgicznych wspomnień operetkowych, występowała w przeszłości na deskach GTM. Trudno się temu dziwić, zwłaszcza że Krzysztof Korwin-Piotrowski był w latach 2001–2016 kierownikiem artystycznym sceny muzycznej w Gliwicach. Wodzisławskie widowisko wyraźnie dowiodło, że dawni soliści, chórzyści i tancerze GTM wyróżniali się wysokim kunsztem artystycznym i nie mieli żadnych kłopotów ze znalezieniem nowych miejsc swojej aktywności scenicznej. Trafili m.in. do Teatru Wielkiego w Łodzi, a także do Opery Wrocławskiej.

Gorącą reakcją publiczności wzbudziły dwie piękne arie operetkowe: *Usta milczą*, *duśka śpiewa z Wesołej wdówki* Lehara oraz zaśpiewana na bis nieśmiertelna *Wielka sława to żart z Barona cygańskiego* Straussa. W pierwszym wypadku śpiewało czworo solistów z towarzyszeniem chóru – Joanna Trafas (sopran), Aleksandra Wiwała (sopran), Łukasz Gaj (tenor) i Krzysztof Marciniak (tenor). Drugi z wymienionych utworów został natomiast wykonany przez Łukasza Gaja i Krzysztofa Marciniaka. Spontanicznym brawom widzów nie było końca.

Atuty widowiska

Dwuczęściowe widowisko opracowane pod względem choreograficznym przez **Annę Siwczyk**, wywodzącą się również z Gliwic, miało trzy niewątpliwe atuty: wpadające w ucho ponadczasowe melodie operetkowe, świetnie brzmiący kwintet instrumentalny oraz troje wybitnie uzdolnionych artystów – śpiewaczkę **Joannę Trafas** oraz tancerzy: **Jurija Stesewa** i **Kamilię Baryczkowską**. Opuszczając wodzisławską salę, zadawałem sobie w duchu pytanie: czy takie przekrojowe i nostalgiczne przedstawienie operetkowe będzie mogło być kiedykolwiek zaprezentowane na scenie reaktywowanego Gliwickiego Teatru Muzycznego... ■



Scena zbiorowa

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska

Wystawa Jurajskiego Fotoklubu

CZĘSTOCHOWA. Od 31 stycznia w Regionalnym Ośrodku Kultury w Częstochowie można oglądać prace 28 członków Jurajskiego Fotoklubu. Wielu z nich to uznani artyści, zdobywający nagrody w międzynarodowych i ogólnopolskich konkursach, mający na swoim koncie również wystawy indywidualne. Jednak zorganizowana ekspozycja po raz pierwszy prezentowała ich jako członków jednego stowarzyszenia.



Podczas wernisażu prezes Jurajskiego Fotoklubu, Sławomir Jodłowski, przypomniał, że „jedno zdjęcie potrafi powiedzieć więcej niż tysiąc słów”. Rzeczywiście, prezentowane prace ujawniały zainteresowania i aktualne poszukiwania autorów. Były więc portrety, pejzaże, zdjęcia galopujących koni, fotografie podróżnicze, zachwycające egzotyką, obrazy Częstochowy oraz komputerowe kreacje, pokazujące świat nierzeczywisty, ale przecież także pociągający. Wskutek wykadrowania miejsca i przedmioty nabywały znaczeń metaforycznych, wyrastając ponad odwzorowywanie modeli.

Osobowość prawną Jurajski Fotoklub posiada od 24 września 2013 roku. Wcześniej jego członkowie tworzyli oddział Fotoklubu Rzeczypospolitej Polskiej. Obecnie fotoklubowi liczącemu ponad 60 członków przewodzi zarząd w składzie: Sławomir Jodłowski – prezes; Janusz Stępień – zastępca; Jarosław Dumański – specjalista od szkoleń, Andrzej Szlęzak – skarbnik, Nina Mazuś – sekretarz.

Stowarzyszenie to doskonaliła przestrzeń wymiany doświadczeń oraz działań upowszechniających fotografię. Realizując cele statutowe, fotoklub organizuje więc warsztaty, spotkania autorskie, plenery, wystawy, comiesięczne konkursy, prowadząc do wyłonienia Fotografa Roku.

CZĘSTOCHOWA. W lutym w Galerii Biblioteki Uniwersyteckiej UJD można było oglądać eklibrisy zaprojektowane i wykonane przez Stefana Mrożewskiego, częstochowianina, ucznia Władysława Skoczylasa. Prace pochodziły z kolekcji Lecha (Leszka) Grochulskiego, który kilka miesięcy temu prezentował grafiki i eklibrisy 90 artystów z 27 krajów w Bibliotece Publicznej im. W. Biegańskiego w Częstochowie.

Biblioteka UJD posiada bogaty zbiór drzeworytów Stefana Mrożewskiego, prezentowany m.in. na wystawie przygotowanej w 2005 roku we współpracy z dr Elżbietą Wróbel. Tym razem jednak prezentacja eklibrisów częstochowianina została uzupełniona opowieścią o rozwoju kolekcji. Spośród 120 znanych prac Lech Grochulski zgromadził ich 72. Wiele otrzymał od syna artysty, Andrzeja Mrożewskiego.

Na wystawie można było poznać również inne pasje Leszka Grochulskiego, archiwisty piszącego wiersze. Jeden z tomików zawiera rysunek Stefana Mrożewskiego przekazany autorowi przez syna grafika.

Źródło bije coraz mocniej

CZĘSTOCHOWA. W lutym w Miejskiej Galerii Sztuki można było oglądać prace częstochowskiego oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków *Strumień życia*. Tytuł wystawy nawiązywał do cyklu Joanny Przygody oraz pracy Jacka Sztuki wchodzącej w skład cyklu *Lewitacje*. Podczas gdy Przygoda wskazywała media jako główny nurt współczesności, obraz Sztuki przedstawiał niemowlaka przy piersi pięknej matki, zwracając uwagę na macierzyństwo, ale również estetyczne doznania, a może i czas poświęcony na kontemplowanie widzialnego.

Tytuł wystawy dookreślał również środowisko częstochowskich artystów, ich wspólnotę i różnorodność. Artyści prezentujący swoje prace przynależą przecież do różnych pokoleń, w związku pojawiają się wciąż osoby nowe, preferujące odmienne techniki i style. Obok pejzaży utrzymanych w konwencji realistycznej, pojawiły się więc ujęcia ekspresjonistyczne, a nawet abstrakcje. Wiele prac przyciągało uwagę widzów, skłaniając ich do zastanowienia się nad rozwojem każdego z artystów. Dopiero jednak zestawienie prac ujawniało stan częstochowskiego środowiska plastycznego. Strumień przyspiesza bowiem przy każdym zwężeniu, a w zagęszczeniu pomysłów i postaw wykuwają się nowe idee.

Artysta i rzeczy jego świata

CZĘSTOCHOWA. W OPK Gaude Mater od 15 lutego można było oglądać prace Wojciecha Szybista na wystawie zatytułowanej *Pośród rzeczy*. Przedmioty przedstawione na obrazach zdają się napierać na odbiorcę, tworząc nieco chaotyczną i przepełnioną przestrzeń. Tak wykreowany świat stawia jednak pytania nie tylko na temat sfery widzialnej. Każde również zastanawia się nad metafizyką, egzystencją, przemianami oraz kwestiami warsztatowymi. Na obrazach pojawiają się przecież przedmioty będące tradycyjnymi motywami wanitatywnymi. Pełno tu ludzkich i zwierzęcych kości, zestawionych w przedziwnych miejscach, a nawet wykorzystywanych jako paleta malarska. Niezwykle dokładne i dopracowane obrazy ujawniają potrzebę skonfrontowania się artysty z tradycją, ale przede wszystkim definiują jego światopogląd.

Wojciech Szybist jest absolwentem Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie w 2018 roku obronił doktorat przygotowany pod kierunkiem prof. Zbigniewa Cebuli. Obecnie pracuje jako asystent w macierzystej uczelni. Zajmuje się także grafiką i rzeźbą.

CZĘSTOCHOWA. Już po raz 150. w Teatrze im. Adama Mickiewicza odbyło się spotkanie miłośników poezji. 23 lutego w Sali kameralnej im. Iwo Galla Sylwia Oksiuta-Warmus oraz Agnieszka Uchrońska-Kowalska zaprezentowały utwory Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Jana Brzechwy. Aktorkom towarzyszyli muzycy – Łukasz Jaworski (akordeon) i Marek Zyskowski (gitar).

Historia salonów sięga października 2003 roku, gdy Anna Dymna w teatralnym foyer czytała wiersze księdza Jana Twardowskiego. Dyrektorką była wówczas Katarzyna Deszcz. Od 2006 roku gospodynią spotkań jest Ewa Oleś, kierownik literacki. Salony odbywają się nie tylko w budynku teatru, by wspomnieć np. o Teatrze from Poland czy bibliotece. W działaniach biorą udział aktorzy naszego teatru, goście, m.in. Zofia Kucówna, Michał Żebrowski, Jerzy Stuhr, a czasami również poeci. Pierwszym autorem czytającym swoje wiersze był Jan Wołek, którego w 2015 roku zaprosił Piotr Machalica, ówczesny dyrektor artystyczny.

CZĘSTOCHOWA. Krótko

* wystąpili: Teatr im. Adama Mickiewicza – Ania Rusowicz; Filharmonia Częstochowska – LemOn, Sebastian Riedel & Cree, Maciej Maleńczuk; Hala Sportowa – Agnieszka Chylińska; Five O’Clock Jazz Club – The Missing Part; restauracja Klimaty – Śląska Grupa Bluesowa; klub Stacherczak – Filip Łobodziński i zespół Dylan.pl;

* wystawiali: OPK Gaude Mater – Anna Gorejowska; MGS – Aleksandra Rybak; ROK – Altea Leszczyńska;

* 29 stycznia w OPK Gaude Mater odbyła się promocja wierszy *Vesica Piscis* Katarzyny Zwolskiej-Plusy;

* 27 stycznia w OPK Gaude Mater dla Wojciecha Kamińskiego zagrali Five O’Clock Orchestra, Andrzej Jagodziński oraz Wojciech Kamiński.

2020. Rok z Fellinim w kinie Kosmos

KATOWICE. Jeden z największych wizjonerów w dziejach kina Federico Fellini przyszedł na świat 20 stycznia 1920 roku w Rimini we Włoszech. Z okazji setnej rocznicy urodzin reżysera Kino Kosmos przygotowało całoroczną retrospektywę jego twórczości, począwszy od *Białego szejka* (1952), drugiego pełnometrażowego filmu w jego dorobku, po *Miasto kobiet* (1980). Jego nazwisko jest symbolem kina autorskiego, pełnego fantazji, metaforycznych znaczeń i obrazów wielkiej urody, które zapadają widzom w pamięć. Fellini udowadnia, że wyobraźnia nie ma granic, a technikę filmową można podporządkować wysnutym z rozlicznych inspiracji osobistym wizjom. Jest uważany za reżysera wszech czasów, który wywarł wielki wpływ na całe pokolenia twórców filmowych. Jego filmy zajmują czołowe miejsca w rankingach arcydzieł sztuki filmowej, a cztery z nich: *La strada*, *Noce Cabirii*, *Osiem i pół* i *Amarcord* zdobyły Oscara® w kategorii „najlepszy film nieanglojęzyczny”. W 1993 roku Akademia nagrodziła go statuetką za całokształt twórczości. Fellini zaludnia swoje filmy rozbitkami życiowymi, wędrownymi artystami, wałkoniami i różnej maści uwodzicielami. Czyni bohaterami oszustów, prostytutki, a miejscem akcji często prowincjonalne miasteczka lub peryferie stolicy. Rola sztuki i artyści to powtarzający się motyw jego twórczości, a większość jego filmów ma silny rys autotematyczny i autobiograficzny. Jest niezrównanym obserwatorem włoskiej ulicy i jej mieszkańców, a jednocześnie błyskotliwym recenzentem współczesnej kultury i odkrywcą ludzkiej duszy.

IV Festiwal Piosenki „O wolności”

KATOWICE. Zakończony został nabór do IV Festiwalu Piosenki „O wolności”. Konkurs organizowany przez Śląskie Centrum Wolności i Solidarności ma na celu promocję piosenek wolnościowych, które tworzone były przed upadkiem komunizmu w Polsce.

Walka z systemem komunistycznym prowadzona była za pomocą różnych metod, w tym również na polu kultury. Tworzone wówczas, poza oficjalnym nurtem, pieśni, śpiewane były przez środowiska skupione wokół opozycji – opowiadały o wartościach uniwersalnych, o pragnieniu wolności i niepodległości, o zakazanej historii. Wzmacniały ducha, integrowały wokół idei, a ich twórcy, tacy jak Jacek Kaczmarski czy Przemysław Gintrowski stali się bardami opozycji. Do dziś w mediach brzmiały też utwory legendarnych już zespołów rockowych lat 80. XX w., które wśród wielu odbiorców mają status kultowych. Młodzi, zbuntowani, chcący wolności i lepszej przyszłości muzycy, piórem i słowem walczyli z cenzurą. Również współcześni artyści coraz częściej nawiązują do tematyki patriotycznej, a liczne projekty muzyczne przypominają zarówno walkę z okupantem niemieckim w czasie II wojny światowej, jak i sowieckim po jej zakończeniu. Wspólnym mianownikiem tej twórczości jest opowieść o pragnieniu wolności.

Nagroda Dziedzictwa Europejskiego/Nagroda Europa Nostra 2019 dla Sztolni Królowa Luiza w Zabrze

ZABRZE. Sztolnia Królowa Luiza jako jedyny obiekt z obszaru dziedzictwa przemysłowego w Polsce i Europie znalazła się wśród laureatów Nagród Dziedzictwa Europejskiego / Nagród Europa Nostra 2019 – najbardziej prestiżowego europejskiego wyróżnienia w dziedzinie europejskiego dziedzictwa kulturowego. Laureaci zostali wyłonieni przez Komisję Europejską i wiodącą sieć zajmującą się dziedzictwem europejskim – Europa Nostra. 25 laureatów z 16 krajów otrzymało wyróżnienia za imponujące osiągnięcia w dziedzinie konserwacji zabytków, badań naukowych, swoje zasługi na rzecz ochrony dziedzictwa oraz edukacji, szkoleń i podnoszenia świadomości. W tym dwa polskie: w kategorii Konserwacja, Sztolnia Królowa Luiza w Zabrzu, a w kategorii Edukacja, szkolenie i zwiększanie świadomości „Miejsce przy królewskim stole” w Warszawie.

Sztolnia Królowa Luiza (będąca częścią Muzeum Górnicztwa Węglowego w Zabrzu) to największy kompleks turystyczny, związany z dziedzictwem górnictwa węgla kamiennego w Polsce i absolutny unikat w skali całej Europy. To zespół zabytków, obrazujący rozwój technik górniczych i przemysłu wydobywczego, powiązania z innymi gałęziami przemysłu i jego wpływ na kształtowanie się regionu, reprezentatywny przykład zmian, jakie zachodziły w europejskim przemyśle na przestrzeni ostatnich 200 lat. Rewitalizacja i udostępnienie odwiedzającym Kompleksu Sztolni Królowa Luiza to efekt prowadzonych robót górniczych i budowlanych oraz konserwatorskich, rozpoczętych w 2009 roku. Przedsięwzięcie rewitalizacji sztolni okazało się jednym z największych wyzwań, przed jakimi stało: Muzeum Górnicztwa Węglowego w Zabrzu, Miasto Zabrze i Województwo Śląskie. Głównym celem tak ambitnego projektu było zachowanie górniczego dziedzictwa regionu poprzez adaptację i rewitalizację kompleksu na potrzeby kulturalne, edukacyjne i turystyczne. Projekt został sfinansowany m.in. ze środków Unii Europejskiej oraz krajowych. Jego łączna wartość wyniosła niemal 40 mln Euro. Nagroda Dziedzictwa Europejskiego/ Nagroda Europa Nostra, zwana europejskim Oscarem dziedzictwa kulturowego, jest ogromnym wyróżnieniem dla tego wyjątkowego obiektu.

Muzeum Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie

CHORZÓW. Park Etnograficzny zaprasza na nowy cykl lekcji muzealnych zatytułowany „Wto śpiywo, szumnie sie miywo”. Spotkania cyklu przeznaczone są dla uczniów klas I–III. W trakcie zajęć uczniowie śpiewają i muzykują, poznają pieśni ludowe oraz instrumenty muzyczne, aktywnie uczestniczą w zajęciach muzyczno-

chowych. *Gdzie żeś to bywał czorny baranie, Miała baba koguta czy Nie chce cie znać* – te pieśni są powszechnie znane dzięki pracy prof. Adolfa Dygacza. Wszystkiego o pieśniach ludowych i prof. Dygaczu można się dowiedzieć podczas lekcji muzealnych organizowanych już od lutego.

„60 na 100. SAŚIADKI. Głosem kobiet o powstaniach śląskich i plebiscycie”

KATOWICE. Śląska herstoria w memach Marty Frej to przede wszystkim wystawa, która oddaje głos kobietom, by opowiedziały o historii powstań śląskich i plebiscycie. Wystawa „60 na 100. SAŚIADKI. Głosem Kobiet o powstaniach śląskich i plebiscycie” powstała w 2019 roku i ukazuje 30 kobiet z przełomu XIX i XX wieku, których dzieje tworzą nową, bo pisaną kobiecymi losami, opowieść o śląskich zrywach powstańczych i akcji plebiscytowej. Wystawę można oglądać w siedzibie Instytutu Korfatego w Katowicach. Podczas oprowadzania zaprezentowany zostanie także zeszyt do herstorii, który jest uzupełnieniem wystawy. Zeszyt zawiera definicje pojęcia herstoria oraz kilka wskazówek, jak w sposób ciekawy i niebanalny prowadzić lekcje lub warsztaty z wykorzystaniem zeszytu i wystawy. Wystawa ma charakter popularyzatorski i edukacyjny oraz stanowi wstęp do szerszego projektu Instytutu, którego celem jest wprowadzenie do głównego nurtu historycznej narracji o regionie także mniej znanych postaci kobiecych. Wielkoformatowa wystawa mobilna (memy ukazują sylwetki kobiet w skali 1:1) może funkcjonować samodzielnie jako barwna prezentacja różnorodnych kobiecych postaci historycznych, ale także dzięki doborowi bohaterek pozwala na zaobserwowanie ciekawych przemian obyczajowych, politycznych i emancypacyjnych dotyczących kobiet na przełomie XIX i XX wieku w Europie, dla których Górny Śląsk był miejscem odniesienia. Memy wykreowała ceniona artystka z województwa śląskiego Marta Frej na podstawie materiałów odnalezionych podczas kwerendy historycznej, zrealizowanej przez dr Małgorzatę Tkacz-Janik, specjalistkę ds. niematerialnego dziedzictwa kulturowego w Instytucie.

Projekt zakłada, że 30 bohaterek z przeszłości – w czasie planowanych wystaw w 2020 roku – zostanie zestawionych ze współczesnymi kobietami, mieszkankami województwa śląskiego. Zestawienie 30 kobiet z przeszłości z 30 kobietami z teraźniejszości ma wzbogacić i uaktualnić opowieść o historii kobiet na Górnym Śląsku. Opowiedzieć o rozwijających się i zmieniających formach uczestnictwa kobiet w kulturze, polityce, gospodarce i życiu społecznym regionu. Projekt został zrealizowany pod honorowym patronatem Marszałka Województwa Śląskiego oraz programu Niepodległa. Partnerem przedsięwzięcia jest śląskie Stowarzyszenie Szlakiem Kobiet.

W trakcie realizacji projektu została nawiązana współpraca z Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach oraz z projektem medialnym na profilu społecznościowym „Stulecie Praw Kobiet”.

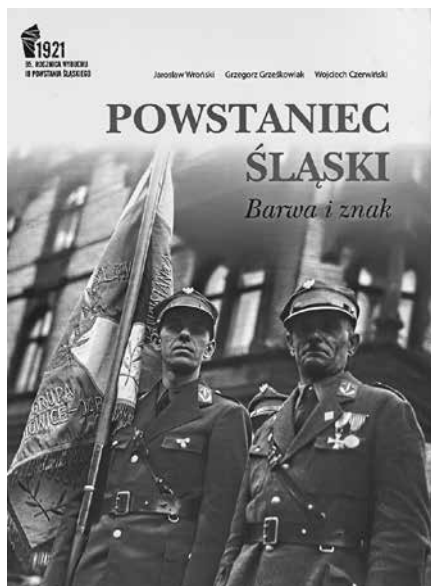
Dzień Islamu i Dzień Judaizmu w Kościele katolickim w Polsce

KATOWICE. Pamiętaj o dniu szabatu, aby należycie go świętować – pod takim hasłem na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego odbywał się XXIII Dzień Judaizmu w Kościele katolickim w Polsce. Tematem wystąpień była refleksja nad Znaczeniem Ducha Świętego w judaizmie i chrześcijaństwie.

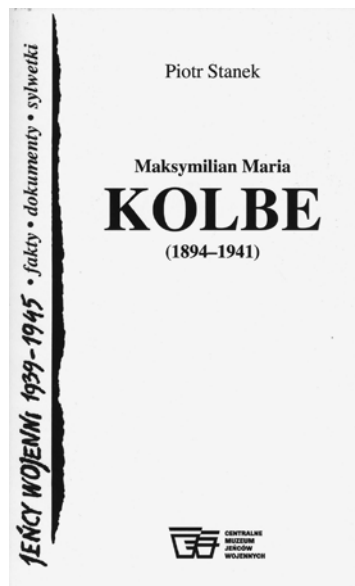
„Chrześcijaństwo i muzułmanie w służbie powszechnego braterstwa” – to z kolei hasło integrowało spotkanie zorganizowane w gościnnych murach Muzeum Historii Katowic i Akademii Muzycznej im. K. Szymanowskiego z okazji XX Dnia Islamu w Kościele katolickim w Polsce. Uroczystość uświetnił koncert „Razem dla pokoju. Pax. Shalom! Salam!”

Obydwa wydarzenia są efektem pracy księdza Tadeusza Czakańskiego, delegata abp W. Skworca ds. Dialogu z Judaizmem i Islamem.

Imprezy realizowane są w ramach projektu „Promocja wielokulturowości Miasta Katowice. Poznajmy się wzajemnie” i współfinansowane ze środków budżetu Miasta Katowice.



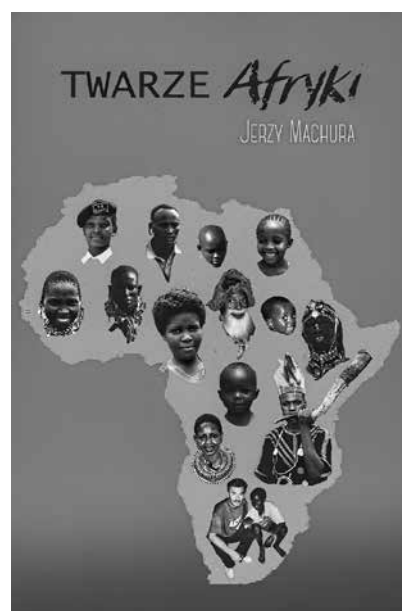
Jarosław Wroński, Grzegorz Grześkowiak, Wojciech Czerwiński. *Powstanie Śląski. Barwa i znak*. Wydawca: Muzeum Powstań Śląskich, Świętochłowice 2016.



Piotr Stanek. *Maksymilian Maria Kolbe (1894-1941)*. Seria *Jenicy Wojenni 1939-1945. Fakty, dokumenty, sylwetki*. Wydawca: Centralne Muzeum Jeńców Wojennych, Opole 2019.



Violetta Rezler-Wasilewska. *Muzeum w Miejscu Pamięci*. Wydawca: Centralne Muzeum Jeńców Wojennych, Opole 2017.



Jerzy Machura. *Twarze Afryki*. Wydawca: Warszawska Firma Wydawnicza, Warszawa 2019.



Beata Popczyk-Szczęśna. *Tekst jako bohater w kulturze uczestnictwa. Szkice o polskiej dramaturgii teatralnej*. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019.



Marta Knopik. *Czarne miasto*. Wydawca: Wydawnictwo Lira, Warszawa 2020.

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

www.slaskgtl.pl

Nr 3 (294) • ROK XXVI • MARZEC 2020



CZAS
PRZEJŚCIA

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

Wszystkim PT członkom Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, czytelnikom miesięcznika „Śląsk”, przyjaciółom, naszym sympatykom, współpracownikom, autorom tekstów publikowanych w miesięczniku składamy z okazji zbliżających się

Świąt Wielkanocnych życzenia

zdrowia, tak bardzo nam wszystkim potrzebnego w tym trudnym czasie, pogody ducha mimo wszystko, wesołego i życzliwego świętowania w gronie najbliższych, niespodzianie miłego „zajączka” i niosącego optymizm, nadzieję na przyszłość radosnego *Alleluja!*



Zarząd GTL i Redakcja miesięcznika „Śląsk”



Przez Czechowice-Dziedzice przechodzi 19. południk, dzielący Polskę na dwie równe części. Przebiega on dokładnie przez środek barokowego pałacu Kotulińskich z XVIII wieku, arystokratycznej rezydencji wzniesionej we wsi Czechowice Górne, stanowiącej część obecnego miasta. Więcej – w artykule Barokowy południk czechowicki.

Szczegóły str. 40



Monumentalna bryła Pomnika Martyrologii Jeńców Wojennych w Łambinowicach wznosi się w miejscu zagłady ok. 40 tysięcy radzieckich jeńców wojennych. Ich tragiczny los to jednak zaledwie wycinek historii setek tysięcy jeńców, którzy przechodzili przez niemiecki system obozów dla jeńców od 1870 roku. Od kilku lat na tym terenie trwają prace badawcze wnoszące kolejne fakty do historii obu wojen światowych i nie tylko.

Szczegóły str. 52



Zamek w śląskim Miliczu najwyraźniej wybudowano pod szczęśliwą gwiazdą. O ile inne regionalne siedziby szlacheckie z reguły albo zniszczono w 1945 roku, albo doprowadzono do upadku w latach 90., tak ten obiekt doczekał się lepszych czasów. Na uwagę zasługuje też pięknie utrzymany pałacowy park, chętnie odwiedzany przez zwiedzających.

Szczegóły str. 55

zaprasza na wystawę

Urszula Broll. Atman znaczy Oddech

24 marca 2020 – 2 maja 2020
otwarcie: niedziela 22 marca 2020,
godz. 18.00

Wystawa malarstwa Urszuli Broll (17/03/1930 – 17/02/2020) to rozpięta na przestrzeni dekad opowieść o życiu i twórczości artystki, która miała bezpośredni udział w kształtowaniu się powojennej awangardy na Górnym Śląsku. W zwrotnym punkcie swoich artystycznych poszukiwań zaczęła malować mandale – obrazy medytacyjne. Sztuce polegającej na wytwarzaniu rzeczy przeciwstawiła sztukę jako jogę. Intymna twórczość Urszuli Broll skłania do przemyślenia relacji człowieka z naturą i metafizycznym wymiarem rzeczywistości.

Kuratorka: Katarzyna Kucharska

Muzeum Rzeźby im. Xawerego
Dunikowskiego w Królikarni
Oddział Muzeum Narodowego w Warszawie
ul. Puławska 113a, 02-707 Warszawa

Partner wystawy:
Fundacja Katarzyny Kozyry



Urszula Broll, *Bez tytułu*, 1965

Urszula Broll. Atman Means Breath

24th March – 2nd May 2020
Opening: Sunday, 22th March 2020, 6 pm.

The exhibition of painting by Urszula Broll (17/03/1930 – 17/02/2020) is designed as a story encompassing life and works of the artist who actively participated in the postwar vanguard of Upper Silesia. Being

at the turning point of her artistic search, she started painting mandalas – meditative paintings. Traditional understanding of art as manufacturing objects is opposed to Broll's formula where art is treated as yoga. Intimate paintings of Urszula Broll make the viewer ponder on relation of a man and nature as well as metaphysical aspect of reality.

Curator: Katarzyna Kucharska

The Xawery Dunikowski Museum of
Sculpture at Królikarnia Palace
Division of the National Museum in Warsaw
113 a Puławska, 02-707 Warsaw

Partner of the exhibition:
Katarzyna Kozyra Foundation

